

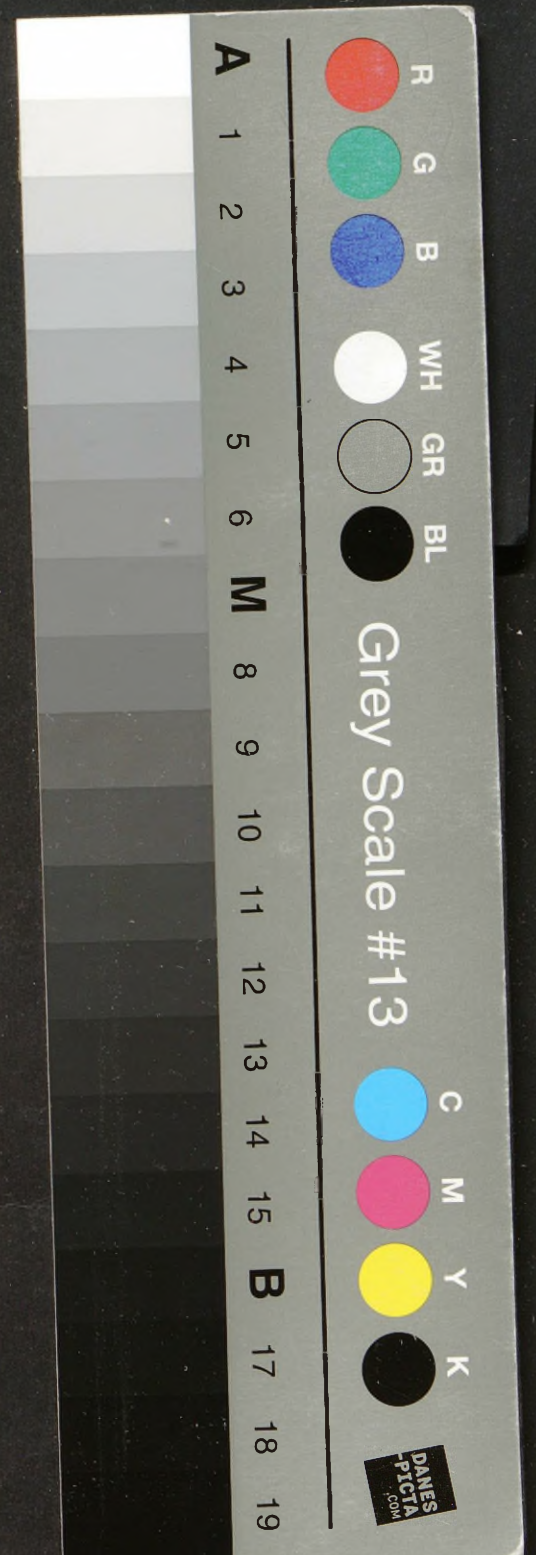
ANTONI ANDRZEJOWSKI

RAMOTY
STAREGO DETIUKA
O WOŁYNIU

WYDAŁ I PRZEDMOWĄ OPATRZYŁ
FR. RAWITA GAWROŃSKI

TOM II

KSIĘGARNIA STOWARZ. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO
WILNO — 1921
M. ARCT: WARSZAWA, POZNAŃ, LUBLIN, ŁÓDŹ, LWÓW



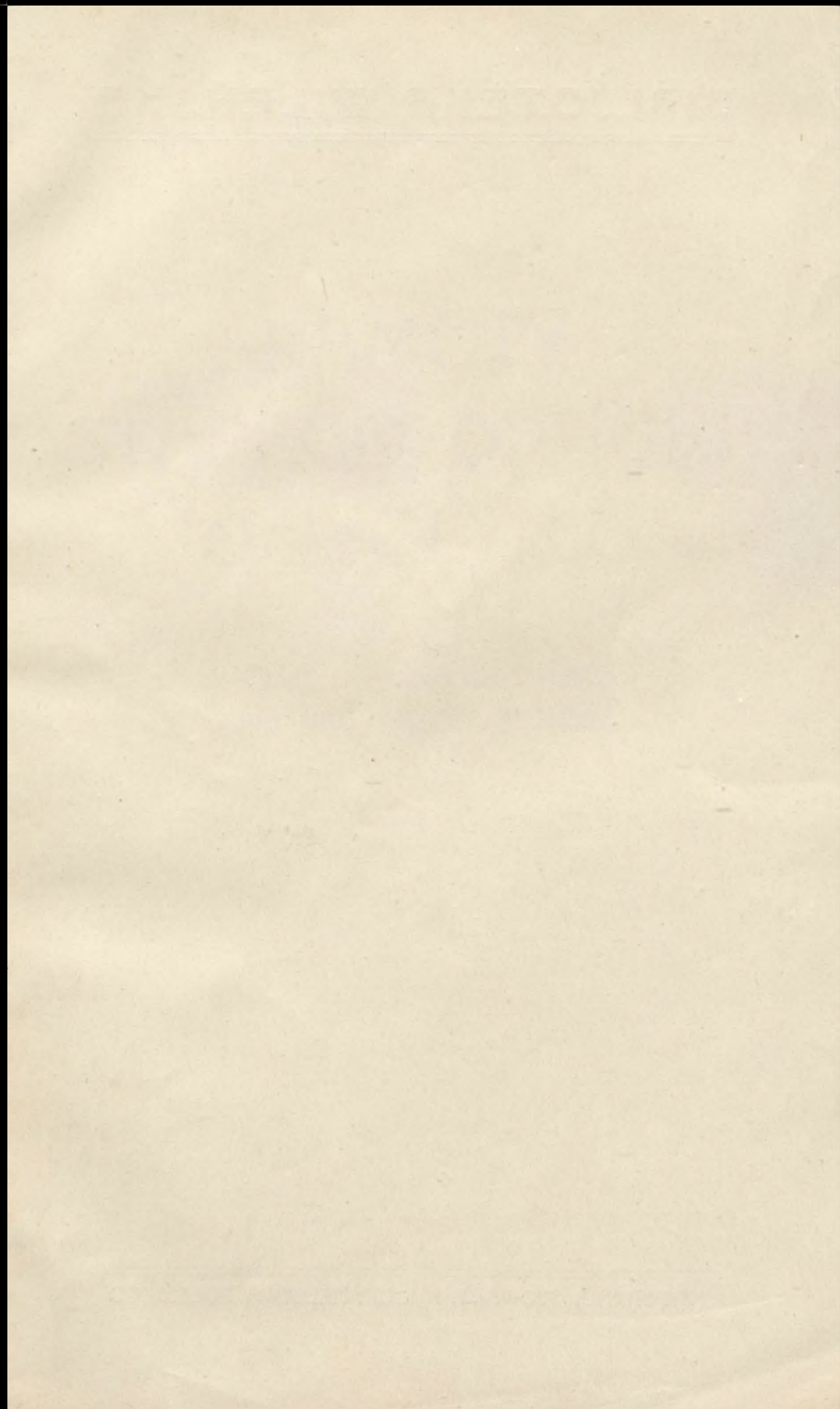
ANTONI ANDRZEJOWSKI

RAMOTY
STAREGO DETIUKA
O WOŁYNIU

WYDAŁ I PRZEDMOWĄ OPATRZYŁ
FR. RAWITA GAWROŃSKI

TOM II

KSIĘGARNIA STOWARZ. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO
WILNO — 1921
M. ARCT: WARSZAWA, POZNAŃ, LUBLIN, ŁÓDŹ, LWÓW



BIBLIOTEKA WILEŃSKA

KSIĘGARNIA STOWARZ. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

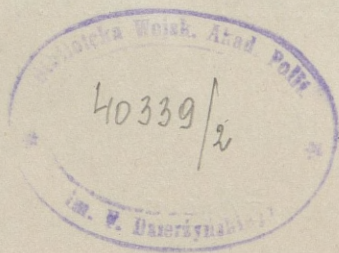
ANTONI ANDRZEJOWSKI

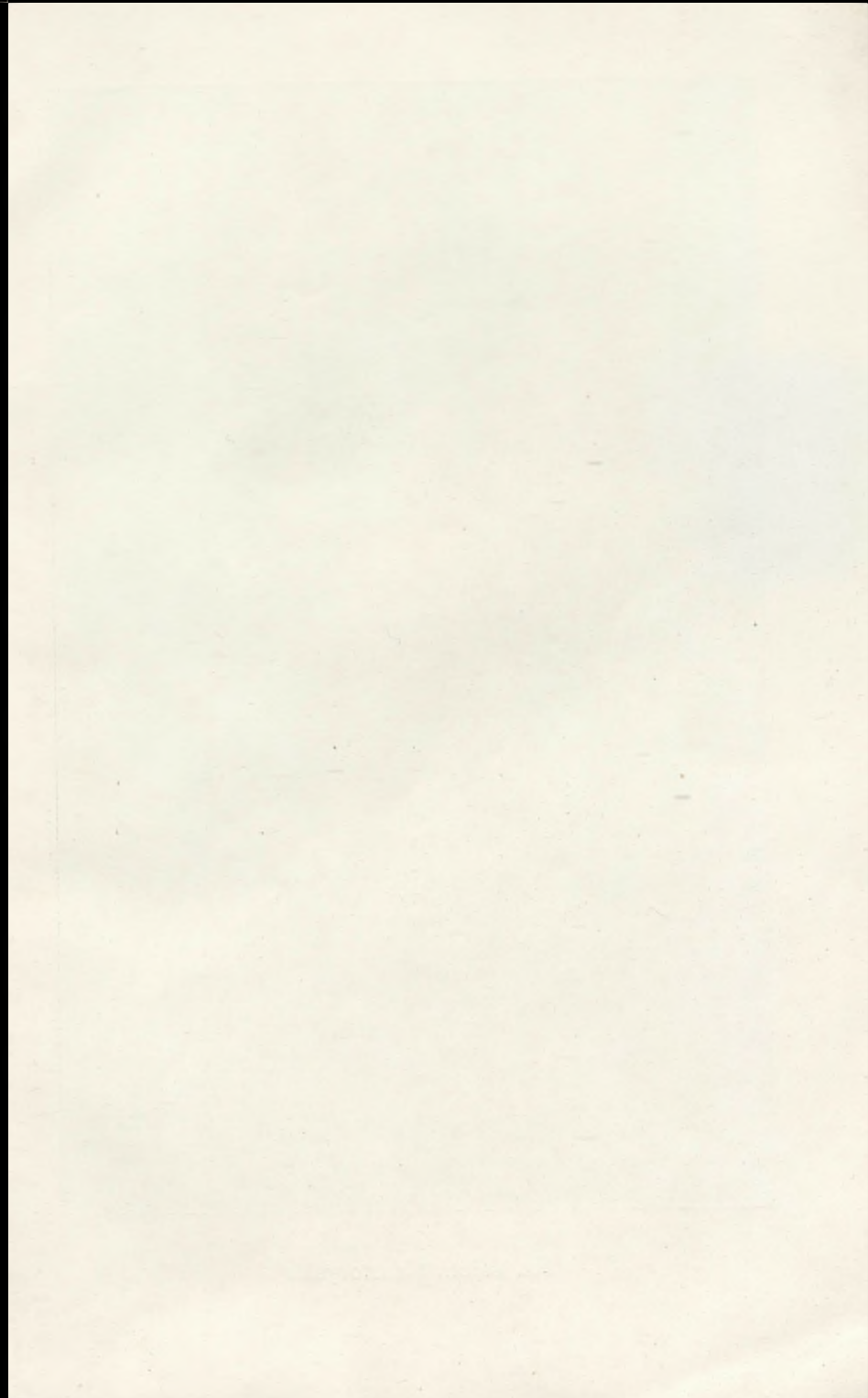
RAMOTY
STAREGO DETIUKA
O WOŁYNIU

WYDĄŁ I PRZEDMOWĄ OPATRYŁ
FR. RAWITA GAWROŃSKI

TOM II

KSIĘGARNIA STOWARZ. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO
WILNO — 1921
M. ARCT: WARSZAWA, POZNAŃ, LUBLIN, ŁÓDŹ, LWÓW







Ks. Adam Czartoryski.

ROZDZIAŁ I.

W Krzemieńcu cios bolesny mię dotknął. Władysław Chojecki tak mię polubił, że postanowił sobie po ukończeniu szkół przybrać mię za towarzysza podróży za granicę i nadal losu mego od swego nie odłączać. Ale jego przeznaczenie już się spełniło. Kochany od współuczniów, szacowany od nauczycieli, wzór młodych, pełen życia materialnego i moralnego, uderzony gorączką tyfusu, po kilkodniowej chorobie, na mojem ręku życie zakończył. Ciężko boleli tej straty przyjaciela koledzy, dla mnie dalszych widoków nadzieja upadła. Opłakali go nauczyciele, dyrektor Czech w tych kilku słowach do profesora księdza Osińskiego żal swój wyraził: „chciałem sam w niewielu wyrazach uczcić pamięć wydartego nam tak nagle zacnego młodzieńca, ale ten cios niespodziany tak silnie na nerwy moje podziałał, że czuję się mocno osłabionym i niezdolnym kilku słów skleić. Racz wspaniętą mi zastąpić i, oddając należną sprawiedliwość pięknym przymiotom zmarłego, zachęcić żyjących do naśladowania nieodżałowanego Władysława“. Mnie ten list był wręczony, zebrałem więc kilku ze ściślejszych przyjaciół zmarłego i poszliśmy do szanownego profesora. Nie odmówił naszej prośbie i wezwaniu dyrektora i wzniosłym Skargi językiem wspomniął znakomite zdolności i piękne przymioty duszy Władysława; żywo odmalował boleść niepokieszonych rodziców, żal szkoły, zasmucenie nau-

czycielów i współuczniów lży żaloszne. Ze łzami też naj-szczerzej żalozci odnieśliśmy zwłoki przyjaciela na od-legły cmentarz i własnymi rękami usypaliśmy mogiłę. Władze szkolne towarzyszyły mu do grobu.

Odtąd jeszcze ściślejsza przyjaźń łączyła mię z Pro-skurą niepokieszonym po stracie Władysława, którego jak brata kochał. Widział on przywiązanie zmarłego do mnie i znajdował pociechę zboliałemu sercu, zastępując dla mnie utraconego przyjaciela. Kochałem Stanisława, wysoko cenilem jego przyjaźń, ale strzegłem się nadużyć jego przyjaznych dla mnie chęci. Tymczasem interesa moje coraz przykrzejszy brały dla mnie obrót. Już więcej miesiąca stołowałem się na kredyt, gospodyni oświadczyła, że na następny kredytować nie myśli. Przychodów nie było, reszta przeszło-kwartałowego poszła na obu-wie, na pranie bielizny. Napisałem do matki, najwierniej malując moje położenie, i spodziewanej pomocy oczeki-wałem. Oko prawdziwej przyjaźni dostrzegało coś nie-pewnego w mojem położeniu, ale ja zawsze porządnie odziany, nie użalając się na żaden niedostatek, potrafiłem oszukać czujność przyjaciela. Gospodyni zaczęła silniej mię naciskać o wypłatę należną, prosiłem o zwłokę, da-remnie: „natychmiast pieniądze, albo pójdę do p. pre-fekta“; właśnie o to mi najbardziej chodziło. Co mam tu robić? W tym samym domu mieszkał uczeń 3-go kursu Bahrynowski, miał dwóch uczniów i dobrą u nich kon-dycję. Z wielką dla mnie okazywał się przyjaźnią; nieraz długie zimowe wieczory przepędzaliśmy na czytaniu francuskich klasyków, których język lepiej znałem od niego, pomoc moja wielce go zobowiązywała. Do niego więc w potrzebie udaję się; pożycz mi 80 zł. z terminem oddania przed wyjazdem na wakacje. Uściskałem przy-jaciela, opłaciłem com był winien za stół, a że nie było czem za miesiąc zapłacić z góry, nie przyjęto mię nadal i z kilkunastu pozostałych złotych opędzam potrzeby, jak mogłem. Często wprawdzie z lekcji wymowy koledzy zabierali mię ze sobą do Malawskich na obiad, ale stara-

łem się o ile możności unikać tych daremnych obiadów, bo mi się zdawało, że przez to stawałem się pieczenia-rzem. Mieszkający w tym samym domu Bahrynowski nie postrzegał mego niedostatku, ale staruszka, gospodarująca u jego uczniów, poznała moje położenie i częste ze stołu swych paniczów udział dla mnie robiła, bo to była kobieta, bo to była matka, której syn w moich latach gdzieś daleko w Ukrainie służył, bo biedna dawno już, dawno od niego wiadomości nie miała. Wszystkie te jednak wypadkowe posiłki nie trafiały się codziennie, i niejednym dzień przeszedł o bułeczce groszowej, i nic więcej, i tak było do wiosny. Nie przeszkadzało to jednak zabawom zapustnym. Nauczyciele lubili mię za moją w towarzystwie wesołość i żadnego wieczora nie opuściłem; podałem projekt wieczorków składkowych i ten z zadowoleniem przyjęto; bawiliśmy się i tańcowałem wszędzie i dużo, a osobliwie walca, na czem buty moje wielce ucierpiały. Właśnie wszedłszy w post, kiedy wiosna błotnisto się rozpoczynała, ja zostałem w pięknie wyszuwawkowanych butach, z tekturowemi podeszwami. I tego nikt nie widział, bo to nie przeszkadzało po kamyczkach przedybać na lekcje. Czasem wieczorem u Malawskich chcieli mię na noc zatrzymać, ale bojąc się odkrycia moich butów, składałem się, że mam na stacji korepetycję łacińską i to mię uwalniało.

Zbliżyła się wielkanoc, z Tuczyna niema odpowiedzi. Proskura wybierał się na święta do domu i mnie chciał wziąć ze sobą. Zręcznie się wymówiłem oczekiwaniem listu od matki i, kiedy tak rozmawialiśmy, wchodzi Legocki, poważny lokaj Proskury, który dojrzał kalectwa moich butów, i proponuje mi, czy nie kupiłbym sobie u niego butów nowych, które, że na pana jego ciasne, darował mu, a on chce je odstąpić. Proskura wysunął się nieznacznie, ażeby mię nie mieszać moim niedostatkiem. Buty były do moich nóg, Legocki przyrzekł, że sekretu mego nie wyda i na zapłatę poczeka. Opatrzność Boska! pomyślałem sobie. Ale na stacji inna czekała mię scena. Na samym

progu spotyka mię Bahrynowski upominając się o pieniądze. „Janie!“ — odpowiedziałem — „kiedyż termin?“ „A co mi tam termin, ja teraz potrzebuję“. „Zmiłuj się! ty potrzebujesz? możesz to mówić?“ „Dajmy na to, że mam zapas, ale potrzebuję!“ „Bądź cierpliwy! proszę cię! po świętach przyszlą mi z domu, z podziękowaniem oddam“. „Et, co mi tam! — ja, żebym był żydowi oddał, toby mi za ten czas procent zapłacił!“ O! te słowa mniemanego przyjaciela, jak nożem w serce uderzyły. Nie odpowiedziałem, spojrzałem tylko na niego, ale w tem spojrzeniu wszystkie moje uczucia mógł wyczytać; wyszedłem co prędzej i u winiarza Bunia, u którego po przyjeździe moim do Krzemieńca kilka dni mieszkałem, zastawiłem mój złoty zegarek za pięć dukatów i natychmiast oddałem dług Bahrynowskiemu, prosząc go tylko, aby mię uwolnił od tych codziennych godzin czytania z nim po francusku, bo z wiosną oddać się botanice potrzebuję. Na święta Malawscy zabrali mię do siebie. Przyjąłem ich łaskę z wdzięcznością, ale już tym razem zacząłem przemyślać nad dalszą moją karierą. Z domu ani słowa, przychodu żadnego, dług ogromny, żyć trzeba, a tu stołu niema czem opłacić. Wsparliby przyjaciele, ale miałem się uniżyć i prosić? O! to byłaby jałmużna! a mnie młodemu, zdrowemu, wypadałoż wyciągnąć rękę i żebrać? O! nie, lepiej cierpieć! Biłem się z myślami moimi, a żadna dobra nie przychodziła. Biedziłem się i cierpiałem.

W czasie świąt zmarł zamożny obywatel, podczaszy Kamiński. Czwartek, piątek, sobotę przed przewodnią naznaczono na uroczysty obchód; mnóstwo obywatelstwa z powiatu i liczna zmarłego rodzina zjechali się do Krzemieńca, między innymi szambelaństwo Radziwińscy. Syn ich starszy Józef stał u ks. Osińskiego i dobrze mi był znajomy, bo nieraz z nim przed lekcją ks. Osińskiego powtarzałem tłumaczenie łaciny, czem i młodego Józefa sobie życzliwość zjednałem i łaskawe uważanie ks. profesora zyskałem. Pp. Radziwińscy odwiedzając syna i

mnie tam zastawali i nieraz z samym przyjemną o znajomych mi wielkich domach wołyńskich we francuskim języku pogadankę miewałem. Szambelaństwo mieli w domu młodszego syna Feliksa i potrzebowali człowieka, któryby go do klasy trzeciej w domu przygotował. Józef mnie nastęrczył. A że szambelaństwo, nieraz mówiąc o mnie z ks. Osińskim, łaskawe jego o mnie słyszeli zdanie, łatwo przyjęli przedstawienie i w sobotę wieczorem dość korzystnie z nimi się umówiłem. Za tydzień mieli przysłać po mnie i część jakąś umówionego wynagrodzenia. Spokojny o przyszłość, układałem sobie, jak czas rozporządzić, ażeby i obowiązkowi zadość uczynić i samemu nad sobą pracować; ale w duszy odzywał się żal za przyjaciółmi, a może i za miłą młodemu niezależnością.

Pp. Radzimińscy na wyjeźdźnym odwiedzili jeszcze ks. Osińskiego. „Cóż, macie państwo kogo dla Feliksa?“ „Mamy“ — odpowiedział lakonicznie szambelan. „I człowieka sposobnego“ podchwyciła szambelanowa, którego i ks. profesor bardzo lubi. „I kogoż to?“ — „P. Antoniego“. — „Któż go do państwa wprowadził?“ — „Józio“. — „Już się umówił?“ — „Umowa skończona, za tydzień po niego przyszlemy“. — „Nie mam co powiedzieć, winszuję wyboru. Ale czy władza szkolna zezwala, bo to, rozumie pani, w ciągu roku szkolnego“. — „To ja będę u p. Czecha“ — odezwał się szambelan. Wieczorem wyjechali pp. Radzimińscy, a ja o tej rozmowie nie wiedziałem. W niedzielę uczniowie od Malawskich zabrali mię ze sobą z kościoła na obiad; już tam wiedziano o moich układach, zacięni Malawscy wzięwszy mię na bok, zapytywali o przyczynę. Przyznałem się, że niemożebność utrzymania się w Krzemieńcu zmusiła mię przyjąć na wsi obowiązek i z żalem opuścić przyjaciół i nauki. „Szkoda!“ — odpowiedzieli oboje i na cały czas do wyjazdu wzięli mię do siebie. Proskury jeszcze nie było; drudzy wymawiali mój pośpiech, różne robili uwagi i różne podawali projekta; widać w nich było współczucie, nikt jednak istotnie ręki nie podał. Siedzieliśmy u stołu, gdy oddano

mi karteczkę od ks. Osińskiego wzywającą mnie do stawienia się na wezwanie. Zostałem ks. profesora w jego pokoju, Józefa nie było. „Co, rozumie pan“, — odezwał się z uśmiechem — „pan się umówił z pp. Radziwiński-



Ludwik Osiński

ur. 1775 r., zm. 1838 r.

Według portretu Ant. Brodowskiego w zbiorach warsz.
Tow. Z. S. P.

mi?“ — „Tak jest i za tydzień wyjeżdżam na wieś“. „To dobrze, rozumie pan. Cóż spowodowało do tak nagłej decyzji?“ „Moje przykre położenie“. „Radziłeś się kogo?“ „Nie“. „To źle, rozumie pan, proszę mnie posłuchać. Znam ten dom. Sposobiąc Józefa, trzy lata temu bawiłem, i tyle panu powiem: ojciec, człowiek rozumny, uczony i wymagający; matka słaba i widzi niedaleko; syn pieszczony i nie lubiący się uczyć; stąd łatwo wniesiesz, co cię w tym domu czeka. Gdybyś był mnie się poradził, rozumie pan, możebym i więcej co mógł powiedzieć, dziś klamka zapadła, potrzeba jechać. To, coś ode mnie usłyszał, niech ci będzie przewodnikiem w twojem postępowaniu. Z serca życzę, rozumie pan, ażebyś nie żałował swego pośpiechu i o ile można czuwać będę nad panem. Proszę wierzyć mojej życzliwości“. Ucałowałem rękę szanownego kapłana, w którego głosie prawdziwe przebijało się współczucie i z uciśnionem sercem wyszedłem.

Ledwie wstąpiłem na ulicę, spotykam prof. języka greckiego, na którego lekcje z korzyścią chodziłem. „Pan chcesz nas opuścić?“ — zapytał. „Tak jest mci profesorze“. „I bez naradzenia się z profesorami, i bez wiadomości p. Czecha¹⁾“. „Zdawało mi się, że ubycie tak mało znaczącego ucznia, nie zrobi w gimnazjum różnicy“. „Nie myśl pan tak. Byłem dopiero u p. Czecha, ks. Osiński²⁾

1) Józef Czech (1762—1810) z Krakowa powołany przez Czackiego na dyrektora liceum w Krzemieńcu. Wydał Euklidesa: *Początki geometrii*, Wilno 1807, II wyd. 1827; *Krótki rys arytmetyki*. Wilno 1807.

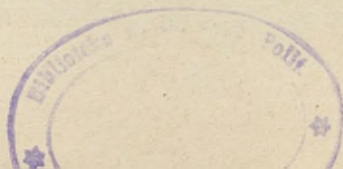
2) Osiński Alojzy (1770—1842). Najprzód Pijar i profesor w szkołach pijarskich. Od r. 1806 wykładał w liceum wołyńskim liter. polską, łacińską i starożytności rzymskie. Pisarz niezmiernie pracowity. Ważniejsze prace: *Słownik mitologiczny z przyłączeniem obrazo-pisma (ikonologja)* Warszawa, 1802—1812; *O życiu i piśmie* Tadeusza Czackiego. Krzemieniec 1811. W rękopisie pozostać miały: *Słownik pisarzy polskich* i *Słownik języka polskiego* w 14 tomach. Pozostało po nim przeszło sto tomów rękopisów, które niewiadomo gdzie się podziały. Umarł w Olyce na Wołyniu w dzisiejszym pow. Dubieńskim.

doniósł mu o zamiarze pana, i p. Czech ma w tym względzie zrobić panu swoje uwagi. Jeżeli to jeszcze odmienić się może, proszę w domu moim przyjąć przyjacielski kątek". Czule podziękowałem za tak przyjazne wezwanie, ale oświadczyłem, że mój wyjazd nieodmienny. Wróciwszy do Malawskich, wszystko im opowiedziałem. „Wiem o tem, rzekł zacny Malawski, byłem razem z ks. Osińskim u p. Czecha". Ciężko mi było na sercu, czułem, że nierozważnie postąpił, nie powierzając się nikomu i niczyjej nie zasięgając rady, ale rady na złe w sobie nie znajdowałem.

W poniedziałek, przy wyjściu z kościoła, prefekt Jarkowski¹⁾ spotkał mię na galerji. „Cóż to, moje dziecko, chcesz porzucić gimnazjum i na domówkę się wybierasz?". „Tak jest mości prefekcie dobr." „Dlaczegoż to władza szkolna o tem nie wiedziała?" Milczałem. „Wstydzileś się przyznać, żeś biedny? To wstyd fałszywy! Biednych więcej na świecie, niż bogatych. I jam nie z bogatych powstał. Praca i statek z ubóstwa wywodzą. Wiem, moje dziecko, coś miał przybywszy do Krzemieńca, jakie miałeś przychody i jakie wydatki. Miło mi, pocieszyć się tem, że władza szkolna wiadoma twego postępowania, niema ci nic do zarzucenia, prócz tego, żeś bez jej wiedzy sobą rozporządził. Ale to jeszcze da się przerobić, a u mego stołu zawsze miejsce na ciebie czekać będzie". Ucałowałem rękę szanownego naczelnika, on mię w głowę pocałował. „O! nieodmawiaj mi, ojcze dobrodzieju, i nadal swojej protekcji!" zawołałem. „Prowadź się zawsze pocziwie, moje dziecko, a prefekt zawsze ci będzie życzliwym!" i aż do jego zgonu doznawałem jego ojcowskiej opieki.

Uczniowie zbierali się do klas, u mnie lekcji nie było, wyszedłem. Dążyłem do mojej kwatery, aby tam samotny, spokojnie moje obecne położenie rozbierać; ale po-

¹⁾ Antoni Jarkowski, prefekt liceum Krzemienieckiego. Szczegóły dalej.



trzeba było przechodzić koło dyrektorskiego ganku. Czech stał na wschodach i, ujrawszy mię, dał znak, aże-
bym się przybliżył. „Proszę z sobą“, rzekł wchodząc do
sali, „mam z wmpanem do pomówienia“. Piękna twarz
tego czcigodnego męża oddawała wyraz wysokiego ro-
zumu i dziwnej słodyczy charakteru, które go cechowały,
drżałem jednak nieco, wchodząc za nim, i myśli zebrać
nie mogłem. „Ks. Osiński“, rzecze, „mówił mi, że wmpan
opuszczasz gimnazjum, i żeś się z Radziwińskimi rocznie
umówił?“ „Nieinaczej“. „Jakież do tego miałeś powody?“
Milczałem. „To ja wmpanu powiem“. „Nie miałeś się
z czego utrzymać?“ Milczałem i łza spadła z mych oczu.
„Zgadłem? — rzekł biorąc mię za rękę — nie wstydz się
dobry młodzieńcze! i, jak ojcu, opowiedz mi swoje poło-
żenie“. „Ucałowałem podaną mi rękę i opowiedziałem mu
o moich rodzicach, o p. wojewodzie, o opiece hr. Chod-
kiewicza, oraz o przyjeździe i szczegółowo o pobycie mo-
im w Krzemieńcu, nieraz łzy mowę mi tamowały i opo-
wiadanie przerywać musiałem. Słuchał cierpliwie, z uwa-
gą i z pełnym słodyczy wyrazem oblicza, gdym skoń-
czył: „Wierzę!“ odpowiedział głosem, w którym się ma-
lowało głębokie współczucie — wierzę wszystkiemu,
coś mówił; mam ci jednak do zarzucenia, żeś we mnie
ufności nie położył i oddawna mi położenia swego otwar-
cie nie powierzył; ale nie znałeś mię, a młodzi tak trud-
no do ufności w przełożonych nawykają! Jako człowiek
kochający bliźniego, starać się będę nieść ci ulgę i po-
moc; jako dyrektor, zalecam zerwać umowę i pozostać
w gimnazjum. „Zerwać umowę? — zawołałem, czyż mo-
gę?“ „Czy wzięłeś naprzód co pieniędzy?“ „Chowaj
Boże! dawano, ale wziąć nie chciałem zadatku, jak rze-
mieślnik“. „To bardzo uczciwe. Możesz zerwać umo-
wę, bez opowiedzi władzom szkolnym, zawartą, i to za
wymówkę położyć, że do końca roku szkolnego taż wła-
dza zarządzać ci sobą nie pozwala. P. Radziwiński czło-
wiek rozumny, uzna słuszność twojej wymówki i od sło-
wa się uwolni. O dalszem utrzymaniu pomyślimy; tym-

czasem Malawscy dom swój i wygody ofiarują. Jurkowscy także, z obowiązkiem, w chwilach wolnych od nauk, zajęcia się ich uczniami. W gimnazjum jest suma na pomoc dla biednych uczniów przeznaczona, proszę się udać do mnie, ja chętnie ile potrzeba zaasygnuję. Teraz idź, i myśl o napisaniu do pp. Radziwińskich, a najlepiej, poradź się w tym względzie ks. Osińskiego, który wmpanu prawdziwie sprzyja. Żegnam cię, pewny, że nadal będziesz otwartym z władzą szkolną i więcej w niej zaufania położysz". Ucałowałem ze łzami najżywszej wdzięczności rękę czcigodnego naczelnika i poszedłem do Malawskich. Nazajutrz pod okiem i z poradą ks. Osińskiego napisałem do pp. Radziwińskich, przyłączyłem pismo urzędowe dyrektora, wzbraniające mi opuszczać gimnazjum, i po niedługim listowaniu uwolniłem się od danego im słowa.

Wrócił i Proskura, a gdy mu opowiadano o moich przejściach, z najzimniejszą krwią powiedział: „szkoda, żeście mu nie dopuścili pojechać!" Ubodła mię ta obojętność człowieka, którego kochałem, i którego przyjaźń zdawało mi się, że posiadam, poznać jednak tego po sobie nie dałem i dobra harmonja trwała między nami. Lепiej mi już było, nie cierpiałem głodu, bo Malawscy z rodzicielską uprzejmością u siebie mię karmili, a noclegi, to u nich, to w mojej kwaterze odbywałem. Gotówki wprawdzie nie było, ale nie było i potrzeb, kłopotał mię tylko zegarek w zastawie, ale się nie troszczyłem, ożywiała mię w Bogu nadzieja, bo miałem wiarę i powoli wróciło w całej swej sile życie moje moralne.

Lekcje botaniki w zastępstwie prof. Szejdta, dla słabości nie wychodzącego już z domu, dawał Jaworski pomocnik, i ja tym lekcjom przysłuchiwałem się. Mała różnica lat, podobieństwo temperamentów, prędko Jaworskiego do mnie zbliżyły, często po górach razem robiliśmy ekskursje; ale w dalsze okolice, Jaworski wysyłał mię z ogrodnikiem Grabowskim. Nikomu ze słuchaczy botaniki nie szło tak dobrze, jak mnie, bo początki wileń-

skie, rozwijałem sobie w Tuczynie i w Cepcewiczach i teraz mi one w przygodzie stanęły i postęp mój u prof. Szejta dobrą mi zjednał opinię. Ekskursje te jeszcze pod jednym względem korzystne dla mnie były. Pod ich pozorem mogłem się absentować od codziennego sposobu życia i w samotności o swoich, o sobie podumać; wycieczki te od połowy kwietnia już się zaczęły.

Ósmego maja przypadały imieniny Proskury. Nie tylko od kolegów, ale i od nauczycieli powinszowania odbierał i wszystkich Malawscy do siebie na wieczór zaprosili. Z siódmego na ósmy nocowałem u Proskury i na prośbę jego zająłem się przygotowaniem sutego podwieczorku. Po mszy św. przyjaciele wyciągnęli solenizanta na przechadzkę ku Żołobom. W miejscu gdzie się z jaru wychodzi w połowie drogi na płaszczyznę, koledzy niby rozbiegli się po lasku, ze Stanisławem zostali tylko Piotrowski i Czajkowski Symforjan. Wtem z pomiędzy drzew wysuwa się starzec i pozdrawia pięknym wierszem solenizanta, a wszyscy koledzy wieńcem go otaczają. Starcem ja byłem; wiersze Eligi napisał. Nie dochowała pamięć tych tkliwych wynurzeń przyjaźni i nawet przepisane zatraciły się z czasem. Z rozrzewnieniem przyjął Stanisław przyjaźni wyrazy i weseli wróciliśmy na suty obiad. Wieczorem prefekt i większa część nauczycieli zebrali się do stancji Proskury, ale po herbacie przenieśliśmy się wszyscy na obszerniejsze pokoje Malawskich, gdzie przy hojnym traktamencie i nieoszczędnych kielichach szampana i węgryzna, długo za północ bawiliśmy się śmiało, bo jutrzejsza niedziela i obecny szanowny nasz kapelan zapewniali nas, że do dziewiątej jutro spać można.

Kilka dni przeszło po imieninach Stanisława i dnie, w których nie miałem lekcji, całe między górami przepędzałem, skąd rośliny do założonego już botanicznego ogrodu znosiłem. Raz jeden tak się opóźniłem, że już noc była, gdy wróciłem zmordowany prosto na moją kwaterę. Rzuciłem się na łóżko nierozebrany i smaczno zasnąłem.



Miło mi się marzyło: widziałem matkę, siostry i moich nowych przyjaciół, byłem z nimi i błogo mi było. Płacz dziecka mojej gospodyni ze snu mnie miłego obudził. Żal mi było, że mi się ocknął i rozbierałem sobie wszystko, co mi się śniło, wtem słyszę jakby gang zegarka. Kołatek, pomyślałem sobie, gdzie się w starych ścianach drewnianych odzywa, i obróciłem się na drugą stronę, ale gang jeszcze wyraźniej z pod poduszki słyszeć się dawał. Dreszcz po mnie przeszedł, serce bić mocniej zaczęło, siadłem, i ściągnąć ręki pod poduszkę nie śmiałem. Nie mogłem pojąć, jakimby sposobem zegarek mój do mnie się dostał, kiedy prócz mnie i poczciwego Bunia nikt o nim nie wiedział. Pytali mnie wprawdzie czasem koledzy, „gdzie twój zegarek?“, ale ich zbywał, że w Dubnie u zegarmistrza. Biedziłem się w myślach i już dniało, kiedy odważyłem się podnieść poduszkę. Istotnie, leżał mój zegarek, mój własny zegarek nakręcony i zregulowany. Zapłakałem na jego widok i przycisnąłem do serca tego towarzysza uczuć i myśli moich. Drogim on był dla mnie, bo to był upominek tak szacownego sercu mojemu wojewodzica Józefa Walewskiego. Cieszyłem się odzyskaniem tego miłego sprzętu i bawiłem się nim, jak dziecko i nie dziw — miałem dopiero lat dwadzieścia.

Rano szedłem do kościoła i rzewną była moja modlitwa, stamtąd na lekcje z postanowieniem niepokazywania się tego dnia u Malawskich. Ale gdzie tam! dobrzy koledzy wzięli mnie pod rękę i poprowadzili. Proskura szedł zdala z najobojętniejszą miną niepodzielając pustych żartów, ale i mnie nie do śmiechu było. Siedliśmy do stołu, Malawska zapytała mnie, która godzina? „Pierwsza“ odpowiedziałem patrząc na zegarek. „Cóż? odebrałeś go już od zegarmistrza?“ — zapytał zimno Stanisław — „zapewnie teraz iść będzie dobrze, bo długo się reparaował“. Zaczerwieniłem się, wstyd mi było mojego kłamstwa. Po obiedzie zacna profesorowa, odprowadziwszy mnie na bok, zapytała: „któż ci oddał twój zegarek?“ „Nie wiem i domyślać się nie śmiem“. Ja ci powiem, jak było. Wiesz, że

Staś brał wina u Bunia na rejestr, trzeciego dnia posłał swego Legockiego, ażeby się rozplacił. Sprawiwszy się u winiarza i złożywszy panu rachunek i resztę pieniędzy, „co ja panu powiem — rzeknie — u Bunia jest zegarek p. Antoniego“. „Czyś się nie omylił?“ Nie, wszak ja ten zegarek znam dobrze, Buń zaprzeczał, mówił, że to jego własny fant i sprzątnął go z przed moich oczu“. „Być może“—odpowiedział Staś i zaraz mnie o tem zawiadomił“. Cóż z tem zrobisz? spytałem. „Już ja wiem, wziął czapkę, zawołał z sobą Legockiego i poszedł. Buń, zobaczywszy Proskurę, myślał, że jakie nieporozumienie w rachunkach zaszło, ale grzeczne powitanie uspokoiło go. Chcę z wmpanem sam na sam pomówić. „Nu proszę jaśnie pana do mojej izdebki“. Weszli, winiarz drzwi ze środka zaszczepnął? „U wmpana jest zegarek przyjaciela mego p. Antoniego?“ „Nu co tu przed jaśnie panem taić, jest“. „W zastawie?“ „Za pięć dukatów“. „Dawno?“ „Niech pan datę zobaczy“. Staś pokiwał głową i z cicha wymówił: „dwa miesiące! biedny!“ „Czy pan chce za niego zapłacić?“ „Zapłacę, bo mam przysłane dla niego pieniądze, ale i procent za ten czas należy?“ „Nu, ja biednego dobrego człowieka obdzierać nie chcę, po dwa grosze z rubla na tydzień, będzie dość ze mnie“. „Może i to za wiele!“ „No, co jaśnie pan naznaczy, to ja wezmę“. Dobył Staś 17 rubli, żyd oddał mu zegarek i twój rewersik. Proskura wręczył go Legockiemu, ażeby korzystając z twojej niebytności, cichaczem ci pod poduszkę podłożył i to tak się udało dobrze, że staruszka, u której klucz zostawiasz, widziała tylko, że Legocki książkę jakąś na stole położył. Ale czy ci nie mówiła o tem?“ „Wczoraj późno przyszedłem, stancja nie była zamknięta, staruszka już spała, a dziś jej jeszcze nie widziałem“. Łzy mi oczy zalewały, słuchając opowiadania Malawskiej, ucałowałem jej ręce i skoczyłem do pokoju Stanisława.

Siedział sam i czytał ulubionego sobie Rasyna. Rzucałem mu się na szyję i z płaczem wołałem: „Dobroczynny! wspaniały przyjacielu!“ „Cóż to za dramatyczna sce-

na?" rzekł z udaną obojętnością. „O! nie udawaj! nie udawaj“, mówiłem, „wiem wszystko! „No, kiedy wiesz, to się uspokój, siądź i słuchaj!“ Tu dowiedziałem się dopiero, że Legocki z polecenia swego pana śledził moje kroki i czuwał nad mojem postępowaniem. Wiedział u kogo bywam, kto mię odwiedza, z kim ściślejszą mam znajomość, kiedy nawet i gdzie byłem na ekskursji, historii tylko zegarka i mojej biedy wyśledzić nie potrafił, i o wszystkim Stanisławowi i Malawskiem donosił. „Dzięki Bogu! nic nagannego w twem prowadzeniu się nie okazało, ale nie mniej przez to mam żal do ciebie, żeś się z niedostatkiem twoim tak starannie ukrywał. Wiem, lękałeś się jałmużny? Czyż przyjaźń nie potrafi znaleźć sposobów przyniesienia wsparcia, nie licząc na rękę brzęczącej monety? Skrytość twoja naraziła cię na tyle kłamstw, na zobowiązanie się i zerwanie z Radziwiłłskimi, i nakoniec musiał się wykryć twój stan rzeczywisty. A gdybyś był wćcej zaufał, nie mówię mnie młodemu, ale Malawskiem, którzy cię, jak syna kochają, wszystko byłoby się zrobiło i cicho i dobrze. Względem siebie, nic ci nie wymawiam, bo się jeszcze o moich dla ciebie uczuciach przekonać nie mogłeś, ale odtąd wierzyć mi może będziesz, tego wymagam, to będzie dowodem, że mię kochasz i przyjaźń moją cenisz“. Rzuciłem się w objęcia Stanisława, płakałem, ale i na jego oczach łzy były. „Słuchaj“, mówił dalej, „kochany nasz Czech kazał ci odnieść się do niego w potrzebie pieniędzy; zachowaj wdzięczność za jego ojcowskie dla ciebie uczucia, ale pieniędzy nie bierz; myśmy inną pomoc dla ciebie obmyślili. Marszałek Borejko, wuj Władysława, napisał do Malawskich, ażeby wszelkie pozostałości po nim zlicytować i sumę zebraną na ubogich rozdzielić. Ty się wcale do zamożnych nie liczysz, kochałeś Władysława, on cię kochał, on chciał nadal łosem się twoim zająć, miło będzie jego duszy, kiedy znaczna część tej sumy tobie się dostanie; i już to z Malawskimi ułożyliśmy“. Dziękowałem Stanisławowi, dziękowałem czcigodnym moim Malawskim i już odtąd

nie bez ich rady nie przedsiębrałem. Resztę dnia na milej przyjacielskiej pogadance przeszło, i tam przenocowałem. Następnego dnia miałem jechać z Jaworskim na Bużę górę i wybrany oczekiwałem go na galerji. Już było około dziesiątej; przybliża się do mnie jakiś młody człowiek, przystojny i przystojnie ubrany, i o mnie się pyta. „Ja sam jestem, co pan żądasz?“ „Racz się pan pofatygować ze mną do zajezdnego domu, tam pana czekają znajomi“. „Któż taki?“ „Tego mi powiedzieć nie kazano“. „A pan kto jesteś?“ „Także dobry pański znajomy“. Zaintrygowany taką mistyfikacją poszedłem za chłopakiem, którego rysy w istocie nie były mi obce. Ale jakaż radość moja była, kiedy wchodząc do izby, zastałem pp. Walewskich Józefa i Feliksa. Tak byłem wzruszony, taki zamęt w moim umyśle i sercu powstał, że nie pamiętam, jak się z nimi witałem. Oba byli w żałobie, domyśliłem się zaraz przyczyny i gorzko z nimi zapłakałem nad stratą mojego dobroczyńcy p. wojewody. P. Józef oddał mi list od matki i sióstr i 5 dukatów, jako udział od matki, o którym w liście nic mi nie pisała. Domyślałem się czyj to dattek, przyjąłem, nie dając poznać, że się domyślam, bo wiedziałem, że podziękowanie niemiłemby mu było. Pp. Walewscy poszli do p. podczaszyny Czackiej, mieszkającej już od jesieni w Krzemieńcu, i zażądali, ażebym został na stacji do ich powrotu, zostałem więc z młodzieńcem, który mię przyprowadził. Był to istotnie znajomy, wychowaniec domu p. wojewody, syn zasłużonego oficjalisty, a teraz gatunek sekretarza przy p. Józefie, podczas jego marszałkostwa w rowieńskim powiecie, Wincenty Kłosowski. Dwór ogładził go pięknie, a przytem pocziwy był chłopiec, miłe mi więc z nim było przypomnienie Tuczyzna.

Panowie Walewscy zostali na obiedzie u podczaszyny, ja obiadowałem z Wicusiem. Od niego dowiedziałem się wiele szczegółów o Tuczyźnie, od czasu mego wyjazdu wydarzonych. Jak dziwne zrządzzenia losu! Oleszkiewicz wróciwszy z Paryża zaproszony był do Tuczyzna, dla zro-

bienia hrabstwu portretu p. wojewody. Znajomy mu był dom p. wojewody jeszcze przed wyjazdem za granicę. Znał moją matkę i bardzo ją szanował i w Tuczynie był tak jak w domu. Siostra moja młodsza, piękna brunetka, od razu wpadła w oko estetycztemu artyście i rysy jej odbiły się w obrazach później malowanych. Wezwał protekcji p. wojewody i hr. Chodkiewiczów, ci umieli wyperswadować matce mojej, jak stosowną i korzystną była dla Karoliny partja, gdyż Oleszkiewicz miał zapewnione po Smuglewiczu profesorstwo w uniwersytecie wileńskim. Matka moja rada była pięknemu postanowieniu córki i niekochającą Oleszkiewicza potrafiła przekonać, że z nim będzie szczęśliwa. Od roku już skojarzyło się to małżeństwo, biedna moja Karolina została Oleszkiewiczową i nigdy z nim szczęśliwą nie była. Więcej jeszcze okoliczności opowiadał; o tych na swoim miejscu wspomnę. Pp. Walewscy od p. podczaszynej wróciwszy zaraz wyjechali. Czułe było moje z nimi pożegnanie, p. Józef polecił mi, ażebym we wszystkich moich potrzebach najśmielej do niego się odnosił. Dziękowałem za dar i za dalsze mną interesowanie się i ciężko mi było rozstawać się z nimi, i żal długo pozostał w sercu mojem po ich odjeździe.

ROZDZIAŁ II.

Skończył się rok szkolny, starosta Czacki był jeszcze w Petersburgu, brat jego p. podczaszy kor. zastępował go na egzaminach, zjechał i ks. biskup Cieciszowski, tak dawno mi znany, i wielu znakomitych obywateli. Egzamina były surowe, ale przygotowanie uczniów całoroczną pilnością, tak było piękne, że tę konieczną surowość chwalębnie wytrzymało. Konieczna ta surowość była skutkiem starań zwierzchności szkolnej dla przekonania obywatelstwa o niesprawiedliwym zachowaniu się ufności do założyciela gimnazjum, gorliwości nauczycielów i pilności

uczniów, którym zatrzymanie ich dobroczyńcy żadnej w naukach przeszkody, ani tamy nie położyło. Spokojne i moralne sprawowanie się młodych w obecnym stanie politycznym, służyło dowodem czujności szkolnego rządu. Pożądaný skutek uwieńczył gorliwość i trudy. Ojcowie młodych wychowawców gimnazjum Krzemienieckiego, serdecznie zadowoleni i postępem w naukach i moralnem prowadzeniem się swych dzieci, najczulej dziękowali władzom szkolnym i błogosławili założyciela tej szkoły.

Na wakacje zabierał mię z sobą Proskura. Gdyśiny już siadać mieli, Malawski wziął mię na stronę i powiedział: „Antosiu! jedziesz w dom nowy dla ciebie, zamożny, będą ci radzi nie wątpię, bo ze Stasiem przyjedziesz, ale czy ci co dadzą, to zgadnąć trudno, a znam ciebie, że nie poprosisz, lepiej więc jeśli swój grosz mieć będziesz. Masz tu pięć dukatów, które żona moja z licytacyjnych pieniędzy umyślnie na to zostawiła. Usłuży ci kto, wypiorą ci bieliznę i t. p. zawsze miło, kiedy jest czem się wywdzięczyć. Uściskałem czcigodnego profesora, profesorowej rączki ucałowałem i pojechaliśmy. Siedem nas bryk w jedną stronę jechało—piękna kompanja przyjacielska. Na noclegu w Katerburgu zahulaliśmy sobie na odjezdnem ucziwie, ale tylko do humoru, bez żadnego brudnego następstwa. Wstępując po drodze do domów rodziny Proskury, ledwie na końcu drugiego tygodnia za-jechaliśmy do jego domu, do Wasylowa w powiecie wasylkowskim.

Stanisław Proskura był synem szambelana Proskury z kasztelanki Podoskiej, miał siostrę młodszą i dwóch młodych braci Józefa i Antoniego. Stryj jego Kajetan, prezes s. Gł. Kij., dotąd z żalem i uwielbieniem wspomniany w Ukrainie, życie jego pełne cnót najwyższych publicznych i domowych zajęłoby opisem tom nie mały. Wylany, jak ojciec dla całej rodziny, kochał Stanisława, jak syna, bo w nim widział obraz swej duszy. Siostry prezesa za znakomitymi były obywatelami ukraińskimi i wszystkie ser-

cem i umysłem jemu podobne. Któż z uszanowaniem nie wspomni generałowej Jerliczowej, której dom czcigodny był szkołą tylu obywaterek? Druga siostra była za podkomorzym Piotrowskim. Cóż to za dom był wzorowy! Jaki obraz obyczajów staropolskich przy wysokiej nowej oświacie. Siedmiu miał synów, jeden z nich Eligi był w Krzemieńcu i szczyć się, że na jego przyjaźń zasłużyć potrafił. Podkomrzy zostawił synom piękny majątek i jeszcze piękniejsze imię prawego, cnotliwego obywatela! Nieodrodne od zacnych rodziców dzieci, znanymi są i dziś ze swych znakomitych serca i umysłu przymiotów.

Matka Stanisława miała jeszcze ojca. Stuletni zasłużony w kraju obywatel, kasztelan Michał Podoski był dziadem Stanisława. Cóż to za piękna była starość tego czcigodnego pana, ile życia w tej późnej starości, co za nieocenione serce! Jakie wysokie oświecenie, jaka pamięć i przytomność! Prawdziwa była rozkosz obcowania z takim mężem, ani można było dość nasycić się jego rozmową. To też kochanym był, więcej niż kochanym nawet u wszystkich, co się szczyli jego znajomością. Pohyt w domu kasztelana nader był miły każdemu, a ileż biednych pod tą senatorską strzechą przytułek znajdowało. P. kasztelan, jak sam o sobie opowiadał, za Augusta trzeciego służył w wojsku nietytularnie i do lat pięćdziesięciu żył, jak wszyscy za Sasów żyli. Za króla Stanisława stał się cywilnym i dwadzieścia lat w senatorskim krześle ojczyźnie radami służył. Po rozbiórce kraju osiadł w swoim majątku i spokojnie prowadził życie. Wstawał zawsze o piątej i wypiwszy herbatę pracował w swoim ogrodzie, pielęgnując rzadkiej piękności tulipany, hjacynty i najwyborniejsze brzoskwinie, dla których stółkociowe schronienie pod szkłem zbudował. O dziesiątej wracał do siebie, pił herbatę, ubierał się i wychodził na pokoje, gdzie już wszyscy bawiący w domu zbierali się. O dwunastej obiad, po obiedzie znowu herbata i pół godziny spoczynku. Potem ciągle już był w towarzystwie, któ-

re umiał zająć piękną rozmową i przywiązać do siebie niewymuszoną narodową uprzejmością. O dziesiątej szedł do siebie, jeszcze pił herbatę i parę godzin czasem czytywał przed zaśnięciem. Lubił czytać i na dobre dzieła kosztu nie żałował i piękny dobór książek posiadał. Tak pięknie dożywszy sto siedm lat, zakończył piękne życie, pięknym sprawiedliwych zgonem. Ani czas, ani okoliczności nie zatarty w mej pamięci tego czcigodnego męża i dziś go jeszcze z uwielbieniem i łzą wdzięczności wspominam.

Wesoło przechodzili wakacje w towarzystwie rodzinem Proskurów i kilku nas młodzieży, ciągle towarzyszyliśmy Stanisławowi w rodzinnych jego odwiedzinach i razem na jarmark berdyczowski pojechaliśmy. Ślicznych to był zbiór zacnej ukraińskiej szlachty, a choć była w niej rubasznosc narodowa, ale nie było nieobyczajności i tego brzydkiego bałagulstwa, które się dopiero w dalszych latach obecnego stulecia z postępowego próżniactwa wylęгло. Niewiasty nasze, jak zawsze, celowały wdziękami i tą wrodzoną ich wdziękom władzą, podtrzymywaną wyższem ukształceniem i osobistemi duszy przymiotami. Nazywano szlachtę ukraińską arystokratyczną; ale, jak p. wojewoda Walewski utrzymywał o szlachcie ukraińskiej, nie była to śmieszna nadętość z rodu lub bogactw, ale sprawiedliwe uznanie i ocenienie własnej godności i osobistej zasługi. To też i towarzystwo w domach szlacheckich było dobrane i miało wielki wpływ na ukształcenie młodzieży i młodzież bogata umysłowemi zapasami tchnęła tem życiem świeżem, pełnem wdzięku, i przy rodzinnej ukraińskiej rubasznosci pięknym polem odznaczała się. Zapewne ten rys ogólny Ukraińców, podpada wyjątkom, ale w czasie, w którym byłem na Ukrainie i w okolicy, którą poznałem, karkolu nie było. Może wiek mój młody, przedstawiając mi świat cały pięknym, ludzi wszystkich dobrymi, rozpatrzeć się należycie nie dozwalał; ale ja w porównaniu odnosiłem indywidua

obecne do tych, wśród których wyrosłem i które stały się w wyobraźni mojej typem, do któregoby wszystkie członki społeczności naszej zastosować się powinny. I dlatego to, wyznaję, że Ukrainę naówczas pokochałem. A niewiasty! Dość powiedzieć, że w czasie owego jarmarku zjawilo się siedmnaście piękności, z których każda liczyć się mogła pierwszą jaśniejącą estetyczną pięknoscią, tem świetniejszą, że te wdzięki przy młodocianej wesołości zdobiła czysta naturalna skromność i piętno starannego wychowania. Wiele z nich oddawna zeszło z tej ziemi, inne otoczone wnukami jeszcze ślady swych dawnych wdzięków zachowały. I dusze ich tak były piękne, jak ich oblicza! Cóż to były za żony! jakie matki! obywatelki! A mimo to, że Stanisławowskich czasów obyczaje jeszcze w wielkiej części kraju zakorzenione zatrzcć się nie mogły, mało było wyjątków od powszechnej o płci pięknej ukraińskiej opinji, ja przynajmniej podówczas żadnego przykladu takiego zboczenia nie pamiętam. Pokój duszom tych zacnych Ukrainek, które już ziemia pokryła! Cześć żyjącym babkom i matkom istniejącego dziś pokolenia. Wiekowe matrony, któreście wychowały matki obecnego obywatelstwa, cześć wam i wdzięczność! Wy siałyście z Bogiem nasiona bogobojnej moralności i zbierałyście plon wasz z weselem. Cześć i wdzięczność naroda szanownym popiołom waszym! Oby podobne matki i przewodniczki odradzały się, we wnukach i prawnukach waszych!

Nie mam potrzeby wyliczać rodzin, poznanych w owym czasie, rejestrby to był niezmiernie długi, a może wspomnienie niechy do zasług społecznych imionom tym nie przydało. To tylko jeszcze przytoczyć mogę, że w czasie, kiedy napływ emigrantów francuskich, ucząc swej mowy i obyczajności, skaził naszą narodowość w innych prowincjach, Ukraina w całej czystości ją przechowała. Taką była Ukraina, a przynajmniej ta część, którą poznałem natenczas. Czem jest dzisiaj, nie wiem; możeby

starość rozpatrywać się w niej przez okulary radziła, a dokładnie, czysto pokazujących, dobrać do oczu trudno. Możeby wzrok starością osłabiony, niewyraźnie malując przedmioty, zmieniał rysy i zakrywał charaktery, a uwiedziony niedowidzeniem, cośbym o Ukrainie przeciwnego dawnej opinii powiedział. Na co mnie to staremu? wolę przy dawnej zostać illuzji i z Ukrainą żyć po bratersku. Wróciwszy z jarmarku do Miasteczka (tak się nazywała wieś kasztelana), przywiozłem ciężką febrę i w domu czcigodnego senatora doznałem najstarszemu pieczołowitości całej rodziny kochanego Stanisława. Bolesnie mi było opuszczać przyjaciela, jakiemu równego już nie miałem, ale wakacje się skończyły i wróciłem do Krzemieńca.

Na ten rok miałem już kondycję i pewne niezłe utrzymanie, ale przeszłorocznych towarzyszków nie było. U Maławskich jeden tylko pozostał Plater, w którego pięknym sercu odbiły się dla mnie uczucia Stanisława. Zmienione położenie moje nie wywołało z przyjaźni faktów, jakie objawić się mogły w zbiegu moich przeszłorocznych okoliczności, rok więc spokojnie przechodził. Na święta zebrałem się do moich. Po dwóch prawie latach miło mi było znaleźć się pod rodzinną strzechą; ale smutno było w Tuczynie. P. wojewoda już nie żył i pocziwego wujka mojego już nie było. Skropiwszy łzami ich groby i oddawszy winny hołd żalu ich popiołom, pocieszaliśmy się w kółku naszym rodzinnem. Pp. Bieżyńscy byli w Warszawie, księżna wydawszy córkę za ks. Józefa, syna ks. Michała Lubomirskiego, wyjechała do Paryża, pp. Józefostwo świętowali u matki w Boremlu, Heronimostwo w swoim majątku zamieszkali. Przeciąg czasu od mego wyjazdu z Tuczyna, stanowi wielce interesującą część domu Walewskich i takową, opowiadaną od ciotki mojej Skirmuntowej, jako ciąg dalszy historii, na którą dawniej patrzałem, tu umieszczam.

Zdrowie p. wojewody, coraz mniej mu dopisywało,

a zgryzoty silnie podkopywały tę silną budowę, której lat siedmdziesiąt i trudy niegdyś wojenne osłabić nie zdołały. Doktor nadworny Diotte, sławni Lernet¹⁾ i Hackensmit i wielu innych nie mogli przywołać zdrowia i tylko cierpienia przedłużały się. Księżna zamknęła swój dom i wraz ze Skirmuntową i swoją matką łoża boleści nie odstępowały. Zjechały się i drugie córki, i zięciowie, i synowie z żonami. Chorąży kor., niegdyś także zięć i najszerszy przyjaciel, ledwie co trzeci dzień do Międzyrzecza odjeżdżał. Baur i cały dwór jego byli na usłudze. Najtroskliwsze, najczulsze starania otaczały chorego, ale choroba olbrzymim krokiem postępowała. Cierpienia były ciężkie, ale umysł przytomny i mężny. P. wojewoda prosił, ażeby wezwano podkomorzego Pinińskiego, marszałka Borejkę i p. Skirmunta i wobec nich wolę swoją zdawna napisaną swoim i ich podpisem zatwierdził. Po tem wysileniu gorączka się wzmogła, odjęła przytomność i cierpienia zwiększyła. Trzy dni trwał ten stan okropny walki między życiem i śmiercią, czwartego opuściła gorączka, ustały cierpienia, ale i siły ustały. Wróciła przytomność, ale wróciła tylko dla ostatecznego z Bogiem pojednania, dla pobłogosławienia i pożegnania strapionych dzieci, wnuków, przyjaciół i domowników. Usprawiedliwwszy się przed Stwórcą, zalecał miłość i zgodę braterską swym dzieciom, odpuścił urazy nieżyczliwym, przyjaciółom pamięć swoją polecał, Józefowi opiekę nad wdowami i sierotami zasłużonych przekazał. Ukochanego Feliksa, jak własne dziecko błogosławiąc, żądał, aby z Dosią połączony był ślubem. Spokojne były ostatnie chwile, a dusza, oczyszczona cierpieniem i skrucą usprawie-

¹⁾ Lernet Jan, dr. medycyny, lekarz nadworny Lubomirskich w Dubnie. Miał ogromną praktykę i powodzenie. Wyznaczył fundusz na utrzymanie czterech najlepszych uczniów w szkole Krzemienieckiej. Umarł w r. 1820. Złożył w Tow. Przyjaciół Nauk rozprawę po łacinie o morowym powietrzu. Ateny Wolyńskie M. Rollego. Wspomnienia Z. Kowalskiego t. I, 124. Kijów 1859.

dliwienia się przed Bogiem, uleciała do swego Stwórcy i zostawiła na rysach stygnącej twarzy spokojność sprawiedliwego. Już! smutne już! rozległo się w moment po tych tak długo brzmiących wesołością komnatach i jeden płaczu jęk ozwał się z serc osierociałej rodziny i odbił w jękach przyjaciół, sług i między gromadnie na dziedzińcu zebraniem poddaństwem! a jeden odgłos powszechny: „niemasz już naszego ojca!“ zabrzmiał w całym Tuczyźnie i po wioskach okolicznych się odbił. Wspaniały katarfalk wzniesiono w sali okrągłej, gdzie kilka dni wystawione było ciało zmarłego. Dwunastu obywateli w pełnych mundurach i krepach wynieśli szanowne zwłoki na wóz pogrzebowy, urzędnicy powiatowi nieśli znaki dostojęstwa zmarłego. Nikt programu obchodu nie układał, obywatele przybywszy na pogrzeb, podług uczuć swoich współobywatelowi usługę ostatnią oddawali. Pokrewny i przyjaciel biskup z licznem duchowieństwem prowadził kondukt i w poświęconym niedawno przez siebie kościele, zwłoki fundatora do grobu złożył.

Okrył się żalobą Tuczyzn, opustoszał pałac i zdawało się, że to ani ten dom, ani to miasteczko, piękne nawet położenie Tuczyzna osmutniało. P. Józef zamieszkał w pawilonie tylko, Hieronim na stajniach, księżna wróciła do swego dworku, inni po domach się rozjechali. Feliks bawił przy p. Józefie, codziennym był gościem u księżnej, z miłością się swoją dla Dosi nie tań i wzajemnie odbierał. I tak blisko pół roku przeszło. Księżnie wypadło pilno wyjechać do Warszawy, a nie mogąc córki wziąć ze sobą, zostawia ją u pp. Józefostwa Walewskich, a sama z jedną tylko wychowanicą pocztą pośpiesza. Mogła była księżna zostawić córkę u ojca w Międzyrzeczu, ale знаła nie wielką życzliwość synowej chorążego pani Józefowej i dla Dosi i dla siebie, a druga synowa p. Karolowa, z domu Morsztynówna, od serca przyjaciółka księżnej była za granicą, w Tuczyźnie więc Dosię ulokowała. Dla Dosi miłszym był pobyt u wujka, niż u bratowej, którą dobrze

znała, pod niebytność ojca bawiącego w dobrach ukraińskich. Feliks już był u kresu swojego szczęścia. P. Józef ubezpieczony wolą ojca i powolnością księżny, chcąc kochającej się parze jeszcze więcej szczęście jej zapewnić, postanowił ich zaręczyć. Sprosił przyjaciół, wezwał ks. biskupa, napisał do chorążego i tak wszystko przygotowawszy, zjechania się wezwanych osób oczekiwał. Najpierwszy przyjechał p. Stecki, p. Józef zamiar mu swój objawił. „Nie mam nic, tego to, przeciw Feliksowi, kocham go i za zięcia mieć sobie życzę, ale bez matki na zaręczyny zezwolić nie mogę. Co się przewlecze, tego to, to nie uciecze. Księżna długo nie zabawi“. „Więc niech wobec ojca, wobec pasterza djecezji, rodziny i przyjaciół, niech sobie dadzą uroczyste przyrzeczenie!“ Na to zgoda!“

Uroczysty ten akt chciał p. Józef uroczyście obchodzić i na ten dzień wszyscy żalobę zrzucili. Dorota w białej sukni, piękna zawsze, w tym dniu jeszcze piękniejszą była, bo ją ożywiały miłość, nadzieja i wiara. Gdy się wszyscy zebrali na pokoje, ks. biskup zapytał: „czy istotnie z przywiązania, a nie z żadnego interesu, ani z przymusu masz wolę oddać rękę swoją Feliksowi?“ „Ojcie!“ odrzekła skromnie, lecz śmiało, „serce moje oddawna zupełnie do niego należy, ani matka uczuciom moim przeciwną była, ty ojcie kochany z serca im sprzyjasz, rodziny mojej jest to jedynem życzeniem, możeż więc jaki interes, albo przymus wpływać na moje postanowienie? Wobec Boga! przed obliczem twojem świątobliwy pasterzu, przy sercu twoim drogi ojcie i w przytomności waszej, luba rodzinno i przyjaciele, wyznaję, że kocham Feliksa i z nim tylko w małżeństwie szczęście moje upatrując, rękę mu swoją oddaję. Tak mi Boże dopomóż!“ Podawszy potem rękę Feliksowi przyklekła przed biskupem, który odmówiwszy stosowną modlitwę, pobłogosławił oblubieńców. Rzucili się potem do nóg chorążego, przyciskał w milczeniu do serca ze łzami swoją

iedynaczkę i położywszy ręce na głowach klęczącej przed nim pary: „Błogosławię was moje kochane dzieci“ wyrzekł łkając i przeżegnał. Pierwszy to raz od zgonu p. wojewody wesołość zairzała do serc jego rodziny. Chorąży żądał córkę wziąć do siebie, p. Józefowa sama ją do Międzyrzecza odwiozła, Feliks także za nią pojechał. Wróciła i księżna, ale o tem, co zaszło nie wiedziała. Feliks nieodstępny był przy Dosi i księżna na to z uśmiechem patrzała.

Na nowy rok, jak zwyczajnie, zbierali się goście do Międzyrzecza, księżna choć w żałobie, dla córki jechać tam miała obowiązek. P. Józef z Feliksem także pojechali. Na tym balu pokazał się po raz pierwszy młody, przystojny, gładki i bogaty syn księcia Michała Lubomirskiego, Józef. Piękne ułożenie młodzieńca ujęło wszystkich dla niego, on jedną tylko widział Dorotę. Nie uszły uwagi matki nadskakiwania młodego księcia i wnet bujna macierzyńska wyobraźnia głowę córki w mitrę stroiła. „Czy uważasz, panie chorąży, jak się ksiązę Józef przysiada do naszej Dosi?“ „Mościa księżno! tego to, widzę, ale nadaremnie“. „Dlaczegoż? Czyżby to nie była odpowiednia partja dla naszej córki?“ „Ja tego nie mówię, dla Dosi, mitra nie zanadto, ale“ — „Cóż ale?“ „Ale tego to, ale dałem słowo Feliksowi, a księżna wie, że tego to, verbum nobile“. „I kiedyż to p. chorąży dał mu to szlacheckie słowo?“ „Długo o tem, tego to, mówić, wolnym czasem opowiem, teraz gospodarzowi gościom zająć się należy. Niecierpliwość księżnej niepokoiła ją srodze, ale znała upór chorążego, zagryzła wargi i zamilkła. Bal się długo za północ przeciągnął, p. Józef z Feliksem przed wieczerną zniknęli“. „Józefie!“ — zawoła smutnie Feliks, skoro do powozu wsiedli: — „kochany Józefie! ten ksiązę mię nie cieszy, księżna niezmiernie nim była zajęta, a na mnie niechętnie, złowrogie jej spojrzenia padały“. „A Dosi?“ „O! ona! ona wszystko mi słodziła, jej piękne oczy zdawały się mówić, nie

trać nadziei!" „I nie trać nadziei, rzeczy daleko zaszły i słowo ojca mamy". „I twoją przyjaźń, bracie mój drogi!" odrzekł ściskając rękę p. Józefa, ale w duszy jego dręczący powstał niepokój.

Księżna pozostała w Międzyrzeczu i nazajutrz zaprosiła chorążego do swoich pokojów na kawę. Kochał ją zawsze p. Stecki i silne nad umysłem jego miała panowanie. „Janie!"—rzeknie do wchodzącego z przymileciem—„mamy czas wolny, pomówmy o naszej Dosi". „A cóż, tego to, Dosią dała słowo Feliksowi, przyrzekła mu swą rękę, a jam to przyrzeczenie potwierdził". „Gdzież to i kiedy?" U Józefostwa w Tuczymie wobec ks. biskupa i przyjaciół". „I jakże mogłeś to uczynić?" „Nie jestemże, tego to, ojcem?" „Ale ja matka! i beze mnie?..“ „Chciej sobie, tego to, moia księżno przypomnieć, żeśmy tyle razy o tem z sobą mówili i nigdy temu przeciwną nie byłeś". „Można jednak było z tem do powrotu mego poczekać" rzekła z uniesieniem księżna; chorąży się zmięszał: „Czyżbyś miała dawną myśl swoją odmienić?" „Okoliczności częstokroć zmieniają nasze projekta"—mówiła księżna łagodniej—„książę Józef..." „Tak, piękna partja; ale czyż on się o Dorotę stara?" „Czyż nie uważałeś, jak on Dosi nadskakiwał?" „Czas to pokaże, tego to, zostawmy to czasowi. Feliks ma moje słowo, ale, tego to, i od ołtarza się rozchodzi". „I oni się rozejdą! ja w tem!" „Proszę moia księżno! zostawmy to czasowi i to, cośmy tu mówili, tego to, niech zostanie między nami. Słowo?" „Słowo!" odpowiedziała księżna i podała chorążemu rękę, którą on wielokrotnie ucałował. Tegoż samego dnia odjechał ks. Józef, ale o pozwolenie częstego bywania w Międzyrzeczu nie prosił. Zauważała to księżna i nasepiła się, ale chorążemu to w smak nie poszło. „A cóż? tego to, nie mówiłem, zostawmy czasowi". „Tak", odpowiedziała księżna, „książętko Paryżem przesiąkło i nas ma może za parafjanów, niegodnych pozyskać jego książęcej mości względy". W duszy jednak o mitrze dla Dosi marzyła.

Za powrotem do Tuczyna przybrała spokojną powierzchowność i wszystko szło po dawnemu, oko tylko zakochanego dostrzegło odmiany. Wizyty jego równie częste, ale księżna nigdy z nim sam na sam Dosi nie zostawiała i w grzeczności było coś wymuszonego. Napomknął Feliks p. Józefowi o swoim spostrzeżeniu. „Tak ci się zdaje. Znasz księżnę i wiesz, że czasem spliny ją napadają“. „Byleby nie co gorszego dla mnie“. P. Józefowi ciążyło trochę na sercu, że nadużył niebytności siostry, którą kochał i zbierał się pomówić z nią w tej okoliczności obszernie, otwarcie, ale tak się jakoś wszystko składało, że do tej rozmowy nie przyszło.

Tymczasem Baur, wezwany do Petersburga dla zajęcia krzesła w radzie wojennej, z żalem opuszczał tyloletni pobyt wpośród przyjaciół, a księżna, nie mogąc się osiedzić w Turczynie, po odjeździe jedynego przyjaciela, wzięła w dzierżawę Zelanę, wioskę o pół mili od Tuczyna odległą. Pokazało się przecież, że Baur utrzymywał równowagę między rodzeństwem, bo od jego wyjazdu księżna znacznie zobojętniała dla braci i najwięcej bawiła w wydzierżawionej wiosce. W postępowaniu p. Józefa żadnej nie było odmiany. Ale zbliżała się burza, którą po obecnej ciszy przewidzieć można było.

Pani Józefowa Walewska zebrała się raz odwiedzić księżnę i p. Skirmuntową z sobą zaprosiła. P. Skirmuntowa równie całej rodzinie Walewskich życzliwa i od księżnej i od braci jej lubioną i szanowaną była, zaufanie ich posiadała, dla tego więc równie w Tuczynie, jak w Zelanie, pożądaną była gościem. Mile ją przyjęła księżna, z p. Józefową na zimno braterskiej utrzymała się uprzejmości. Rozmowa padła na Dosię i p. Józefowa nierozważnie zapytała, na kiedy księżna odkłada wesele. „Nie widzę pretendenta do jej ręki“, rzekła chytrze księżna. „A Feliks?“ „Nic jeszcze o jego zamiarach nie wiem“. „Oho, oni już sobie przyrzekli, a p. chorąży i ks. biskup to przyrzeczenie zatwierdzili“. „Gdzie? i kiedy?“ zapytała, niby nie wiedząc o niczem, księżna“. „A w naszym do-

mu, w czasie bytności księżnej w Warszawie“. „Tak i toż to było po bratersku korzystać z mojej nieobecności? byleż to po bratersku nadużywać zaufania, z jakim Dosię pod waszą opiekę oddałam? Wspomnieliżeście mi przed wyjazdem o waszym zamiarze? O! Józef zawiódł to barterskie moje zaufanie i dziś ja z moich praw zrywam to przyrzeczenie“. „Mościa księżno!“ ozwie się p. Skirmuntowa „tak czuła matka, ale i siostra przywiązana czyż zechce chować urazę w sercu? Miłość Dosi i Feliksa nie tajną była księżnie i sprzyjałaś jej i pobraniu się nie byłaś przeciwną“. „Prawda! kochana pani, możesz mi to śmiało przypomnieć, bo nie mając przed tobą nic skrytego, nie kryłam się z przychylnością moją dla Feliksa, wszakże on i moim jest krewnym, wszakże pięknym jego przymiotom sprawiedliwość oddaje. Niemniej mię jednak, a może i więcej boli, że brat mię usunął i sam się rozporządził losem mojej córki“. „To jeszcze nie można nazwać stanowczem, bo woła księżnej tu stanowi. Jednem słowem zatwierdzić, lub zerwać możesz ten związek. Ale wzniosłe uczucia twej duszy zezwolą na cios tak okrutny, dla serc tak sobie oddanych?“ „O! moja kochana pani! jakże umiesz czytać w tem sercu macierzyńskim! Zapewne, że nie czuję się zdolną ranić serce mojej drogiej Dosi, ona dziś dla mnie wszystkim! ale niemamże prawa mieć żalu do Józefa?“ „I to się złagodzi, państwo tak się kochacie!“ Nic nie odpowiedziała księżna, z rozrzwieniem przyjaciółkę uściskała. Księżna miała serce najlepsze, ale była popsuta powodzeniem w pierwszym małżeństwie, a w drugim doznane nieprzyjemności zaostrzyły jej charakter. Nauczyła się być skrytą, niedowierzającą i podejrzliwą. Przy wyjeździe zaprosiła p. Józefową księżna do Tuczyna. „Przyjadę, przyjadę za dni kilka, ale niech się Józef nagotuje, że mu porządnie głowę zmyję“. „A ja księżnie pomogę“, odezwała się z uśmiechem p. Skirmuntowa i wesoly uśmiech na ustach księżnej wywołała.

Ledwie, że te damy odjechały, ledwie że matka z córkąabrały się swobodnie pomówić o tem, co dopiero zaszło, gdy przed ganek zajechała karetka z liberją chorążego. I księżna i Dosia ucieszyły się, mniemając, że chorąży przyjechał, ale się omyliły, bo to była bratowa Dosi p. Józefowa Stecka, niezbyt księżnej przyjazna, z kuzynką swoją panną Zagóorską. Po przywitaniu niby serdecznem, panny wyszły do innego pokoju, p. Stecka zabrała głos: „Wie księżna? Księżę od dwóch dni bawi w Międzyrzeczu, ciągle dopytuje się o Dosię i dziś tu z papą być mają“. Spłonęła księżna, ale przybierając twarz spokojną: „będę im rada“ odpowie. „My z papą rozmawialiśmy o tej bytności księcia, która nie jest bez projektu“. „Cóż pani stąd wnosisz?“ „Że się o Dosię stara“. „Ale Dosia ma konkurenta, któremu już przyrzekła“. „P. Feliksa?“ odpowie z pogardliwym uśmiechem p. Stecka. „W samej rzeczy, nic mu niemam do zarzucenia, ale księżę ma także wielkie zalety“. „Nie przeczę, ale go mało jeszcze znamy“. „O! to księżna go pozna i pewna jestem, że tak jej, jak i nam podobać się potrafi“. „I temu wierzę, ale tu Dosia stanowi. Wiadomo pani, że jej skłonności dla Feliksa, ani ojciec, ani ja nie mieliśmy za złe, trudno więc rzeczy prawie skończone rozrywać dla projektu jakiegoś w perspektywie“. „Ale księżę, prócz zalet osobistych, jest dziedzicem całej Dubieńszczyzny i do tego...“ „Mitra? chcesz pani powiedzieć? O! ja moją drogę opłaciłam! A co do majątku, czyż pani nie wiesz jaki posag ojciec jej przeznaczył?“ „Tak, kilka miljonów, ale nie byłoby od rzeczy dwie takie fortuny połączyć, P. Feliks zaś tak mało ma, że można pomyśleć, iż na żonin posag rachuje“. „Feliks, wierz mi pani, kocha Dosię dla niej samej. Majątek, bogactwa wcale go nie lądzą“. „O! ja znam piękny jego charakter, przeciw temu odzywać się nie będę, ale i na słońcu są plamy“. „Pozwolisz pani, że kuzyna mego lepiej znać muszę“. „Toż to przywiązanie familijne często zasłania nam oczy, że swoich z dobrej

tylko strony widzimy, ale czasem wiedzą sąsiedzi...“
„Miałabyś pani zauważyć co tak nagannego w konduicie Feliksa?“ „O! nie, tak... czasem język złośliwy“. „Z tej strony poznać go nie miałam sposobności, owszem zdawało mi się, że surowy dla siebie, pobłażającym jest tylko dla drugich, że jest optymistą“. „O tak i ten optymista, z całą układnością świętoszka, w oczach świata, nie jedną osobę godną jego czci nawet oczernić potrafi!“
„Przerażasz mię pani, chciej się jaśniej tłumaczyć“. „Komerażów nie lubię, posądzać nie chcę, ale... któż pierwszy o podejrzanem przemieszkowaniu Baura w Tuczyńie wieść rozsiał?“

Krew uderzyła księżnie do głowy, zarumieniła się, pobladła i z cicha wymówiła: „O! Feliks!“ P. Stecka dalej ciągnęła. „Umiał na upadek narazić dobrą sławę drugich, a swoich grzechów zapomniał, o biednej Zosi, którą obetnicą małżeństwa uwieść potrafił. Ale cóż ja robię, zapominam, że to kuzyn księżnej i pozwoliłam sobie niewczesnej otwartości. Przepraszam księżnę, nie wiem, jak mi się to wymknęło, mnie, która obmowy, komerażów nienawidzę...“ Chciała jeszcze coś dalej mówić, ale jej przerwał turkot zajeżdżającego powozu. Ziarno jednak już było rzucone i w sercu własną urazą obrażeniem, bujnie wschodzić i rość zaczęło. Księżna od tej chwili w duszy nienawiść kuzynowi poprzysięgła.

Przybrawszy spokojną postawę wyszła z uśmiechem na powitanie chorążego i księcia, i Dosia przyszła, książę jej nie odstępował, starał się być ujmującym i nietrudno mu było podobać się, Dosia nawet słuchała go bez odrazy, a księżna powiedziała sobie, „to będzie mój zięć“. Cały dzień bawili międzyrzeccy goście, księżna odzyskała całą swoją miłą uprzejmość, Dosia stosowała się do humoru matki, książę wyjechał zakochany, chorąży zaczął się wahać pomiędzy nim a Feliksem. Gdy same zostały, księżna rzekła do córki: „książę Józef będzie twym mężem“. „Mamo! ale ja go jeszcze nie znam, a do tego ja-

każ pewność, że on się o mnie stara?" „Bo ty nie chcesz tego widzieć". „Mamo! ja do niego żadnej skłonności nie mam". „To przyjdzie". „Ale ja kocham Feliksa, uczucia moje nie tajne ci oddawna, i jemu słowo dałam". „Feliksa! Feliksa! to monstrum, który zabił sławę dobrą twojej matki?" „Ach mamo! Feliks niezdolny do podobnej zbrodni, onby za ciebie życie swoje naraził". „Nie mów mi za nim ani słowa, wiem wszystko, znam czarną jego duszę, ale przysięgam na popioły ojca mojego, że Feliks mężem twoim nie będzie, gdyby mię to miało i życia kosztować". „Ach! mamo! wstrzymaj się, to potwarz, czarna potwarz z ust mojej bratowej nam tak nieżyczliwej. Feliks niewinny! pozwól! on się przed tobą usprawiedliwi!" „Nie! nigdy! ja go i widzieć nie chcę!" i odeszła rozgniewana, zostawując córkę prawie omdlałą. Skończyły się pięknej Doroty dni pogodne, czarne chmury okryły jej teraźniejszość i na przyszłość się rozciągnęły, ani jeden promyk nadziei tej ciemności nie rozrywał. Płakała, ale w duszy postanowiła, że nigdy Feliksowi wiary nie złamie. Nie była i księżna spokojniejszą, wszystkie jej uczucia zlały się w jedno: nienawiść bratu, zemsta ulubionemu jedynej córki! Odzywało się czasem po cichu serce, w sumieniu przebijała się zgryzota, ale obrażona miłość własna ten cichy objaw tłumiła. Potrzeba było jechać do Tuczyzna, dla oddalenia pozorów uważanego za rzeczywistość, że księżnie tęskno było bawić w domu, gdzie wszystko przypominało jej miłego przyjaciela.

Odwiózłszy Dosię do Międzyrzecza, pojechała sama do Tuczyzna. Zaraz wiadomo w pałacu o jej przybyciu, p. Józef zbierał się ją odwiedzić, gdy odebrał od siostry te słowa: „J'attends Joseph, chez moi, mais tout seul". Tknęło p. Józefa to wyrażenie: „tout seul" i wnosił sobie, że go jakaś wielka nieprzyjemność czeka. Wszedł, księżna czekała go w swoim gabinecie i przybrawszy twarz spokojną, odezwała się do wchodzącego: „Mój

bracie! Od powrotu mego z Warszawy, nie mieliśmy sposobności pomówić z sobą, a winienesz mi się z pewnej ważnej okoliczności wytłumaczyć“. „Wiem o czem chcesz mówić i właśnie śpieszę zdać ci rachunek z mego postępowania...“ „Które było najnieuczciwsze z twojej strony“. „Nic sobie nie mam do wyrzucenia. Odjeżdżając, zostawiłaś Dosię pod moją opieką, zamiary moje względem jej zamęścia były i twojemi, i ojca naszego, i połączenie kochających się do twojegoś powrotu odłożyła. Nie popełniłem występku zapewniając ich nadzieje w przytomności ojca, bo ich szczęście miałem na celu“. „Szczęście! szczęście!“; zawołała zrywając się księżna: „szczęście Dosi z wrogiem jej matki?“ „Wrogiem! i możesz-że nazywać wrogiem tego, który cię kochał i czcił jak matkę, który uwielbia córkę i jej karierę swoją i życie swoje poświęcił?“ „Czczył? o piękna cześć“, zawoła z piekielnym uśmiechem księżna: „ten, co moją sławę sponiewierał, który mnie i moją niewinną przyjaźń z Baurem przed światem oczernił?“ „Nie unosz się, siostrzo! świat sądzi z pozorów, a te nie mówiłyż przeciwko tobie? Przypomnij sobie Teoni! nie toż samo ci i ojciec, nieodżałowany ojciec nasz powiedział? Jakież masz dowody, że to oczernienie wyszło z ust Feliksa?“ „O widzę, że ten wyrodek familji naszej i twoje serce dla mnie zmienić potrafił, ty go kochasz, więcej niż swoją bliższą rodzinę, niż własne dziecię, a ja go nienawidzę, brzydę się nim i pogardzam“. „Że kocham Feliksa, to prawda, jak rodzonego brata kocham, bo jego dusza zacna, bo jego wniosłe uczucia na to zasługują, i dlatego śmiało ci mówię i przysięgnę nawet, że nie był zdolnym zniżyć się do podłych czernideł, jakie mu zarzucasz“. „Nie, nie! nie usprawiedliwisz go w mojem przekonaniu; wiem z pewnych ust o wszystkim; wierzę, że mógł mnie czernić ten, który, mając się żenić z moją córką, zachował sobie dawne stosunki z niegodną jej rywalką“. „Czy i to? więc domyślam się z jakich to ust pewnych wyczerpnięta

wiadomość. Ale czyż za szła lat młodzieńczych, karać należy dojrzałego człowieka, którego moralność wzorem być powinna dla drugich? Feliks kochał, a nie mogąc pojąć za żonę osoby, której położenie socjalne o wiele było niższe, znalazł jej godnego męża, oddał czystą i na całe życie uszczęśliwił, a od lat sześciu ani jej widział". „Ty we wszystkich jego postępkach wzorową tylko widzisz doskonałość, przywiązanie cię twoje zaślepilo, ale ja widzę i dalej i jaśniej. Szczęście mojej Dosi jest szczęściem mojem, jest jedynym celem mojego życia, i przysięgam ci na pamięć naszego ojca, Dosią nie będzie żoną Feliksa". „Stój siostrzo! nie wzruszaj szanownych zwłok tego drogiego ojca! błagam cię! błagam siostrzo! zajrzyj do twego serca! nie znajdziesz tam uczuć, jakie twe usta wyrażają. Ty jeszcze kochasz swoją rodzinę!" „Ale córkę moją nad wszystko, dlatego powtarzam ci — Dosią żoną Feliksa nie będzie!" „Rozumiem. mitra młodego księcia oczy twoje olśniła, ale byłaś z mitrą szczęśliwa?" „Bo sobie ją sama wybrałam i dlatego chcę, ażeby córka moja szła nie za sercem, ale za wolą ojca i moją". „Wszakże ojciec przyrzekł ją Feliksowi". „Boście go podstępem ujęli. Ale ja w tem, umrę! a nie dopuszczę, ażeby nienawistny mi poślubił moją córkę, a czy wyjdzie za księcia, czy nie, żoną twego ulubieńca nie będzie". „Pozwól jednak siostrzo, ażebyśmy się raz jeszcze do Dosi odwołali". „Dosią mojami uczuciami, moją wolą się zarządzi". „Zobaczmy!" „Zobaczmy!" z gniewem zawołała księżna. Chciał brat wziąć ją za rękę, może chciał poruszyć, rozczulić, obudzić serce, może pożegnać, księżna wyrwała rękę i śpiesznie wyszła do innego pokoju, zatrzaskawszy drzwi za sobą.

Poszedł p. Józef, srodze zdrczony tą rozmową, przez furtkę, łączącą mieszkanie księżnej z pałacowym ogrodem. Feliksa nie było w Tuczynie i nie miał biedny komu się powierzyć, ani z kim trosk swoich podzielić. P. Józefowa miała dobre serce, ale była istotą całkiem mate-

rjalną. Nazajutrz przyjechała p. Skirmuntowa, przed nią się utworzył, w jej przyjacielskiem łonie ciężkie swoje zmartwienie złożył. „Nie rozpaczaj!“ rzeknie Skirmuntowa „pójdę do księżnej, zaszczyca mię swoim zaufaniem, może Bóg dopomoże do jej serca przemówić“. „O! idź! kochana pani! użyj wszelkich sposobów wzruszenia jej uczuć! mnie to poróżnienie srodze ciąży na sercu!“ Poszła p. Skirmuntowa, ale w kilka minut wróciła pomieszana. „Cóż to jest? tak prędko?“ „Furtka zabita od dziedzica księżnej!“ „Czy tak! więc żadnych ze mną mieć nie chce stosunków? O! Teoniu!“ i gorzko zapłakał; jednak nie dowierzał, jednak spodziewał się jeszcze! Tegoż samego dnia księżna wyjechała do Międzyrzecza.

Wrócił Feliks i osłupiał, widząc brata smutnego i mocno zmienionego: „Cóż to jest Józefie!“ zawoła. „Nic, poróżniliśmy się z księżną“. „I to z mojej przyczyny?“ „Nie, mój Feliksie, nie ty sam byłeś przedmiotem naszej żwawej utarczki, wiele się zebrało okoliczności przygotowujących burzę, która nakoniec tak silnie na nas uderzyła. Ale ta burza przejdzie, mam w Bogu nadzieję i jaśniejsze nam słońce zaświeci“. „A Dosia?“ „Dosia w Międzyrzeczu i naszego przemówienia się nie była świadkiem?“ „A książątko?“ „Księżna ostrożna była ze mną w tej okoliczności i nie wiem zupełnie, jak tam te rzeczy idą, ale możemy się dowiedzieć, poszliśmy Kłosowskiego niby za sprawunkami, dobry i roztropny chłopiec, zręcznie się dowie, co się tam w pałacu dzieje“. Wyprawiono natychmiast Kłosowskiego do Międzyrzecza, wszystko jednak, co zaszło z księżną, co p. Józef z Feliksem układał, jednej tylko p. Skirmuntowej wiadome było. Wieczorem wrócił Kłosowski z wiadomością, że książę był w Międzyrzeczu, że wczoraj dopiero wyjechał, że księżna, p. chorąży i p. Dorota, od wczoraj są w Zelanec. Uspokoił się nieco pp. Wałewscy i czasowi dalsze działanie zostawili. Przeszły święta wielkanocne smutno,

księżna w Międzyrzeczu je przepędziła, ale p. Józef z Feliksem drugiego dnia świąt ją odwiedzili. Zimno przyjęła brata, na kuzyna ani spojrzała, chciał i chorąży podobnie postąpić, ale wrodzona staropolska uprzejmość wzięła górę i rad był gościom z całego serca. To i Dosi dodało ducha i Feliksowi zdawało się, że jedne wypadki na przyszłość jego nie podziały; uszczęśliwiony wrócił do Tuczyna, ale p. Józef czytał w oczach księżnej srogi dla niego wyrok i w duszy dręczył się jego objawieniem.

Wiosna już znacznie postąpiła, wody opadły, drzewa i łąki zazieleniały i piękne nadbrzeża Horynia nowym wdziękiem zajaśniały i w Tuczynie coś było weselej. Ale w Zelance smutno i ponuro. Księżna starała się zerwać stosunki kochających się, bez względu nawet, że Dosi może to życiem przypłacić. Chorąży nie był przeciwko temu, ale mu żal było córki i nie miał męstwa nastawać. Wyczerpała księżna wszystkie sposoby perswazji, przedstawień, próśb nawet, ale Dosi w swem postanowieniu niezachwiana, wszystkim usiłowaniom matki stale się opierała. Dusza jej zachowała męstwo, ale ciało, pod brzemieniem trosk chyliło się do upadku. Nie mając przed kim serca swojego otworzyć, połykała swoje łzy i zgryzoty. Bezsenne noce i dni w oierpieniach moralnych spędzone, silnie działały na jej zdrowie, a pod ciężarem trosk i umysł na siłach upadał. Matka, niby niedostrzegając zmiany, a korzystając z osłabienia córki, silniej jeszcze nastawała na jej umysł dotąd niezachwiany. Biedny ojciec nie mógł obojętnie patrzeć na smutny stan ukochanego dziecięcia; i gotów był wszystko zrobić, co tylko możność pozwala, aby zasmuconą pocieszyć, ale matka, raz postanowiwszy postawić na swoim, od swego zamiaru nie odstępowała. Wszystko jednak zdawało się napróżno, bo stałości Doroty nic zachwiać nie mogło. Potrzeba było jednym silnem uderzeniem rozbić tę niewzruszoną opokę i wszystko ukończyć, choćby z narażeniem zdro-

wia cierpiącej. Księżna osnuła już w swej głowie plan, czekała tylko przyjaznej pory do wykonania.

Książę przyjechał do Zelanki pełen uwagi, nawet czułości dla panny, ale ta smutna i roztargniona wszystkie zabiegi starającego się niechętnie przyjmowała. Chorąży mało na to uważał, ale księżna śledziła każde słowo, każdy ruch córki i gniew palił jej serce, ośmielała jednak księcia, ożywiając w nim nadzieję. Pretendent nie odjechał tego dnia, cały wieczór starał się być miłym, ujmującym, ale im bardziej okazywał w najprzyzwoitszy nawet sposób zalotność, tem więcej zadawał przykrości Dosi, porównywał ją go mimowolnie w swej myśli z Feliksem. Musiała jednak udawać uprzejmość dla matki, a to udawanie wysiliło jej władzę i uczucia, uczyła się słabą i tak blizką zemdenia, że księżna spostrzegła to, i przeprosiwszy księcia wyprowadziła córkę do jej pokoju. Książę nie domyślał się przyczyny, ale stan ukochanej osoby mocno go niepokoił. Chorąży upewniał, że to małe cierpienie, że często jej się zdarza, ale złych skutków za sobą nie prowadzi. Nadeszła księżna z twarzą uspokojoną i toż samo powtórzyła. Długo jeszcze rozmawiali, a książę, żegnając się zapytał, czy częste bywanie jego za złe mu nie wezmą, bo zamiary jego są czyste, bo chce sobie zasłużyć przyjaźni panny Doroty, bo tylko w małżeństwie z nią szczęścia się spodziewa. Zadawała jąca była odpowiedź rodziców, wskazano mu nadzieję pozyskania serca panny i otrzymania jej ręki.

Nazajutrz rano wyjechał książę z nikim się nie widząc, a sute między służących sypiąc dukaty. Dosią cierpiąca długo nie wychodziła ze swego pokoju, rodzice przy śniadaniu naradzali się względem ostatniego kroku w przerwaniu stosunków z Feliksem, chorąży utrzymywał się przy swoim, żeby z nią jak najostrożniej i najłagodniej mówić, ale kiedy Dosią weszła błada i słaniająca się, jakby dopiero z ciężkiej choroby wstała, silnie wzruszyło się serce ojcowskie i matka surowości swojej

utrzymać nie zdołała. „Dosieńku moja droga!”—zawołał chorąży wyciągając ręce do córki, „co tobie jest? czego ty taka zbiedzona, taka mizerna?” „Ojczy!” zawołała rzucając się w jego objęcia „ja cierpię i ciężko cierpię! całą noc nie spałam!..” i głośny płacz wydobył się z jej piersi, i łzy obfite oblały wiekiem zorane lice chorążego i księżna łez wstrzymać nie mogła. Długo głębokie panowało milczenie, przerywane tylko łkaniem i westchnieniami Doroty, ale ten płacz zbawienne wywarł skutki na młodą naturę, Dosia uspokoiła się, łżej było jej na sercu, mniej nawet smutną była, a o oświadczeniu księcia nie wiedziała. Rodzice unikali wszelkiej rozmowy, mogącej czułość córki rozdrażnić, nie mogła jednak księżna wstrzymać się od wspomnienia pięknych przymiotów pretendenta. Dorota słuchała obojętnie, ale gdy matka wspomniała o jego bogactwie, z uśmiechem pogardy odezwała się: „Feliks ma więcej, bo moje serce posiada!” i to powiedziawszy wyszła. Rozgniewana matka chciała iść za nią, chorąży ją zatrzymał: „Na to nie pozwolę! odłożmy rzecz nadal jeszcze mościa księżno! Ona tak cierpiąca, tak słaba, lękam się mocno złych jakich skutków”. Nie śmiała sprzeciwić się księżna, może i uczucie jakie w sercu matki się odezwało, ale w uszach brzmiało jeszcze nienawistne imię Feliksa. Zeszedł dzień cały smutno, Dosia wcześniej udała się do łóżka i rodzicom nie szykowały się narady.

Następnego dnia Dosia dłużej spała i spała spokojnie, chorąży miał odjechać, ale chciał się jeszcze z córką zobaczyć. Około południa wyszła ze swego pokoju, a zobaczywszy powóz ojca przed gankiem: „Cóż to, papa chce odjechać?” „Potrzeba moje dziecię!” „O! nie, niech papa nie jedzie, ja dziś dobrze spałam, zdrowsza jestem i spokojniejsza, a bez papy mnie tak smutno!” Chorąży uściskał córkę i powozowi odejść rozkazał. W samej rzeczy Dosia tak była spokojna, tak uprzejmie z rodzicami rozmawiała nawet o księciu Józefie, że chorąży nie po-

siadał się z radości, a księżna, korzystając z takiego usposobienia córki, zamiar swój do skutku doprowadzić postanowiła. Po obiedzie wyszła Dosia pomiędzy wysokie drzewa dom otaczające i, usiadłszy na ławeczce pod lipą, głośno myśleć zaczęła. Jakaś trwoga ją przejmowała, smutne przeczucia duszę jej uciskały, czarna troska sercem owładła, a łzy nie przychodziły ulżyć temu cierpieniu. „O! Feliksie! mój drogi! oni chcą wydrzeć mi ciebie! Ale nie, pierwej...” Nie domówiła, a już rodzice byli u nóg jej klęczący. „Dosiu!”, zawołała księżna, „czyż zniesienie się rodziców do nóg twoich, czyż najczulsze błagania do serca twego nie przemówią?” „Co chcecie? co rozkażecie?” „Zrzecz się Feliksa!” Nieszczęśliwa, ani powstać z miejsca, ani przemówić nie mogła. „Zrzecz się Feliksa!” wołała matka głosem rozpacz. „Nie mogę!” odrzekła ponuro z głębi serca. „Nie możesz? Dobrze! więc po trupach twoich nieszczęsnych rodziców z twoim lubym pójdiesz do ołtarza, a ich przekleństwo towarzyszyć ci będzie. Znasz tę flaszeczkę? wystarczy dla twojego ojca i dla mnie!” i podniosła do ust flaszeczkę z opjum w dostatecznej ilości dla otrucia dwóch osób. „Stójcie!” zawołała Dosia z obłąkanym wzrokiem, „stójcie! zrzekam się Feliksa! ale życie!” „Nie dość tego”, rzekła księżna, „napisz to zrzeczenie!” Wrażenie, jakie ta scena zrobiła na znękanem sercu biednej Dosi, odjęło całą energię jej umysłowym władzom; jak automat jaki wzięła podany sobie papier i pióro, napisała kilka słów i oddała matce; chciała się podnieść, ale siły ciała uległy wysileniu uczuć i padła bez zmysłów na ręce stroskanego ojca...

Czas był prześliczny majowy, obaj bracia Józef i Hieronim z żonami, p. Skirmuntowa i Feliks siedzieli na wspaniałym ganku pałacowym, rozmowa była ożywiona, układano projekta zabaw na maj, rozweselano smutnego Feliksa, wmawiając mu nadzieję, że wszystko wzięć jeszcze pomyślny koniec może. Ale zakochany nie podzielał wesołości towarzystwa, dręczył go wewnętrzny

niepokój i okropne przeczucia. Wtem pokazał się posłaniec. „Z Zelanki!“ krzyknęli wszyscy. „Tu jest list“. „Do mnie“ zawoła Feliks, stojący najbliżej posłańca, „do mnie!“ i drżącą ręką rozpieczętował, szybko przebiegł oczyma, i jęknawszy boleśnie, opuścił list, założył ręce na piersi i poszedł. Rzucili się wszyscy do listu, ale tak byli pomieszani, że nikt przeczytać nie mógł. „Pozwólcie państwo“, ozwie się p. Skirmuntowa, „ja mam więcej zimnej krwi“ i te słowa czytała: „Drogi Feliksie! wracam ci twoje słowo! Twoją nigdy nie będę, ale kochać cię nie przestanę! twoja sercem już tylko Dorota“. „Więc tak księżna działa?, wykrzyknął p. Józef, „wojny chce ze mną? więc wojna! Nie mam już siostry!“ i, załamawszy ręce, padł na krzesło i oczy zakrył. Nikt nie śmiał słowa przemówić, szanując to uniesienie braterskiego serca boleści. W dziwnem jakimś osłupieniu oczekiwali, co dalej będzie. Więcej kwadransa trwało milczenie, p. Józef otworzywszy oczy: „gdzież mój Feliks?“ Nikt nie wie, nikt nie widział którędy i gdzie poszedł. Rozbiegli się wszyscy po pałacu i ogrodzie i nad Horyniem szukali, ale i śladu nigdzie dopytać nie można.

W Zelance wszyscy byli na tychże samych miejscach. Otrzeźwiona Dosia błada i w białej sukni, podobniejszą była po posągu, niż do żywej istoty. Siedziała między ojcem i matką, którzy najczulszych pieczętów jej nie szczędzili, ale których ona nie czuła. Jednym razem wykrzyknęła: „Feliks!“ i pochyliła się ku ojcu. „Przyszedłem powiedzieć ci dobranoc i na zawsze cię pożegnać!“ To mówiąc Feliks przyklęknął, ucałował ręce kochanki i poszedł. Dosia omdlała. Feliks po przeczytaniu listu, jak stał, tak i poszedł do Zelanki, zastał ich siedzących pod lipą, stanął naprzeciw oparty o drzewo i wpatrywał się po raz ostatni w te rysy, których mu już więcej oglądać nie było wolno, i byłaby go noc tam zastała, gdyby go nie postrzeżono. Ale po pożegnaniu wrócił machinalnie do Tuczyzna, milczący i nieczuły na wszystko, co się wokoło niego działo.

Wszystkie stosunki między Tuczynem i Zelanką zerwały się, a jeśli księżna przyjechała na jaki dzień, to obie strony tak się unikały, że jeśli zdaleka zobaczyły się na przechadzce, to każda zaraz w swoją stronę się zawracała. P. Józef tak dobry, tak łagodny z natury, okazał się srogim, nieubłagany. W miasteczku zakazano dostarczać przedmiotów potrzebnych do życia dla domu księżnej, których dotąd swobodnie używała. Już tu nie było i śladu owej braterskiej przyjaźni, która te dwa domy łączyła. Dosię wywieźli do Międzyrzecza i tam otoczyli ją argusami, strzegącymi wszelkich stosunków z Tuczynem, i nikt też się o to w Tuczynie nie ubiegał. Czasami tylko Feliks pod zmienioną postacią bywał w kościele międzyrzeczkim, ażeby choć na chwilę pocieszyć się widokiem tej, której obrazu nic w sercu jego zatrzeć nie mogło. Pani Skirmuntowa bywała u księżnej, usiłując jak najostrożniej nakłaniać jej serce do pojednania się z bratem, wielkie były trudności, nie traciła jednak nadziei, że to z czasem, powoli, da się ułatwić. Z p. Józefem trudniejsza była sprawa; niezwykła mu zawziętość opanowała serce jego, o zgodzie ani dał sobie mówić i wspomnienia o siostrze unikał.

Tymczasem ksiązę Józef nie wyjeżdżał prawie z Międzyrzecza, zawsze od księżnej i od chorążego mile przyjmowany, lubo jeszcze w pannie żadnej dla siebie nie widział skłonności, pewnym był jednak osiągnięcia jej ręki. Międzyrzeczki pałac zaludnił się gośćmi, ksiązę dawał podwieczorki, wystawiał fajerwerki, sprawiał niespodzianki, nie szcędząc kosztów, ni trudu. Wszyscy wiedzieli w jakim celu, chorąży i księżna radowali się w duchu, Dosia przewyciężała się, starała się być uprzejmą dla przeznaczonego jej od rodziców małżonką. Na ś. Jan imieniny chorążego, wielka była feta w Międzyrzeczu; ksiązę wystąpił dla przyszłego teścia z niespodzianką, był teatr, tableau, kantaty i biedna Dosia przez przywiązanie dla ojca w tych fetach uczestniczyła. Z Tuczyna nikogo nie było, ale kasztelanicostwo Bieżyńscy

dla zachowania z p. chorążym sąsiedzkich stosunków, oboje na imieniny zjechali.

Księżna po opisanych wyżej wypadkach z siostrą się jeszcze nie widziała, ale kasztelanica wiedziała o wszystkim od p. Józefa i od Skirmuntowej. Oburzało ją postępowanie siostry, ale i bratu wymawiała nierozważny pośpiech w działaniu i nadużycie zaufania siostry: „I ja bym się może podobnie poróżniła z tobą, gdybyś moją Misią tak się beze mnie rozporządził“. W duszy jednak gorąco pragnęła pojednania poróżnionych, w celu tym na-



Pałac w Międzyrzeczu od ogrodu.

wet przyjechali oboje na imieniny. Ale ani pp. Bieżyńscy, ani p. Józef nie wiedzieli, co zaszło w Zelance i co zmusiło ostatecznie Dosię do zrzeczenia się Feliksa. Księżna, korzystając z bytności siostry, odmalowała w najczarniejszych kolorach postępowanie względem niej brata i charakter kuzyna. Nie wiele do tego opowiadania wiary przykładała p. Bieżyńska, bo widziała wszystko przesadzone w rozmiarach, wreszcie wszystko, co dawniej zaszło, było jej wiadome. „Słuchaj Teoniu“, rzekła po wysłuchaniu przesadzonej powieści, „koniec końców,

cóż będzie? Możnaż, ażeby jakieś nieporozumienie między rodzeństwem rozrywało na zawsze stosunki braterskie. Nie odzywał się w twym sercu tęsknota za bratem?“ „Mamże brata przenieść nad córkę?“ „Tego nie mówię, i tego nie potrzeba, zrób Dosię szczęśliwą podług twego widzimisię i bratu zwrócić dawne przywiązanie, a wrócona sercu twojemu spokojność, pociechą twojej starości się stanie“. „Mamże Józefowi przebaczyć zaręczyny Dosi z tym nienawistnym! zaręczyny, których zerwanie tyle mię trudu i zgryzot kosztuje!“ „Na cóż było zrywać to, co się z twojem życzeniem zgadzało?“ „Póki Feliks był godnym mojej przychylności“. „Jakież przestępstwa masz mu do zarzucenia?“ Tu dopiero księżna opowiedziała o Feliksie, co tylko żółć natchnąć jej mogła, dodała nakoniec: „Potrzeba było silnie i stanowczo działać, odważyłam się na wszystko i chorążego nakłoniłam. Z trucizną w rękę rzuciliśmy się oboje do nóg Dosi i wybłagaliśmy zrzeczenie się na piśmie słowa danego Feliksowi“. „I gdyby się nie rzekła bylibyście się potruili?“ „O! pewna byłam, że do tego nie przyjdzie, pewna byłam, że sam widok flaszki z trucizną aż nadto dostatecznie podziela na delikatne nerwy Dosi“. „Więc wy graliście z nią komedję? O! to niegodne ciebie!“ „Dla szczęścia dzieci wszystkie środki rodzicom pozwolone“. „Jakież szczęście przeznaczyłaś twej córce, w miejscu szczęścia z tym, którego kocha?“ „Wyjdzie za księcia i będzie szczęśliwą“. „A tyż byłaś szczęśliwą? Znaszże charakter człowieka, w którego ręce los twej córki powierzasz? Byłże z ich rodu choć jeden dobrym mężem?“ „Ale on ją kocha“. „Być może, i nie dziwię się temu, czyjegoż serca Dosią ująć nie mogła? Ale zostawcie to czasowi, czas niech żal jej po pierwszym złagodzi, a jej przekonanie niech znajdzie księcia godnym jej szacunku i przywiązania“. „My też nie naglimy, książe dotąd nawet się jeszcze formalnie nie oświadczył. Ale Terciu! słowo, że Józef o naszej rozmowie wiedzieć nie będzie!“ „To ci przyrzekam, boleśnie byłoby i mnie to biedne, poczciwe serce

braterskie na nowo rozdzierać. Jabym tak pragnęła widzieć was pojednanych!“ „Dopóki Józef nie oddali od siebie Feliksa, póty między nami braterstwa niema“.

Nazajutrz pp. Adamostwo przyjechali do Tuczyna, kasztelanica dotrzymała księżnie słowa, ale nie zaniedbała wszelkich dołożyć usiłowań, ażeby brata do pojednania nakłonić. P. Adam także ze swojej strony usiłował działać, ale wszystko było daremne. P. Józef był nieubłagany, bo widok cierpień ulubieńca, jeszcze go coraz więcej rozdrażniał; nie szukał zemsty, ale od zgody był daleki. Kasztelanowa, p. Hieronimowa i p. Skirmuntowa rozbierały całą tę okoliczność od początku i radziły o środkach pojednawczych, ale zawziętość stron obu dobrym ich chęciom nie przełamane zawady stawiała. „Potrzeba to jeszcze zostawić czasowi“, rzeknie p. Skirmuntowa, „starajmy się łagodzić rozdrażnione uczucia obojga, użyjmy osób, któreby miały wpływ na ich umysły, chwytajmy każdą chwilę, w którejby się zbliżenie poróżnionych spełnić mogło, a Bóg nam dopomoże i dobre chęci pomyślnym skutkiem uwieńczy“. W istocie, była to najlepsza rada. Czas jest działaczem najsilniejszym, który Opatrzność dała ludziom na ukojenie ich cierpień, na zmiany ich losu i na sprostowanie ich błędów. Cierpliwość i rezygnacja idą mu w pomoc! i dlatego to, często i największe zło, religijnie zniesione, czas w nieoczekiwane dobro zamienia.

Podobnie coś było w Tuczynie; upływały dni i miesiące, stygły wzburzone uczucia, i cała srogość pomiędzy poróżnionymi w obojętność się zmieniała. Księżę oświadczył się p. Dorocie; ta choć go nie kochała, nie miała przecież do niego odrazy, a widząc, że to było jedynem życzeniem rodziców i, straciwszy zupełnie nadzieję wrócenia upłynionej przeszłości, kochając jednak Feliksa, zrobiła ofiarę z najdroższych uczuć serca, i rękę swoją księciu oddała. Niewypowiedziana radość rodziców stąd nastąpiła; księżnie, dopiawszy swego postanowienia, nic

już do żądania nie zostawało, ochłonęła więc i z zawziętości i długo stłumione w sercu uczucia braterskie odzywać się zaczęły. P. Józef nie potrzebował tych uczuć wznawiać, bo ich nigdy nie stracił, bo urazę cierpieniem kuzyna podsycaną, czas złagodził. I brat i siostra zaczęli czuć silnie potrzebę pojednania, ale nikt pierwszego kroku zrobić nie chciał. Widzieli to przyjaciele i szukali wszelkich środków sprowadzenia poróżnionych, ale wszystko szło z trudnością. Kasztelanic jeździł do biskupa, błagając, ażeby jako pasterz i pokrewny, powagą swoją i wpływem rodzeństwo do podania sobie zgodnej dłoni nakłonił, ale biskup cierpiący słabością się wymówił. Zapraszano p. podkomorzego Pinińskiego, ukochanego przyjaciela p. wojewody i znanego z daru godzenia najzaciętszych przeciwników, ale podkomorzy, zajęty ogromnym kompromisem, nie mógł zaraz odpowiedzieć wezwaniu, i tylko listem zachęcał p. Józefa do pojednania się z siostrą.

Tymczasem miechęci same z siebie stygły, księżna częściej znowu przemieszkowała w Tucynie, furka ogrodowa otworzyła się, ogród stał się miejscem przechadzki stron obu, obie jednak strony spotkania jeszcze unikały. Kasztelanic, zmówiwszy się z p. Skirmuntową, starali się korzystać z niebytności Feliksa i z dogodnego ich zamiarom ogrodu. P. Skirmuntowa poszła do księżnej, aby ją wyprowadzić na przechadzkę, p. Adam udał się do p. Józefa, ażeby wyszedłszy razem do ogrodu, wprowadzić go niby przypadkiem na miejsce umówione, gdzieby zastali księżnę. Wszystko sprzyjało zamiarowi, panowie chodząc po ogrodzie zbliżali się do masy drzew starych, w pośród których był rodzaj altany ulubionej p. wojewodzie, dokąd i damy kroki swe zmierzały. Droga szła ponad rów, oddzielający ogród od ulicy. Wtem zabrzączały na drodze dzwonki krakowskich chomątów: „Feliks!“ zawołał p. Józef i puścił rękę szwagra, p. Feliks przeskoczył rów i przyjaciele już byli w swoich objęciach, a to

wszystko tak nagle się stało, że kiedy p. Adam się opamiętał, bracia już byli pod pałacem i znikła tak przyjazna sposobność wykonania zamiaru dogadzającego zamiarom szlachetnym serca kasztelanica. Trudno już było wynaleźć okoliczność podobnie sprzyjającą, a tymczasem z obu stron coraz silniej objawiała się chęć pojednania, tego tylko nieszczęsnego pierwszego kroku żadna zrobić nie chciała. Opatrzność ten akt uroczysty kobiecie zostawiła do wykonania.

Księżna, uspokojona o los córki i znudzona życiem, postanowiła sobie na resztę dni swoich zamieszkać w Paryżu i stosownie do tego zamiaru urządziła swoje interesy. Wkrótce ten zamiar jawnym się stał w Tuczynie, p. Józef pokryjomu wszystko ułatwiał, we wszystkim dopomagał siostrze, księżna, niby wiedząc skąd pomoc, mile ją przyjmowała. Wyjazd się zbliżał, a wszelkie środki zbliżenia rodzeństwa przed rozstaniem się, może na zawsze, były bezskuteczne. Pani Hieronimowa wychowana przez księżnę i jak matkę ją kochająca, bolała ciężko, nie mogąc pożegnać tej, której więcej niż matce winna była. Użałała się na swoją niedolę p. Skirmuntowej, przeklinała poróżnienie familijne, w którym nie mając udziału, musiała mu przeciw ulegać. P. Skirmuntowa dzieliła uczucia biednej Cecylji i postanowiła przynieść jej ulgę. W kilka dni państwo Józefostwo wyjechali w sąsiedztwo na imieniny i p. Hieronim z nimi, sama będąc brzemienną, od tej ceremonjalnej wizyty uwolniła się. Dzień był pięknie pogodny, korzystając z niego p. Skirmuntowa namówiła p. Hieronimową przejść się po ogrodzie i poszły. Furtka do księżnej była otwarta, „Cesiu!“ rzeknie p. Skirmuntowa—„pójdźmy do księżnej“. „A jak nas kto zobaczy i doniesie?“ „Nie bój się, biore wszystko na siebie“ i weszły. Księżna niespodziewanego gościa z otwartymi rękami przyjęła, rozrzewnione damy wylewały się ze swojemi uczuciami i nacieszyć się z sobą nie mogły. Najczulej dziękowała księżna przyjaciółce za miłą

niespodziankę i powiedziała, że od jej przyjaźni i więcej się spodziewa. Po kilku godzinach uszczęśliwiona p. Cecylja wróciła do siebie, nie bez bojaźni jednak, że ta wizyta wznieci burzę, która na jej głowę spadnie. Dziękowała serdecznie p. Skirmuntowej i prosiła, ażeby zamiast od niej księżnie różaniec koralowy, najdroższy klejnot pozostały po matce: „nie nad to szacowniejszego nie mam, niech księżna przyjmie ten upominek w dowód mojego przywiązania i wdzięczności“. Tegoż jeszcze wieczora księżna upominek odebrała.

Nazajutrz p. Józef odwiedził bratową, w wybornych wszyscy byli humorach, p. Józef opowiadał o wczorajszych imieninach, wtem wszedł lokaj z listem: „Od księżnej pani“. „Od księżnej“ zawołali wszyscy. P. Hieronimowa drżącym głosem czytała te słowa: „Dziękuję ci, Cesi u kochana, moja druga córko, za twój upominek, drogi on sercu memu i nie odstąpi mię do śmierci, bo mi przypomina twoje synowskie uczucia dla mnie. Chciałabym moje dziecię, odwiedzić jutro ciebie, ale żebyś sama tylko była, sama! rozumiesz mię? do widzenia. „Cóż to za upominek?“ zapytał p. Józef. Nie mogła p. Cecylja dłużej się wstrzymać, głośno się rozplakała i tak mówiła: „Na wasze poróżnienie żadnego nie miałam wpływu, w nic się nie wdawałam, tajemnie tylko opłakując waszą zawziętość, i milczałam, póki księżna tu zostawała, bo pocieszałam się nadzieją, że Bóg tym niezgodom kiedyś koniec położy. Wspomnijcie na to, że moja nieszczęśliwa matka z obłąkanym umysłem niezdolną była mię wychować, że księżna dla mnie prawdziwą stała się matką, ona przytuliła mię biedną do swego łona, ona uczucia macierzyńskie pomiędzy Dośią i mną dzieliła. Dziś ta matka moja opuszcza kraj może na zawsze, stan mój nie zapewnia mię o mojem życiu, mogłabym przenieść na siebie, ażebym raz jeszcze jej nie zobaczyła nie pożegnała i błogosławieństwa jej nie odebrała? Tak! byłam u księżnej, kochana p. Skirmuntowa ośmieliła i zaprowadziła, a potem

upominek mój odniosła“. „Cesiu!“ ozwie się rozrzewniony p. Józef—„najniesłuszniej wyrzucasz nam twoje cierpienie wynikłe z naszej niezgody. Należało oddawna uwolnić się od tego ciężkiego jarzma. Winienem! przebacz kochana Cesiu! przebacz mi! Postępku twego nie mam ci za złe, owszem raduję się, żeś twym uczuciom, twej powinności zadość uczyniła. Kochana p. Skirmuntowo! Pani najserdeczniej dziękuję za to pośrednictwo, oby Bóg i dalej ci dopomagał!“ „Pierwszy krok już zrobiony“, odpowiedziała p. Skirmuntowa, „Bóg nam i do końca pomoże“. „Odpiszże kochana Cesiu księżnie, że przyjmujesz jej odwiedziny i, że nikt wam nie przerwie rozmowy, jeśli same tego nie zażądacie. Jutro mam dobry pozór nieoddałania się z pałacu, imieniny mojej żony, spodziewamy się gości, bądź więc spokojną“. Poszli wojewodzice, p. Hieronimowa odpisała księżnie, że ją czeka z obiadem, i potem z p. Skirmuntową do wieczora sobie przegadały. Przyjaciółka prawdziwa domu Walewskich, przemyśliwała szczerze o tem jutrze, mogącem stanowić spokojność życia dwóch osób, rozłączonych dziwnym zbiegiem okoliczności, z których każda działanie swoje miała za prawe, a obie się omyliły. Widziała i dobrą stronę i uchybienia stron obydwuch, i do żadnej się szczególnie nie przychyłając, gorąco pragnęła pojednać je, bo ich wszystkich szczęścia pragnęła.

Nadeszło to jutro, goście zbierali się do pałacu na imieniny, ale nie na bal, bo jeszcze się żałoba nie skończyła, bo nazajutrz dopiero była rocznica śmierci p. wojewody. P. Skirmuntowa udała się także na pokoje, powinszowała solenizantce i krótko zabawiwszy zabierała się do wyjścia, p. Józef ją zatrzymał: „Cóż to, rzucasz nas? a na obiad z nami?“ „Nie mogę, dałam słowo pani Hieronimowej, że jej dotrzymam kompanji“. „To dobrze! ty wiesz, co robisz. Idź!“ „A jeśli my tam pana Józefa zapotrzebujemy?“ „Idź! niech ci Bóg dopomaga!“ odrzekł, rozrzewniony całując jej rękę. P. Skirmuntowa nie za-

stała jeszcze księżnej i o swoim pomysle nie nikomu nie wspomniała. O południu nadjechała księżna z Dosią i wychowanką Moniką. Zadowolona, że nikogo z mężczyzn nie zastała, oddała się wesołości; rozmowa była ogólna o Paryżu, o podróży, o imieninach p. Józefowej, o osłabłym duchu poróżnienia między rodziną. P. Skirmuntowa w tej materji rzuciła pojednawcze wyrażenie i księżnej to nie raziło. Po obiedzie księżna z p. Cecylją zasiadły sobie w głębokiej oknowej framudze i z cicha rozmawiały, reszta dam w pobocznym pokoju zebrała się koło okna. Dziedziniec pałacowy od stajennego oddzielała publiczna droga, a po tej drodze przechadzał się wolnym krokiem tam i nazad z założonemi na piersiach rękami i spuszczoną głową mężczyzna. Dosią i p. Skirmuntowa razem go spostrzegły: „To Feliks!“ rzecze z cicha Dosią, cisnąc za rękę sąsiadkę! „On!“ odpowie takimże głosem: „korzystajmy z przyjaznej sposobności“. „Cóż chcesz zrobić kochana pani?“ „Siadaj i pisz!“ „Do niego? Cóż mam pisać?“ „Ja ci podyktuję“. „Ach mama obrazi się na mnie?“ „Nie bój się! za wszystko odpowiem“. Dosią usiadła i p. Skirmuntowa te słowa jej podyktowała: „Jeśli jeszcze w twojej pamięci zostało imię Dosi i przyjaźń dla niej chowasz w twem sercu, to proszę cię, przyslij tu mego wuja Józefa“. Posłano w ten moment karteczkę i stanęły w oknie, ażeby widzieć co się z nią stanie i widziały, jak lokaj oddał kartkę, jak ją Feliks przeczytał, jak patrzył przez chwilę w to okno, gdzie stała Dosią, potem dał znak lokajowi i sam poszedł do pałacu.

Księżna z p. Hieronimową spokojnie sobie we framudze siedziały, księżna odwrócona od drzwi wchodowych, reszta dam żwawym krokiem przechadzała się z pokoju do pokoju. Wkrótce pokazało się dwóch mężczyzn idących od pałacu, jeden został się za mostem na drodze, drugi zbliżał się ku mieszkaniu p. Walewskiej. Dosią mdło się zrobiło, wyszła z Moniką do innego pokoju,

p. Skirmuntowa zbliżyła się do siedzących we framudze. P. Hieronimowa opowiadała coś księżnie z żywością, raptem ucieła, spuściła oczy, zbladła i drżeć zaczęła. Księżna, zdziwiona tą nagłą zmianą swej Cesi, obejrzała się, pan Józef stał w środku pokoju. „O zdradziłaś mię Cesi!“ zawołała księżna zrywając się z krzesła: „miałyśmy być same“. „To ja odejdę“ rzekł smutnie p. Józef. „Nie! nikt z was nie pójdzie, nikt się stąd nie ruszy!“ zawołała p. Skirmuntowa, stając między bratem i siostrą. „Bóg wam zesłał tę chwilę przyjazną, nie będziecież z niej korzystać? Obchodząc jutro rocznicę śmierci najlepszego ojca, jakże niepojednani staniecie nad jego grobem? Zapomnieliścież ostatnich słów jego, gdy was błogosławił: „Kochajcie się dzieci moje! niech jedność i zgoda wiecznie między wami panuje!“ I toż to jest ta jedność? i toż to jest ta miłość braterska, którą wam zalecał. Dość długo waszem poróżnieniem obrażaliście święte ojca popioły! Czyż serca wasze zamknęły się uczuciom tak świętym? Czyż duma nie da się upokorzyć przed sercem i zatłumi wszystkie inne uczucia? Nie odzywał się zgryzoła w sumieniu waszem! O! zaklinam was! — dodała, rzucając się w pośród nich na kolana — błagam! na pamięć tego drogiego ojca! na święte jego popioły! zapomnijcie uraz, podajcie sobie bratnie dłonie i w czułym braterskim uściśnieniu zagrzebcie w niepamięci hańbiące was niesnaski! Duch ojca unosi się nad wami, aby błogosławić waszemu pojednaniu!“ To wyrzekłszy połączyła nieopierające się ręce rodzeństwa, a brat i siostra rzucili się ze łzami we wspólne objęcia. Uroczyste milczenie trwało chwil kilka, nikt nie śmiał przerywać tych braterskich uniesień. Potem rodzeństwo zabrali się do osobnego pokoju, p. Hieronimowa i Dosia uwiesiły się na szyi poczciwej Skirmuntowej, której piękne lice odmłodziła, jaśniejac zadowoleniem wewnętrznem z oddanej przyjaciółom usługi. Rodzeństwo długo rozmawiali na osobności, nakoniec wyszli trzyma-

jąc się za ręce; lzy ich jeszcze nie oschły, ale w oczach była pogoda, w sercach pokój i długo niedoznawana radość. Dziękowali od serca zacnej przyjaciółce za pośrednictwo; ta im wskazała, że Dosi najwięcej winni; p. Józef przyciskał siostrzenicę do serca, dziękował i zapłakał i Dosi zapłakała i księżnej oczy łzami się zalały. Z żalem wspomnieli przeszłość, ale już niecofnioną!

Powracającego do pałacu, a jaśniejącego radością, p. Józefa zapytał Feliks: „Co zaszło?“ „Pogodziłem się z siostrą!“ „Tak Bóg chciał! to ci honor nakazywał!“ „A twoja dobra dla mnie przyjaźń dopełniła“ odrzekł ściskając go p. Józef i idąc drogą, całą scenę mu opowiedział. „Dzielną jest Skirmuntowa!“ zawołał Feliks — „Nieoceniona przyjaciółka“ dodał p. Józef. Na pokojach goście dziwili się jego rozpogodzonej twarzy, on opowiedział wszystkim, jaka go przyjemność spotkała, wszyscy mu winszowali, Hieronim polecał ucałować nogi siostry, którą jak matkę kochał, a na którą gniewać się musiał. Nadjechali kasztelanówstwo podzielać wesele pojednanych. P. Bieżyńska, wynurzając uczucia swoje dla pośredniczki, powiedziała jej: „Marzyłam zawsze pojednanie mego rodzeństwa, jako moje dzieło i przemyślałam nad środkami; uprzedziłaś mię, może ci zazdroścę, ale cię jeszcze więcej kocham, — kocham, jak rodzoną siostrę“. Nazajutrz brat i siostra z całą rodziną w grubej żałobie klęczeli obok siebie, przy katafalku ojca, przez całe nabożeństwo i uściśnieniem najszczerzem, braterskiem uściśnieniem na grobie ojca pojednanie swoje publicznie stwierdzili.

Panna Dorota Stecka wyszła za księcia Józefa Lubomirskiego, czy była z nim szczęśliwą? wiedzą ci, co bliżej Niewirkowa mieszkali, ja raz ją tylko po zamęściu widziałem, zawsze w oczach moich była piękna, a słodka melancholja po twarzy rozlana, jeszcze jej więcej uroku dodawała. Feliks w 1809 r. wszedł do wojska francusko-polskiego, pięknie się odznaczał i w 1812 r. poległ pod

Smoleńskiem. P. Józef, wracając z wygnania, na obcej
ziemi życie zakończył. P. Bieżyńska, dzieliła z mężem
wygnanie, była sobie kucharką i praczką i zawsze wzo-



Dorota Józefowa ks. Lubomirska,

córka Jana Steckiego, chorążego w. kor. i Walewskiej, wo-
jewodzianki sieradzkiej.

rową, wielką wśród mieszczeństwa niewiastą. Zaenry Adam
nie długo po powrocie z wygnania żoną, dziećmi i do-
mem się cieszył. Księżnę w kilkanaście lat po tem widzia-

łem w Warszawie, widzenie się ze mną wiele ją też kosztowało, bo jej przypomniałem Tuczyn w całej świetności i upadku. Istotnie upadł Tuczyn. Sprawdziły się słowa Bernardyna na pogrzebie p. wojewody: „Upadła kolumna (herb i przydomek Walewskich), podtrzymująca całą budowę, pozostały słupki, daj Boże, ażeby z upadkiem gmachu nie runęły!“

ROZDZIAŁ III.

Wracając ze świąt wstąpiłem do Pekałowa. Łaskawe znalazłem u hrabstwa przyjęcie, hrabia zawsze z niezmienną swoją dobracją po imieniu nazywał. „A cóż Antosiu, dobrze ci się w Krzemieńcu powodziło?“ „Dobrze mości hrabio!“ „Wiem, wiem o wszystkim, wiem od waszego szanownego Czecha! Przeszedłeś trochę przez różgi, ale to młodemu człowiekowi nie bez korzyści. Ale czemu to pan Antoni o Pekałowie zapomniał? Możeby tu kto znalazł się, coby ciebie w biedzie poratował“. „Mości hrabio! małoż to ja pańskiego chleba przejadłem? Małoż tu ubogich uczniów ten chleb jw. hrabiego karmi w Krzemieńcu? Godziłoż mi się także zdrowemu i młodemu zwiększać liczbę potrzebujących jego wsparcia?“ „A tobie co do tego? Czy przyjechałeś, bym słuchał rachunku z moich wydatków? He? Jesteś w Pekałowie, to jesteś pod moją opieką i opiekunowi posłusznym być musisz. Widziałeś już Oleszkiewicza ostatnie roboty?“ „Nie, mości hrabio, jeszcze się nawet z braterstwem nie widział“. „No! to idźże i wracaj tu do mnie, sam cię poprowadzę do mojej galerji „car je veut jouir de la surprise“. Poszedłem do Oleszkiewiczostwa, można sobie wyobrazić powitanie moje z siostrą po dwóch latach niewidzenia się i z mężem jej, o którym ani mi się kiedy marzyło, że moim szwagrem będzie. Miło nam było powitać się i w familijną wejść pogawędkę, ale hrabia nie dał mi długo

zabawić. „Wszak nie na godzinę do Pekałowa przyjechałeś, a jeśli się boisz, żeby cię prefekt do ciupy nie zasadził, to napiszę do niego, że parę dni cię zatrzymałem. Ale, ale, czy ty najętymi końmi przyjechałeś?“ „Tak jest mości hrabio“. „Matuszewicz!“ zawołał na lokaja „idź powiedź Lisowkiemu, żeby zapłacił co się należy furmanowi, który przywiózł p. Antoniego, a jego rzeczy znieść do p. Gineta“. To powiedziawszy, wziął mię za rękę i śpiesznym krokiem poszliśmy na górę. Biblioteka zamieniła się w galerję. Zapomniałem języka w gębie, mówiąc po staremu, spojrzawszy na te dziwy sztuki malarskiej. Przeciw nas było: „Porwanie Dejaniry“ z Gwido Reniego, nalewo ogromny obraz Smuglewicza „Śmierć Jana Karola pod Chocinem“, naprawo „Tetys przynosząca broje Achillesowi płaczącemu Patrokła“, na odwrotnej ścianie pendant do obrazu Smuglewicza „Pożegnanie z Anną z Ostroga przy wyjeździe na wyprawę Chocimską“, a nakoniec „Przemienienie Pańskie“. Tu dopiero widać było Oleszkiewicza! Przemienienie i Dejanira były kopje, Achilles i Jan Karol oryginały jego pędzla! Upadłem na twarz przed Przemienieniem, zdaje się, że najzimniejszy nawet estetyczny analizator nie mógłby nie uchylić czoła przed Boskiem obliczem Zbawiciela! Długo oczu moich od tego obrazu oderwać nie mogłem i, rozpatrując drugie, zawsze do Przemienienia wracałem. Figura Centaura prześlicznie oddana, a Dejanira pięknnością półbogów jaśniała. Ale popatrzmy na własne jego utwory: Achillesa stojąca figura przecina leżące zwłoki Patrokła, Tetys siedzi w nogach zmarłego, otoczona przyborami wojennemi, w głębi niewolnice płaczące: „lecz na pozór Patrokła, w rzeczy siebie płaczą“. (Il. Tł. Dmoch.) Niektórzy zarzucają Oleszkiewiczowi rzucenie dwóch figur na wkrzyż; nie wiem, czy ten warunek w prawidłach kompozycji się znajduje, ale to wiem, że ten obraz tyle ma w sobie życia tyle prawdy, tyle gustu, że nie można nie patrzeć na niego z najwyższem za-

dowoleniem, nawet odwróciwszy oczy od transfiguracji. Jest to zawsze obraz z pierwszorzędných naszego artysty. Pożegnanie Jana Karola z Anną, na swój ogrom, zdaje się za ubogą ma kompozycję. Wszystkie figury zebrane przy drzwiach kościoła, lewa strona trochę pusta, prawie po środku giermek z koniem nie klasycznej piękności. Ale za to Chodkiewicz! wojownik osiwiwały pod hełmem, z twarzy i postawy bohater! A Anna! Co za wdzięk rozlany w całej postaci, jaki żal z rezygnacją w obliczu, zdaje się przez łzy mówić: „Idź! gdzie cię ojczyzna wzywa! Bóg nad nią i nad tobą czuwać będzie!“ Śliczny obraz, godzien pędzla Oleszkiewicza!—Cóż mam powiedzieć o śmierci Jana Karola? Trudno wierzyć, że to jest ten pędzel, który w swoim czasie wślawił Smuglewicza. Może w nim zachowane prawidła kompozycji, ale gdzież pędzel? gdzież życie? rysunku nawet nie zna! Ja pozwoliłem sobie zrobić uwagę, ażeby ten obraz gdzie osobno umieścić, rozśmiał się hrabia i rzekł: „Są to ostatnie tony śpiewu umierającego łabędzia, początek śpiewu był może lepszy. Nic innego z obrazów Smuglewicza dostać nie mogłem a i ten 500 dukatów kosztuje“. Wszystkie wymienione obrazy wielkich wymiarów, figury w nich naturalnej wielkości. Pomędzy niemi wisały dawniejsze malowidła Oleszkiewicza, drobniotkie, ale śmierć Katona i nocny obraz z historii Harmodjusa, iakkolwiek małe wymiarem, nic ze swej artystycznej wartości nie traciły. Dziękowałem hrabiemu za widzenie tyłu osobliwości i przez trzy dni bawienia w Pekałowie po godzin kilka na przypatrywaniu się temu bogactwu w galerji przepędzałem. Na wyjezdnem dostałem od hrabiny bogaty przybór do rysunku, hrabia mi powiedział: „W ostatki spodziewamy się mieć piękne zgromadzenie i zakończyć karnawał wesoło, przyjedź, jeśli nie dla nas i dla zabaw, to dla siostry twojej i dla malowideł Oleszkiewicza. Ażeby cię nie narażać na koszta, oto masz parę dukatów na najęcie koni“. To rzekłszy śpiesznie mię porzucił. Czulem

w ręku wagę więcej niż dwóch dukatów, było ich dwadzieścia! Zawsze to serce hrabiego było anielskie, ale ta dobroć nie zawsze wdzięczność wywołała!

Dane mi od hrabiego pieniądze zdały się bardzo na zrobienie nowego ubrania, w któremby się w takim domu uczciwie pokazać można. Wkrótce nastąpiły ostatki zapust, wczesnie pojechałem i dobrze się stało: bo jeszcze kazano mi wziąć niewielką rolę w komedji Destoucha „la fausse Agnès“, w której Konstancja i Feliks Czaccy najwyborniej pierwsze role oddali. Podczasostwo Czaccy, hr. Marcinostwo Tarnowscy, pp. Karwiccy, z przeszliczną, jak róża wywijająca się z pączka, Anusią¹⁾, p. Adam Szwejkowski z nowozaślubioną sobie Krystyną Kossowską, córką owej sławnej w Polsce piękności Barbary z Bielińskich Kossowskiej, Leduchowscy ze Smordwy, i z Dubna księstwo, zresztą nie pamiętam wszystkich. Pierwszego dnia graliśmy komedję, ale że bardzo zimno było, więc w sali jadalnej na jednym poziomie z widzami, ale komedja się udała. Drugiego dnia wszyscy byli w Młynowie u p. starościnej żmudzkiej na obiedzie, późno wrócili i tańce nie długo trwały. Na trzeci dzień, była maskarada i balet na sali. Księżniczka Antonina Radziwiłłówna i Oleszkiewiczowa figurowały w balecie. Rozbierając estetycznie rysy księżniczki, nic w nich klasycznego nie było, ale całość takim oblana urokiem, że wśród pięknych księżniczka piękną się wydawała. Brat jej 13-letni, podobny do niej Konstanty, żywy, pusty, ale miłego i pewnego charakteru chłopczyk, także grotesco

1) Generalowa Franciszka Dunin-Karwicka, córka Hja-cynta Małachowskiego, Kancelerza Wielkiego Koronnego, miała córkę Anusię niesłychanie pięknej urody, w której pól Wo-lynia kochało się. Anusia była przeznaczona za żonę Janowi Zamoyskiemu, ale uczucie prawdziwej miłości miała dla Ta-deusza Walewskiego, któremu też po różnych perypetjach miłosnych rękę swą oddała. Umarła w Krakowie w r. 1881 w 86 roku życia.

w balecie figurował. Książęta byli dziećmi ks. kasztelanowej wileńskiej, siostry hrabiego, i po śmierci rodziców przy wuju bawili. Antosia i Kostuś byli kochaniem całego domu i wszystkich, kto tylko ich poznał. Nie mam co opisywać maskarady. Rzetelność kostjumów, bogactwo i gust w ubiorach, dodajmy do tego wdzięki dam naszych, a było czem oczy nasycić. Balet zakończyły sola Konstancji Czackiej z zielami, księżniczki i Oleszkiewiczowej z girlandami; ułożony był i wyuczony przez panią Maury, guwernantkę Zosi Chodkiewiczówny, którą wywieźli hrabstwo z Paryża na rekomendację p. de Genlis.

We czwartek po rozjechaniu się gości pozostali jeszcze pp. Tarnowscy i Szwejkowscy, nie tańczono już, bo post zaszedł, ale jakoś humory były tak wesołe, tak zgodne, że się wybornie bawili. Ale po okolicy strach się rozchodził. W lasach między Krzemieńcem i Dubnem pojawiła się szajka rozbójników i nie tylko po drogach, ale i po domach obywatelskich napadała. Hrabiemu przyszła myśl pusta, zebrał nas kilkunastu, poprzebierał dziwacznie i sam najspokojniej usiadłszy w towarzystwie, rozmowę rozpoczętą o tych napadach podsycał. W tem że w wszystkich drzwi salonu wpadają mniemani rozbójnicy. Łatwo sobie wyobrazić krzyk i zamieszanie, jakie się zrobiło między damami, ale jakoś żadna nie zemdłała. Myśmy rzucili się niby na hrabiego, on laską machnął i my upadliśmy na kolana przed damami. Poznano maskaradę. Damy, ochłonawszy ze strachu, przypatrywały się naszym kostjumom, śmiały się i dobre wykonanie napadu przyznały. Ale to co było tylko udaniem, czekało w istocie dom hrabstwa. Na drugi dzień odebrał hrabia list z Dubna od podkomrzego Tarszeńskiego, że przeszłej nocy połapano w Szepetyńskim lesie rozbójników i herszta ich schwymano. Natychmiast hrabia pojechał do Dubna i nas kilku za nim. Jakież było zdziwienie hrabiego, kiedy w herszcie rozbójników poznał ślusarza, który dwa lata służąc w Pekałowie, wszystkie zamki w pałacu porobił.

„Cóż tu robisz?“ zapytał hrabia „A cóż, bawię się żelazem“—odpowiedział, potrząsając kajdanami—„to moje rzemiosło“. „Cóż ciebie do tego przywiodło?“ „Wola Przeznaczenia“. „Czyż nie lepiej ci było, tak porządnemu rzemieślnikowi pracować i uczciwie się prowadzić?“ „Ciężki był mój zarobek w pocie czoła, do gotowego iść lepiej“. „Toż na mój dom napadłbyś?“ „A na cóżem wszystkie zamki w pałacu porobił?“ „I pozabijałbyś nas?“ „Na co? na moim ręku krwi jeszcze niczyjej nie ma. Zabrałbym wam tylko to, co nadto macie“. „A gdybym potrafił cię uwolnić, czybys się poprawił?“ „Nie wiem“ rzekł smutnie „daleko zabrnąłem“. Hrabiemu żal go się zrobiło, młody to był człowiek ledwie lat dwadzieścia pięć, piękny i zdatny, umiał czytać i pisać, a przez dwa lata służby nic się w nim nagannego nie okazało. Hrabia wszelkich używał sposobów uwolnienia go, chciał go wziąć na swoją porękę, ale nie było sposobu ratować.

Przeszła prędko wiosna, na wakacje ks. Osiński zarekomendował mnie p. sędziemu Gadomskiemu na Podole do 10-letniego syna. Okolice te nowe dla mnie i ludzie nowi, ale że ludzie są wszędzie podobni sobie, całe więc marzenie moje było o okolicach. Słyszac wiele o Podolu, wyobrażałem sobie, że: ot to ja wpadnę w krainę, gdzie to, co spojrzysz, to pejzaż, a jeden piękniejszy od drugiego. Ale na wstępie zaraz iluzja moja znikła, bo Weselce, majątność, gdzie pp. Gadomscy mieszkali, położeniem się swoim nie zaleca. Piękna to szlachta podolska, Gadomscy. Podkomorzy Gadomski z pierwszej żony miał dwóch synów, Jana i Ignacego, z drugiej syna i dwie córki. Właśnie to p. Jan umówił mię na wakacje. Porządny to był człowiek i nauki wiele i zdrowego rozsądku i takt w postępowaniu. Brat jego młodszy p. Ignacy jeszcze lepiej ukształcony był lektorem króla Stanisława z tytułem sekretarza j. k. mości, piękny był mężczyzna, nie żonaty, uczony, trochę pedant, ale bardzo miły człowiek; mieszkał o mil trzy od brata w Zawadyń-

cach, ładną posiadał bibliotekę i poznawszy mię wstęp mi do niej otworzył. Blizko bardzo od pp. Janostwa mieszkała macocha samego, a samej ciotka, p. podkomorzyna Gadomska, przy niej piękna córka p. Sarnecka, a o pół mili w Borszczówce syn p. Antoni, małego zdrowia, bardzo brzydki i jakoś ułożeniem od braci bardzo różny, mieszkał sam i nie wiele lubił towarzystwo. Uczeń mój Józio, pieszczoney, trochę ślamazarny, ale zdolny, pojmował nauki i przez ciąg wakacji przeszliśmy wszystko, czego się na klasę pierwszą uczono. Rekreacje obracaliśmy na przechadzki i nieraz do Radkowicy do babuni zawędrowaliśmy, gdzie nas i ugaszczano serdecznie i odsyłano powozem do domu. Z Gadomskimi żył w przyjaźni biskup Dembowski, żołnierz, senator i kapłan, zawsze i wszędzie jednał sobie życzliwość i wysokie uważanie. Majątek oddał synowi, a sam tylko z biskupiej pensji utrzymywał się. Pani hr. Mniszchowa wydzierżawiła mu Jaromirkę, ze swego Grodeckiego klucza wioskę, gdzie ks. biskup mieszkał najwięcej. Dom trzymał otwarty, więc zawsze miał gości, nie mało też i biednych w Jaromirce przytułek miało. Inentrata nie wystarczała i biedny szanowny starzec był zawsze w potrzebie, ale przywiązanie synowskie sąsiadów, z całą delikatnością nieść pomoc interesom pasterza pokryjomu umiało. W blizkim także sąsiedztwie i w blizkich stosunkach żyła z Gadomskimi bogaczka podolska, p. starościna Grabianczyna. Mąż jej, jeszcze za czasów polskich razem z Cagliostrem alchemii się oddawał i szukając złota marnotrawił piękny majątek. P. starościna zauważywszy, że mąż, czy złoto zrobić potrafi, czy nie, a fortunę straci, postarała się o urzędowe usunięcie męża od administrowania majątkiem i tak dobrze zawinęła, że w przeciągu lat dwunastu oczyściła i wdwójnasób majątek powiększyła. Dom jej był na wysokiej stopie, bo ród jej i kolidacje—hrabianka Stadnicka była z domu—wymagały wyższego tonu w jej domu, i uprzejmość tam była staro-

polska. Domy Kickich, Witosławskich, Raciborowskich, Starzyńskich, Makowieckich, Zaleskich, wszystko to były rodziny szlacheckie, dawne, zamożne i od wieków na Podolu osiadłe, wszystkie na wyższej stopie. Była wszędzie szlachecka ogłada, dostatek, uprzejmość, nawet w przyjęciu wytworność, ale był ład i rachunek. Każdy obywatel żył pięknie i nie bez pięknej gotówki mieli szkatuły. Takie było Podole w pierwszych latach obecnego stulecia.

Wakacje szybko uleciały, pp. Gadomscy zadowoleni postępem Józia zaproponowali mi, ażebym został na rok cały, ale nie zdecydowałem się, nie wiedząc jakie w tym względzie ma być postanowienie władzy szkolnej krzemienieckiej. Stało na tem, że p. sędzia daje mi swoje konie i brykę, ażebym pojechał do matki, a w przejeździe wstąpił do Krzemieńca o decyzję względem zrobionej mi propozycji. Ale jadąc do Tuczyna, skróciłem sobie drogę na Stary Konstantynów i Ostróg. Na ten raz szczęśliwie zastałem u pp. Walewskich całą prawie ich rodzinę i to był raz ostatni. Przeleciało wiatrem trzy tygodnie, byłbym i więcej zabawił, ale mi chodziło o konie p. Gadomskiego, żeby ich długo nie trzymać, bo utrzymanie z łaski p. Józefa i Skirmuntów nie mię nie kosztowało. Ze smutkiem dom opuściłem i skierowałem już drogę moją na Krzemieniec, bo tak umówiliśmy się z p. sędzią, że jeżeli otrzymam pozwolenie, temiż końmi do Weselca powrócę, jeśli nie pozwolą, konie odeszłę. Udałem się natychmiast do dyrektora: „Dobrze, żeś wmpan przyjechał, winszuję, umiałeś sobie pozyskać dobrą opinię pp. Gadomskich i żądają cię mieć na rok, nie jesteś przywiązany do żadnego kursu, do obranych obiektów znowu przyjść możesz, a w towarzystwie p. sekretarza i przy jego bibliotece czasu nie stracisz. Bądź gorliwym w twoim obowiązku, a nie bierz na barki więcej nad to, co unieść zdołasz. Żegnaj wmpana, życzę ci najlepszego powodzenia!” Ucałowałem podaną mi rękę i poszedłem odwiedzić drugich. Prefekt, ks. Osiński i Maławscy powyjeżdżali na

wakacje, z innymi nie było chęci do widzenia się i wróciłem na Podole. U p. Gadomskiego zastałem urzędowe uwolnienie mnie na rok z gimnazjum z terminem na 29-go czerwca. Nie gniewałem się wcale, że p. sędzia sam jeździł do Krzemieńca, aby wyjednać to uwolnienie, owszem rad byłem z umieszczenia się w tak zacnym domu. Wziąłem się do pracy z moim uczniem, p. sekretarz obdarzał mię dobrmi książkami, cała rodzina Gadomskich okazywała mi niezmyśloną życzliwość i czas mi uchodził przyjemnie. Ze wszystkich domów, gdzie bywałem, najmilej mi było u p. podkomorzynnej Gadomskiej, u pp. rotmistrzostwa Kickich, których syn Jan od Krzemieńca znajomy z całą otwartością młodocianej przyjaźni w domu swych rodziców mię przyjmował — i u ks. biskupa zaszczycającego mię swojemi względami.

Pp. rotmistrzostwo mieli córkę, to jest p. rotmistrz z pierwszego małżeństwa, z obecnej zaś małżonki hrabianki Tarnowskiej, siostry hrabiego Marcina, był syn Jan. O pannę Onufrę starał się starościc Czosnowski i otrzymał przyrzeczenie panny, zatwierdzone zezwoleniem rodziców. Wesele naznaczone było na św. Stanisław, rocznicę imienin p. rotmistrza. Wielkie były przygotowania, wiele spodziewano się gości. Dla niedostatku obszernych pokojów w domu pp. rotmistrzostwa, wozownia zamieniła się na wspaniałą salę, ozdobną kolumnami, festonami zielonemi, lustrami i świecznikami w najwytworniejszym guście, a tę okazałą zabawę świątynię czarno-księską mocą swojego smaku z niczego wywiodła pokrewna pp. Kickich p. Chrząszczówna. Zbierali się goście i sąsiedni i dalecy. Pp. Gadomscy byli zaproszeni, ale sama dla słabości nie była, sam tylko, wzięwszy mnie ze sobą na żądanie Jasia Kickiego, pojechał, Józio został przy matce. Zjechała z Wołynia hrabina Marcinowa Tarnowska z piękną Łucją Sobieszczańską, nie mającą równej sobie w całym tem zebraniu. Siódmego maja wieczorem przyleciał posłaniec z listem od p. młodego, w którym

pisze: „że obrachowawszy się z usposobieniami swojemi materialnemi i umysłowemi, po dojrzałym namyśle, zrzeka się szczęścia, jakie czeka go z panną Onufią i od słowa ją uwalnia“. Niewiele to obeszło familję, ani panna wiele żalu okazała, rotmistrz się tylko rozgniewał, chciał wyzwać Czosnowskiego, ale go damy uchodziły, udo-bruchał się i zamiast wesela, imieniny wesolo i uroczyście obchodzono.

Chodziły już ciche poszepty o wejściu Francuzów do Austrii, już o wzięciu Tarnopola przez polskich ułanów przebąkiwano, młodzież zbierała się po kątach i po cichu radziła. Na 15 maja p. starościna zaprosiła wszystkich gości do Ostapkowiec, gdzie kuzynie hr. Marcinowej Tarnowskiej imieniny wyprawiała, i tam z p. Gadomskim byłem. Już nie szepty, a głośne zbieranie się, narady między młodymi pojawiły się. P. Gadomski miał mię na oku. Bał był świetny, trzydniowy i tańce narodowe najczęstsze. Ksawery Zaleski, Kicki i ja spoczywaliśmy w sąsiednim pokoju od sali, odpoczywając po mazurze, rozmawialiśmy o bliskości wojsk polskich i sposobach dostania się do nich. Kicki dawał dla mnie konia i pałasz i mundur sprawiając sobie i mnie miał sprawić, a w tym zapale rozmowy, aniśmy zauważyli, że mamy świadka naszej pogadanki. Spostrzegłszy p. Gadomskiego, ruszyliśmy się wychodzić, sędzia mię zatrzymał: „Czy także z nimi się wybierasz?“ „Czyż mam, jak baba, siedzieć w kącie, kiedy bracia pierś za ojczyznę nastawiać będą?“ „Piękne to, chwalebne uczucia, ale pan z tą młodzieżą nie pójdziesz“. „Któż mi zabroni?“ „Ja, wziąłem pana z Krzemieńca na moją odpowiedzialność, gdybyś poszedł z domu mego naraziłbyś mię na prześladowanie sprawiedliwe rządu, a i matka twoja miałaby mi do wyrzucenia. Daj mi słowo, że nie pójdziesz aż do terminu naznaczonego ci od twojej władzy, co się przewlecze, nie uciecze, a wtedy sam ci ułatwię przejazd do Tarnopola“. Słuszne były uwagi sędziego i tego momentu wyjechaliśmy z Ostapkowiec. Tej-

że samej nocy prosto z balu od p. starościny wyjechali za Zbrucz: Augustyn Trzcieski, Jan Kicki, Ksawery Za-leski, Antoni Stadnicki, Wieczwiński i Słupecki. W kilka dni potem będąc w Tarnorudzie, przez roгатkę widziałem się z niektórymi, serce ciągnęło za roгатkę, dane słowo wstrzymywało od połączenia się z kolegami. Czekałem obiecanego terminu, ale go uprzedził list prof. Maławskiego, donoszący o bytności w Krzemieńcu księcia kuratora i zniewalający, abym natychmiast przyjeżdżał. Pp. Gadamscy, choć im żał było za mną, radzi byli, że spadł im z głowy ciężar mogącej wypaść odpowiedzialności za moje wyjście. I tak zostałem! z żalem zostałem.

Rok to pamiętny w dziejach Europy. Trzy cesarstwa zamknęły utarczki swe polityczne traktatem, wracającym część Galicji zachodniej do księstwa Warszawskiego, wschodnia część, to jest obwód Tarnopolski, do Rosji przyłączonym został. Wiedział rząd rosyjski o wymykaniu się młodzieży za granicę i w jakim celu, ale wielkomyślność i ojcowska dobroć monarchy przebaczyła to uniesienie młodocianego ducha, a rodziny będących w wojsku francuskim mieszkańców zachodnich rosyjskich prowincji prześladowanemi nie były.

ROZDZIAŁ IV.

Rok 1809, ważny w dziejach Europy i w Krzemieńcu ważną się epoką odznacza. Ale nim do opisania jej przejdziemy, rzućmy wprzód okiem na ówczesny stan szkoły i miasta. Z powrotem Czackiego z Petersburga, upewnił się i ulepszył byt gimnazjum. Darowane starostwo Krzemienieckie zwiększyło dochody i pozwoliło większych nakładów. Całe zachodnie skrzydło pojezuickich murów przerobiono na okazałe sale biblioteki, do której i ozdoby i księgi po królu Stanisławie zakupił Czacki. Reformatorów rząd przeniósł do Desderkał, reformacki

klasztor dostał się bazylijanom, bazylijańskie mury przyległe gimnazjum do gimnazjum przyłączono. Na miejsce zmarłego prof. Szeidta, katedra chemii dostała się Szostakowskiemu, uczniowi Jędrzeja Śniadeckiego, wielkich zdolności, kochającemu swój przedmiot nauczycielowi. Na prof. nauk przyrodniczych Czacki sprowadził Bessera, znanego już w świecie uczonym botanika. Z uczniów krzemienieckich pięknie usposobiony Czarnocki otrzymał katedrę algebry. Uczniów liczba siedemset głów wynosiła. Czacki duchem swoim i obecnością ożywiał wszystko, wszystkim energii dodawał.

Komisja rządowa edukacyjna ustalona w Krzemieńcu, działania swoje rozpoczęła. Czacki prezesem, komisarzami byli pp. Filip Nerjusz hr. Olizar, hr. Aleksander Chodkiewicz, Michał Sobański i Wacław Borejko. Dla nieprzerwania działań komisji wielu z nich osiedli w Krzemieńcu. Po powrocie z Podola, zastałem zamieszkałych: starostwo Czackich, hr. Olizara z córką i synami, p. podkomorzynę Skibicka, marszałkostwo Zakrzewskich, marszałkostwo Gruszeckich i kilka innych pomniejszych szlacheckich domów.

Księżę kurator zjechał dla powzięcia prawdziwego wyobrażenia o gimnazjum i cztery tygodnie bawiąc i na lekcjach bywał i półroczne prywatne egzamina pod jego osobistym zasiadaniem odbywały się, a władza szkolna i nauczyciele z pociechą serca widzieli, że całoroczne ich trudy świetny skutek uwieńczył. Licznie zebrani na przyjazd księcia obywatele towarzyszyli mu na egzaminach, wrzucali swoje kwestie, ale przygotowanie uczniów wszystkie wymagania zadowoliło. Tak ściśle badania egzaminowe, przejrzanie ksiąg dyrektora i prefekta, przekonały kuratora, że szkoła Krzemieniecka najpiękniej odpowiada swojemu celowi i z prawdziwą pociechą serca odniósł samemu monarsze nader pochlebne, ale rzetelne zdanie i o szkole i o jej założycielu. Wtenczas to, zebrani u księcia obywatele, z prawdziwego przekonania i z wdzięczności,

postanowili oddać hołd cnotom obywatelskim i zasługom Czackiego i, kiedy ten mąż dostojny w swojej pracowni zajmował się sprawami komisji, współobywatele jego ułożyli z księciem myśl, jak uczcić pamięć i uświetnić w potomności zasługi męża, który się ich szczęściu, bo oświeceniu się dzieci, z zapomnieniem siebie najgorliwiej poświęcał. Było to jeszcze w pierwszych latach XIX stulecia, jeszcze panowanie interesu i egoizmu nie rozciągnęło ducha swojego nad naszą krainą, jeszcze staropolski duch braterstwa szlachtę jednoczył.

O godzinie dziesiątej członkowie komisji zebrali się na sesję, gdzie dwie jakieś ważne sprawy rozstrzygać się miały. Czacki zagaił posiedzenie, a wtem wszedł książę kurator otoczony gronem znakomitych wołyńskich obywateli, powstali komisarze i do przychodzących się przyłączyli. Powitał ich szanowny prezes, a książę, zbliżywszy się do stołu i pozdrowiwszy prezesa pełnym uszanowania pokłonem, tak mówić zaczął: „Zasługi twoje dostojny mężu! ziomkowie twoi uczuć i ocenić umieli. Twoje poświęcenie się dla dobra naszych dzieci i potomków w sercach naszych wzbudziły uwielbienie dla cnót twoich i chęć wywdzięczenia się choć w części za tyle trudów i poświęceń. Oto Wołynianie przez usta moje błagają cię, abyś chciał przyjąć, jako dowód ich wdzięczności i czi najwyższej, uwiecznienie pamięci twojej umieszczeniem popiersia twego w bibliotece gimnazjalnej i wybiciem medalu z twojem wyobrażeniem i, stosownem do twej zasługi i uczuć ich, godłem. Co do mnie, z najwyższą serca pociechą, odniosę Monarsze głos obywatelstwa, a potwierdzenie zamiaru ich prosić będę i przedwcześnie przewidując pomyślną odpowiedź, serdecznym przyjaźni uściskiem, winszuję ci tak świetnego dowodu powszechnego uwielbienia. Szczęśliwym! nader szczęśliwy, że licząc się w gronie tego zacnego obywatelstwa, uczuć ich tłumaczem zostałem“.

Stał Czacki chwilę w milczeniu, Iza spływała po pięk-

nem jego obliczu, nakoniec rzeknie: „Mości książę! W usługach moich dla kraju starałem się spełnić obowiązek prawego obywatela, działałem gorliwie, nie przecież jeszcze z tego za zasługę poczytać sobie nie mogę. Zaszczyt, jakim mię życzliwość Wołynianów uczcić raczyła, jak niespodziewany, tak i niezasłużony, tak jest wysoki, tak pochlebny, że mógłby podnieść mię w dumę. Ze łzą wdzięczności i sercem przepelnionem wdzięcznością składam wam dzięki prezacni współziomkowie! ale przebacz mości książę! nie czując się godnym tak świetnej nagrody, przyjąć jej nie mogę“.—„Panie starosto!“ odpowie książę—„Ta sama skromność, ta bezinteresowność, podnosi cię jeszcze wyżej nad wartość przyniesionej wdzięcznością współziomków ofiary. Ale pozwól sobie powiedzieć, że w tej sprawie głos całej prowincji więcej ma prawa stanowić, niż twój głos jeden, że zasługa twoja, jednomyślnie przez całą Wołyń uznana, musi być rzeczywistą zasługą, i jest nią niezawodnie. Żadne tu osobiste nie wpływają stosunki, żaden interes, bo na liście podpisanych znajdziesz nazwiska rodzin ledwie z nazwiska znajomych, a nawet zupełnie nieznanymi; a takie zdanie powszechne, jest sądem świata, sądem potomności, sądem Boga! nie wzbraniaj się więc mężu dostojny przyjąć tego dowodu czci współobywatelskiej, tego hołdu ich wdzięczności, tej zasług twoich godnej nagrody!“—„Dostojni współziomkowie! woli waszej niech się stanie zaadość! z pokorą przyjmuję zaszczyt, jakim mnie i ród mój okryć raczyliście. Oby Bóg raczył tyle przedłużyć dni moje, ażebym trudami i poświęceniem się dla waszego dobra usprawiedliwił w oczach świata sąd wasz i moją nagrodę“. To powiedziawszy, zszedł ze swego miejsca i z rozrzewnieniem przyjął uściskania współobywateli. Sesja się przerwała, ks. kurator podał rękę Czackiemu i na czele całego obywatelstwa wołyńskiego poszli do kościoła w modlitwie składać Panu zastępów dzięki: Czacki, za nieoczekiwany zaszczyt, obywatele za oddanie sprawiedliwości zasłudze dostojnego współziomka.

Potomność pewnie nic nie zarzuci temu uniesieniu serc wdzięcznych, a czytając życie Czackiego, przyzna słusność sądowi o cnotach i zasługach tego wiekopomnej pamięci męża. Ale jakże się zadziwi, może i wierzyć nie zechce, że z pośrodku tychże samych Wołynianów, podniósł się głos oskarżający Czackiego o złe cele w prowadzeniu gimnazjum, o nadużycie funduszków na tę szkołę w obywatelstwie zebranych. Głos ten doszedł do tronu, cesarz naznaczył komisję. Pod prezydencją hr. Fryderyka Moszyńskiego zasiadali w niej gubernator Komburley, marsz. gub. Gostyński, senator Worcell i księżę Karol Jabłonowski. Czacki sam prosił cesarza o potwierdzenie tych komisarzy, lubo wiedział dokładnie, że dwóch z nich byli jego oskarżycielami, a Komburley osobistym zawziętym nieprzyjacielem. Czacki sam stanął w swojej obronie. Przemówienie jego wstępne, tak wymowne, tak czułe, że tak tylko przemawiać może wzniosły umysł, czyste sumienie, siła woli i uznanie rzetelne osobistej godności. Rozrzewnienie objawiło się na obliczu zasiadającego, wstyd oblał twarze oskarżycieli. Czacki wyrachował się co do grosza z przychodów i wydatków, ale pokazało się, że niewniesione fundusze, własnymi pieniędzmi, z nadwerężeniem własnego majątku, zastąpił. Nie mogła komisja nieusprawiedliwić z niesłusznych zarzutów, nie mogła nie przyznać i nie uczcić bezinteresownego poświęcenia się sprawie oświecenia. Wracający całą sławę i całą cześć Czackiemu dekret komisji Monarcha najlaskawiej zatwierdził i osobnym reskryptem okazującym najwyższe zadowolenie zaszczycić raczył. Tryumf z odniesionego nad nieprzyjaciółmi zwycięstwa nie podniósł w dumę wielkiej duszy Czackiego, pierwszy podał im dłoń bratnią i dowodami okazał, jak słodko urazy przebaczać i dobrem za złe płacić. Radość napełniła serca Wołynianów i ośmset przybranych synów Czackiego, uczniów gimnazjum wołyńskiego, uroczyście ten dzień obchodzili.

Jeszcze więcej obywateli osiadło w Krzemieńcu w

następnym roku, jedni dla edukacji dzieci, drudzy dla ich kompanji. Ale ten rok tak radosny okrył żałobą szkołę i żalem napełnił serca Wołynianów. Dyrektor Czech nie mógł podołać trudom swego urzędu. Zdrowie jego chyliło się coraz do upadku, nakoniec w 1810 roku długie i bolesne cierpienia wydarły nam ukochanego naczelnika, nieszczęśliwym ojca, biednym wsparcie, rodzinie był cały, światu wysoce uczonego i wielkiego wielkością duszy męża. Ks. Osiński wymową Skargi oddał hołd winny cnotom i nauce Czecha, a opisaniem cierpień i zgonu jego łzy synowskiego żalu 800 osieroconym uczniom wycisnął i licznie zgromadzonych na ten smutny obchód obywateli rozrzewnił. Prefekt Jarkowski objął zarząd naszej szkoły z zadowoleniem rządu, obywateli, nauczycieli i uczniów. Ale Czacki nie robił go dyrektorem, bo wiedział, że na jego miejsce, prefekta, z równie gorliwym poświęceniem się, z taką tęgością ducha, z takim ojcowskim sercem w prowadzeniu młodzieży, nie znajdzie.

Dwadzieścia lat z górą urzędowania Jarkowskiego¹⁾ odznaczają się dziwnym porządkiem obyczajów nieskazitelnym w tej wyższej szkole; nie dosypiał czcigodny starzec, bo czuwał nad zdrowiem ciała i duszy powierzonych sobie dzieci. Był groźnym, ale nie srogim. Najgrubsze jego wyrażenie było *n e q u a m*, zwyczajnie odezwanie się: *m o j ę d z i e c k ą*, bo nosowe samogłoski wszędzie wybitnie dodawał. O! on miał ojcowskie uczucia dla młodych, ale był ojcem sprawiedliwym. Pieścił swe dzieci, ale je surowo upominał i przykładowo w potrzebie ka-

¹⁾ Antoni Jarkowski, przeszło 20 lat był prefektem gimnazjum, a potem liceum w Krzemieńcu. Surowym był, ale sprawiedliwym. Jeden z uczniów napisał na drzwiach wchodowych do liceum:

Spalę Krzemieniec, zniszczę jego ziemie,
Wygubię Jarkowskich przekłete plemie.

Jak się mścił za te pogróżki prefekt, świadczy opowiadanie Detiuka.

rał. Dzieci bały się prefekta, ale skóry niedźwiedziej na stołku rozciągniętej więcej, niż prefekta. Dziwnie delikatne miewał sposoby upomnienia i sprowadzenia na dobrą drogę młodzieży. Z wielu wyszłych z pamięci, jeden tu przytoczę. W drugim roku gimnazjum, trzech młodych, majątnych Podolaków, absentowali się często na lekcjach i nienajprzyzwoitsze wycieczki robili. Kilkakrotnie i surowo upominał ich prefekt, groził oddaniem pod sąd i śledząc ich bezprzestannie, ciężko im dokuczył. Oburzeni panicznie zmagają się, ażeby wracającego nocą prefekta od brata zastąpić na ulicy i wybić. Nikogo do swej tajemnej zмовy nie przypuścili, z tem wszystkim tegoż dnia prefekt o spisku wiedział. Nazajutrz miał być wykonanym i nazajutrz w czasie lekcji laska prefekta znajomie zapukała we drzwi 1-go kursu: „pp. Klemens i Kalikst Borkowscy i p. Antoni Stadnicki stawią się zaraz do p. prefekta“. Zmięszani młodzi idą, wątpią jednak, ażeby ich zmovę wysłędzono. W przedpokoju nikogo nie było i następne pokoje były puste, w czwartym zastali samego prefekta. „Proszę! proszę za mną!“ i oprowadził ich wokoło po całym mieszkaniu i nigdzie nikogo nie znaleźli. Pozamykawszy drzwi wszędzie na klucz, wrócił do czwartego pokoju, dobył z zapieca trzy kije leszczynowe, i dając każdemu z nich jeden, rzeknie: „Teraz tu wybijcie prefekta, tu nikt nie zobaczy i nie usłyszcy, ani waszej zawziętści, ani wstydu obitego starca“. Pomięszanie młodych było niewypowiedziane, odtrąciwszy od siebie kije, z płaczem rzucili się do nóg prefekta; z dobrocią ojcowską podniósł ich zacny starzec, upominał surowo wyrzutami niemoralnego ich postępowania, 'nakoniec dodał: „Ale serca wasze moje dzieci nie zarażone jeszcze światową przewrotnością, serca czyste, przemawiają za wami, a miłość honoru przez założyciela tej szkoły zasiana, i w sercach waszych wschodzi i o waszej poprawie mię upewnia“. Wielkie skutki wywarł na młodych ten szlachetny postępek prefekta, wielka w nich moralna nastąpiła zmiana, żaden z nich w ciągu roku na upomnienie

nie zasłużył, a p. Kalikst wzorowym stał się uczniem. Jeśli jednak zdarzyło się, że po użytych podobnie rozsądnych środkach uczeń się nie poprawiał, szanowny starzec stawał się jego nieubłaganym prześladowcą. Prefekt Jarkowski był surowym, ale za uczniami, jak za własnymi dziećmi, obstawał i to jego uczucie nie zmieniło się w całym ciągu jego urzędowania.

Piękny był skład nauczycielski w gimnazjum wołyńskim; utrzymywać, że wszyscy równie wysoko byli usposobieni, niepodobna, ale czyż i po uniwersytetach braku nie znajdujemy? Można jednak tem się pochlubić, że fizyczno-matematyczny wydział zawsze był świetny, że literatura miała nauczycielami: Osińskiego, Słowackiego i Felińskiego, że wykład historii Uldyńskiego miłym był i korzystnym, że uczniowie Chońskiego i Jaroszewicza stali się wzorowymi prawnikami. Toż i o klasach powiedzieć można; Strzelecki swoim wykładem arytmetyki, dzielnie usposabiał uczniów do korzystnego słuchania wykładu wyższego w lekcjach Sciborskiego, Czecha, Polińskiego, a nawet Śniadeckiego. Lefort, jeśli nie nauczył mówić po francusku, to przynajmniej takie dał zasady tego języka, że wychodzący na kursa uczeń mógł biegle czytać i rozumieć nietylko prozę, ale i poezję. Nie wszyscy jednakowo byli usposobieni, nie wszyscy może jednakowo dar przelania w młodych nauki posiadali, ale wszystkich gorliwość była równa, wszystkich jedna chęć zasługi ożywiała, wszyscy tchnęli duchem jednym uczciwości i bezinteresowności. A gdzie tacy przewodnicy, mogą być innymi podwładni? Mało było złych nadużyć między uczniami, a żaden bezecny postępek, żadna podłość nie plami kart w dziejach uczniów tej szkoły. Uniwersytet Wileński, zawistny olbrzymiemu wzrostowi gimnazjum wołyńskiego, śledząc, że tak powiem, kroki jego uczniów u siebie i na świecie, cóż miał im do zarzucenia: zarozumiałość? Czyż uczucie własnej wartości zarozumiałością nazwać można? Uczniowie przechodzący z gimnazjum do uniwersytetu dla kończenia nauk, celując

pilnością w nich i wzorową obyczajnością, mogliż nie uczuć i nie ocenić swojej wartości? Wielu uwłaczających Krzemieńcowi niech sami wyznają, jestże choć jeden stan, choć jedno powołanie, gdziebyśmy nie spotykali odznaczających się talentami, nauką i cnotami obywatelskimi Krzemieńczanów?

Co rok, to więcej zaludniał się Krzemieniec domami obywatelskimi, chociaż niektórzy ubywali. Hr. Olizar, uwolniwszy się od urzędowania w komisji dla wieku i słabości zdrowia, na swoje miejsce zostawił hr. Filipa Platera, którego Czacki wysoko cenił. Hrabia Chodkiewicz usunął się także z komisji, a na jego miejsce obrany ks. Maksymiljan Jabłonowski. P. Michał Sobański zamieszkał z familją. Ale zebranie obywateli zwiększyło się jeszcze więcej w r. 1811. Wszystkie te domy przywykłe trzymać domy otwarte w swoich majątnościach, tęskniły do zabaw w Krzemieńcu. Dawać wieczory u siebie, mało to że pociągało wydatki, ale kto na nich tańcować będzie? Przy gimnazjum był zawsze metr tańca i to ze znakomitszych; młodzież ohotnie uczyła się tańczyć i korzystać z tych lekcji, ale nie wszyscy mieli wstęp do wszystkich domów. Potrzeba więc było wynaleźć środki zadość czyniące i stęsknionym za zabawami i uczniów tańczących w wyższe towarzystwo wprowadzić: przełożono więc Czackiemu myśl, ażeby utworzyć zebrania publiczne, gdzieby młodzież pod okiem władzy szkolnej, nauczycielów, rodziców i obywatelstwa bawiąc się, przywykała do więcej światowego znajdowania się w towarzystwie. Przyjął tę myśl Czacki, bo widział w niej sposób ogładzenia powierzchownego uczniów, a przybrawszy do narady członków poważniejszych komisji i prefekta, ułożyli:

Że każde kasyno powinno być w sobotę, albo w wigilię jakiego święta, ażeby nie przeszkadzało przygotowaniu się na poniedziałkowe lekcje.

Że uczeń, nie mający z całego tygodnia świadectwa

pilności w naukach i dobrego prowadzenia, na kasyno znajdować się nie może.

Że celujący nawet w naukach, jeżeliby miał u prefekta jaką obyczajową notę, tracił prawo bywania na kasyno.

Że tym tylko wolno było bywać na tych zebraniach, których fundusz, po zaspokojeniu potrzeb istotnych, pozostawiał obrócić kilka złotych na bilet do wejścia.

Że jeżeliby się okazało, że uczeń dług zaciągnął, aby mieć pieniądze na kupienie biletu, taki tracił i nadal prawo wchodzenia na zebranie.

Że na każdym kasyno z obowiązku znajdować się powinno dwóch nauczycieli i prefekt, którzyby mieli pilną baczość na obyczajne znajdowanie się uczniów.

Że dla uniknięcia zbytku w ubraniu, uczniowie w mundurach szkolnych bywać powinni.

Takie były pierwsze kasyna, i surowo pilnowano spełnienia przepisów, a nietylko, że nie psuły młodzieży, ale dla wielu nawet stały się bodźcem pilności w naukach i stróżem obyczajów. Nie było więc tego zdemoralizowania, jakie z takim zapalem p. Grabowski kasynom zarzuca; list nawet cytowany p. Wacława Borejki, że gdy ks. kurator wzywał go na wizytatora po Czackim, odpowiedział, że kalefaktorem być woli, — jest pięknem zmysleniem, bo pan Borejko, równie jak pan Sobański i drudzy komisarze, do narady o ustawach kasyn należał. Wyznać jednak potrzeba, że gdyby kasyna zostały były takimi do końca, jak za Czackiego, niktby przeciw nim nie mógł tak wykrzykiwać. Ale i w najmędsze ustanowienia nadużycia wcisnąć się mogą i wprowadzić w nieład, często do naprawienia niepodobny.

Wesoło i przyzwoicie przeszła zima. Na kasynach bywała młodzież, nauczyciele nie uskarżali się na opuszczenie się uczniów i z uczęszczających na kasyno, żadnego prefekt w czarną księgę nie zapisał. Piękna i wczesna wiosna nowymi wdziękami okryła piękne okolice Krzemieńca. Sciborski zatwierdzony został dyrektorem.

Znakomity ten uczeń akademii krakowskiej przez Czackiego był wybrany. Wiele osobistych zalet Sciborskiego na tę godność wyniosły, ale mu nie dostawało najistotniejszej może, to jest tęgości charakteru, jaką Czech i Jarkowski posiadali. Instalacja dyrektora odbyła się uroczyście w kościele gimnazjalnym. Na tronie portret cesarski, a naprzeciw niego umieszczono prefekta Czecha, głębiej wzniesiono wyżej siedzenie dla biskupa. W środku kościoła wokoło krzesła, na nich Czacki z całą komisją, nowy dyrektor, nauczyciele i uczniowie, wszyscy w mundurach na swoich miejscach zasiedli. Po skończonej celebrze biskupa, Czacki w pięknym zagajeniu wskazał jakim być powinien rządca tej szkoły, wspominał, jak zaszczytnie, jak święcie Czech spełniał ten obowiązek, a wzywając Sciborskiego, temi zakończył słowa: „bądź Józefowi Czechowi podobny!“ Pięknie odpowiedział Sciborski na pochlebne dla niego wezwanie i w przysiędze wykonanej dodał: „stać się podobnym czci-godnemu poprzednikowi mojemu, najgorliwszem mojem będzie staraniem!“ Biskup Kaczurski pobłogosławił wstępującego w nowy zawód urzędnika i hymn dziękczynny zaintonował. Po skończonym obrzędzie, u starostwa był wielki obiad dla nowego dyrektora, całe zgromadzenie nauczycieli i mieszkający w Krzemieńcu obywatele, na nim się znajdowali. Wieczorem okazały bal na salach kasynowych kosztem obywatelskim, uroczystość tę zakończył. Sciborski korzystał ze stosunków przyjaznych, łączących go oddawna z prefektem i we wszystkim rady jego zasięgał; szły też dobrze nauki, i postępowanie młodych pod okiem tych dwóch czuwających nad nimi mężów było moralne i wzorowe.

Układając Czacki z Kołłątajem ustawy dla gimnazjum, zniósł kary cielesne po klasach, zostawiając użycie onych rozsądkowi prefekta i konieczności ich użycia. Dla uczniów kursowych ustanowił sąd szkolny i kodeks dla niego napisał. Ustawy te prawdziwie mądre wpajały w młodych wzniosłe uczucia uczciwości, skromności, pil-

ności w naukach i obyczajności. Kara, napisanego na tablicy nazwiska czarną krepą okrytej i w sali kursu zawieszanej, była tak straszna, że się jej więcej, niż kary cielesnej bali. Każdy kurs obierał swego sędziego z pomiędzy podanych trzech kandydatów, na prezesa wszystkie trzy kursa razem wotowały. Z roku 1811 na 1812 Czacki z komisarzami obecnością swoją wybory zaszczylicili. Obraz to był istotny obywatelskich wyborów; podobnież i tu okazały się życzliwości i niechęci i powstające stąd partje i niesnaski. Ale wszystko odbywało się tak cicho i skromnie, że podziwiać należało takie umiarkowanie młodych; bo tam był obecnym ten, dla którego i ojcowskie i obywatelskie uczucia w ich sercach wrzały. W wybraniu sędziów długie były korowody, bo i kandydatów było wielu i na każdego osobno wotowano. Na prezesa jeden był tylko zapisany kandydat i jednogłośnie obwołany—Józef Czacki. Pan starosta ozwał się, że syn jego za młody i nie mógł jeszcze na ten zaszczyt zasłużyć. Ale zabrzmiała sala jednym odgłosem: „prezes Józef Czacki! P. Józefa Czackiego uczniowie gimnazjum Woł. jednomyślnie na prezesa sądów swoich zapraszają!“ Nie można było co więcej przeciw temu odgłosowi powiedzieć, prefekt szepnął p. staroście, żeby się nie sprzeciwiał tak pięknemu natchnieniu młodych. Komisarze to zdanie prefekta potwierdzili. Czacki stanąwszy na stole prosił o głos, uciszyło się wszystko i zdawało się, że w sali nikogo niema. Czacki przemówił: „Młodzi, krwi waszej godna! Ta jedność myśli i uczuć waszych przekonywa mię, że mój Józef i uważanie wasze i życzliwość zjednać sobie potrafił. Pochlebia to mojemu ojcowskiemu sercu i jeszcze więcej mię do was przywiązuje. Kocham was, jako braci waszego prezesa, jako własne dzieci moje, i tych uczuć moich dowodzić wam póki życia nie przestanę. Przyjmijcie najczulsze dzięki moje, oby Bóg mi tyle dał szczęścia, żebym i syna mojego i was z nim, oglądać mógł zupełnymi obywatelami, obywatelami takimi, jakimi w marzeniach moich ojcowskich widzieć was pragnę!

Synu mój! współuczniowie twoi, twoi współbracia, w ręku twoim szalę sprawiedliwości złożyli. Ten dowód ich szacunku niech cię oświeci, jak masz go ocenić, jak na niego zasłużyć. Dowiedz szlachetnem sprawowaniem twojego urzędu, żeś w uczuciach dla nich syn mój nieodrodny!“ Skoro skończył mówić, starsi uczniowie ob-stąpiwszy stół zstąpić mu na ziemię nie dali i, wzięwszy na ramiona drogi im i ukochany ciężar, w towarzystwie całego wyborowego zgromadzenia do jego mieszkania odnieśli.

Wszystko szło ładem w Krzemieńcu, nauczyciele gorliwie uczyli, młodzież korzystała z nauk, zwierzchność wglądała starannie w ich prowadzenie się, komisja czynnie zajmowała się sprawami funduszów edukacyjnych i wiele już sum wywindykowała. Czacki czuwał nad wszystkim, duch jego wszystko ożywiał. Tymczasem na zachodzie Europy zbierała się burza, mająca wzruszyć całą Europę i zakłócić błogi spokój, jakiego Wołyń i Litwa doznawały. Jeszcze w roku przeszłym ogromna kometa zdawała się ten niepokój zapowiadać, bo mała liczba pojmujących biegi i krążenia ciał niebieskich nie ulegała przesądowi, że wszelkie takie nadzwyczajne zjawiska są poprzednikami jakiegoś zaburzenia i klęsk na ziemi. A jednak tak się okoliczności dziwnie składały, że po takim nadzwyczajnem zjawisku następowała wojna, lub jakaś inna ciężka katastrofa i przesądu umorzyć nie można było! I w 1812 roku z komety takie wnioski robiono. Głuche latały wieści o wojnie, o Francuzach, o Napoleonie, a choć różne w różnych obudzały uczucia, były to jednak tylko wieści, do których niewiele wiary przykładano. Na Wołyniu, w licznie zgromadzonem wojsku, ani ruchu, ani przygotowań do wojny nie zauważano.

Kościół nasz pomiędzy najwyższe uroczystości policzył święto Bożego Ciała, którego nabożeństwo rozciąga się na cały tydzień i kończy w oktawę uroczystemi nieszporamai, a równie w miastach, gdzie były liczne pańskie świątynie, jak i w ubogich parafjalnych kościo-

łach, z całą pobożną okazałością obchodzone. Czacki całą wyższego oświecenia ważność zasadzając na religii, ściśle pilnował, ażeby prawdziwą pobożność w sercach młodych zaszcześcić, ażeby wszystkie od kościoła naszego przepisane obrzędy jak najściślej spełniano, bo wiedział, że jak modlitwa rzewna podnosi ducha, tak te powierzchowne formy, silnie działając na młode umysły, wrażają w nie miłość ku Bogu i cześć dla spełniających ofiarę ołtarza, i można się pochłubić, że kapłani nasi na tę cześć zasługiwali. Uroczystość ta, zwykle przypadająca w początku lata w pełnem zebraniu uczniów w Krzemieńcu, zawsze okazałe obchodzoną była, a równie dnia pierwszego, jak i w oktawę, procesja z ewangeljami, po całym mieście drugie kościoły obchodziła.

W r. 1812 szczególnie okoliczności do tego uroczystego obchodu złożyły się. Dzień pierwszy odprawił się u Franciszkanów. W oktawę liczne duchowieństwo z Krzemienieckich klasztorów zaproszone do gimnazjalnego kościoła, uroczystej celebrze nieszpórów ks. Osińskiego asystowało. O godzinie pół do piątej huk dzwonnów wzywał lud pobożny do świątyni. Najpiękniejsza majowa pogoda, cichość powietrza, promienie skłaniającego się do zachodu słońca, oświecające przeciwległe góry, cienie wyniosłych wież kościoła rozciągnięte przez galerję na rynek uroczoz ozdabiały scenę i jeszcze więcej wspaniałości obrzędowi dodawały. Gromady osób rozmaitego wieku i stanu napełniały galerję, a w tem zebraniu, zarówno książęta i hrabiowie, jak rzemieślnicy i wyrobownicy, w jednym duchu, do jednego celu dążyli. Już ławki zajęte przez mieszkające w Krzemieńcu obywatelki, po za filarami mieści się pospólstwo, środek tylko kościoła nie zajęty.

Ozwał się dzwonek szkolny, sypnęły się roje dzieciaków porządkiem klas, każda pod swoją chorągwią, każda pod przywództwem nauczyciela w pełnej mundurowej formie, uczniowie kursów pod własnem swoim przywództwem idą. Damy siedziały w ławkach, ale nikt

się jeszcze nie modlił, a ruch i szelest idących ode drzwi kościoła zwracał wszystkich oczy i uwagę w tę stronę. Nie jednej tam matce serce mocniej uderzyło, nie jedna pełnem serca okiem witała swego jedynaka. O! ileż to błyszczących nadziei, ile pociech, ile świetnych przyszłości, wzrasta w pośród tego pięknego grona, szczęśliwych swą niewinnością, szczęśliwych czułą troskliwą opieką istot! „Patrz! patrz!“ szepnęła podkomorzyna do sędziny „jak twój Józio niesie głowę do góry, śliczne dziecię! Mówił mi p. Antoni Jarkowski (prefekt), że on w drugiej klasie pierwszy list pochwalny weźmie“. „Co to za uczeń idzie pierwszy po prawej stronie białej choraży?“ „A, to Jaś wnuk chorążego, perła klasy czwartej, i urodą i ugrzecznieniem i postępem w naukach dzielnie się odznacza“. „A tenże, co idzie obok niego i tak się figlarnie uśmiecha?“ „To współzawodnik Jasia, Stefański, syn stolarza, profesorowie przyznają, że to wielkich nadziei młodzieniec“. „Czy widzisz?“ rzeknie z cicha marszałek do żony, „jak się pyszni nasz Władzio? Audytor¹⁾ audytorów od początku roku. Powiadał mi prefekt, że on pewnie mieć będzie *a c c e s s i t* do medalu“. „Otóż kursowi!“ szepnęła sędzianka do siedzącej obok pięknej Łucji, „pod temi obcisłemi mundurami jakie tam szlachetne serca biją“. „To jeszcze dzieci!“ odpowie dumna piękność. „Dzieci?“ odezwie się podkomorzanka, „z tym młodocianym pięknym wąsikiem, z tem skromnem i mężnem wejrzeniem, tą postawą wojacką?“ „Dlaczego to tych czterech uczniów idą osobno?“ zapytała podkomo-

¹⁾ Audytorami nazywano zwykle tych uczniów, którzy byli wyznaczeni przez profesora do przesłuchiwania lekcji innych uczniów w zastępstwie profesora i rezultaty swoich przesłuchiwań komunikowali profesorom. Wybierano do tego najlepszych uczniów. Audytor audytorów przesłuchiwał tylko audytorów. W ten sposób dążono do ułatwienia zadania profesorowi, a równocześnie wytwarzał się między uczniami rodzaj wzajemnej pomocy koleżeńskiej. Zdarzało się — bardzo rzadko — aby audytorowie wchodzili w kolizję z etyką szkolną.

rzyna idącego wedle jej ławki profesora Mirowskiego: „To sąd szkolny“ odpowie szanowny weteran. „P. starosta, uznał korzystnem, ażeby młodzież sama nad swojemi obyczajami czuwała, postanowił sąd szkolny i z ks. Kollątajem ułożył dla nich kodeks. Corocznie podobne obywatelskie pod okiem dyrektora odbywają się wybory. Dziś, prezesem jest Józef Czacki, jednomyślnie na tę godność wybrany, i powiem wmpani dobrodziejce, że z niewypowiedzianą znajomością rzeczy i tęgością charakteru urząd swój spełnia. Ale darujesz wmpani dobr., że ją odstąpię, jestem dziś dyżurnym dla zachowania porządku między kursowymi w czasie obrzędu, dlatego nawet p. starosta od sesji mię uwolnił“. „Cóż to za sesja? zapytało razem dam kilka“. „Czytają manifest cesarski, ogłaszający wojnę z Francuzami“, to rzekłszy skłonił się i poszedł ku ołtarzowi, damy pomiędzy sobą szeptały.

Dał się znowu słyszeć szmer ode drzwi wchodzących, wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę. Przodem szedł Czacki w całej paradzie stroju swego stopnia i urzędu, po obu jego stronach nowoinstalowany dyrektor i prefekt, za nimi profesorowie parami i urzędnicy gimnazjalni, wszyscy w mundurach. Gdy już wszyscy swe miejsca zajęli, zabrzmiały organy, ksiądz Osiński w pysznem obłoczeniu, w asystencji licznego duchowieństwa zaintonował: *Deus in adiutorium*, ozwała się amatorska muzyka, chór dobrany, świętymi hymnami Psalmisty, głosami pełnemi wdzięcznej melodji, chwalił Pana, zachwycał słuchających i ta niezemska harmonja wzniosła się nad sklepienia kościelne. Lemi, Stein, Dobrowolski, Tabrowski, Garlicki, Stefański byli ci śpiewacy. Po *Magnificat* ksiądz Prokop, kaznodzieja gimnazjalny, językiem i duchem Skargi, wskazał ważność niniejszej uroczystości, jak ją święcie naddziady nasze zachowywały i jako drogą spuściznę nam przekazały, stąd wywiódł, jak wiara jest podstawą i cnót obywatelskich i prawdziwej mądrości; a zachęcając lud zebrany do błagania Boga o pokój i pomyślność krajową, wzniosła

„B. P.“ Ramoty starego Detiuka o Wołyniu.

i rozrzewniającą modlitwą kazanie zakończył. Opuścił mówca kazalnicę, a wszyscy nie opuszczali miejsca. Ks. Prokop dziwnie piękną miał wymowę, a czy to w krótkich coniedzielnych naukach, czy w wypracowanych kazaniach, wszędzie erudycja, wszędzie wzniosły duch wiary, wszędzie wdzięk osobliwszy wystowienia, mówcę zalecały.

Nastąpiła procesja, ruszyły klasy i kursa swoim porządkiem, za nimi pensjony panieńskie, szli dalej księża franciszkanie i bazylijanie, potem ośmiu uczniów niosło wianeczki, trzynastu w białych komżach z krzyżem, kadzielnicami, świecami i dzwonekami, za nimi czterech kapłanów w ornatach dla śpiewania ewangelji. Ks. Osiński na stopniach ołtarza obróciwszy się do ludu zaśpiewał: „Twoja cześć, chwała! Huknęły dzwony, kilka tysięcy głosów zgodnych powtórzyło: „Twoja cześć, chwała! bo te wszystkie głosy w tej chwili jedno uczucie ożywiało, bo tak ludowi do serca pieśń ta przypadła, że rozpoznać nie można, że dwa różne wyznania lud ten składają. Zeszedł ze stopni celebrant, Michał Sobański i Wacław Borejko wiedli go pod ręce, Czacki niósł nad nim baldachim, długi szereg obywaterek i mieszkańców miasta postępował za nimi, śpiewając pieśń przez celebrującego zainteresowaną. Jeszcze wtenczas i możni i pospólstwo jednym się duchem modlili, a jakim kto mógł głosem śpiewał Panu chwałę, nie tak, jak dziś, że się wstydzą śpiewać na procesji, sam jeden organista drze biedne gardło za wszystkich.

Pierwsza ewangelja w kościele przed ołtarzem Najświętszej Boga Rodzicy Maryi; drugi uczniowie ubrali pod słupem ciosowym, unoszącym posąg Niepokalanego Poczęcia, przed kościołem na galerji wzniesionej znacznie nad przyległy rynek. I rynki i galerja napelnione były śpiewającym chwałę Bożą ludem, a gdy celebrujący zbliżając się do ołtarza zanucił: *Rex Christe primogenite* kilka tysięcy ludu na kolanach, z czołem schylonem, z wzniesionymi ku niebu rękoma, uniesienie czy-

stej prawdziwej wiary, nie dające się piórem określić, uniesienie wyobrażało. Każdą ewangelję w łacińskim i słowiańskim języku odśpiewano. Trzecia u Franciszkanów, skąd cała procesja szeroką ulicą umiecioną i usypaną tatarakiem i zielonością rozmaita, ruszyła do kościoła Bazylijskiego za miastem, dla odpoczynku śpiewających strofami w długiej procesji, przygrywała muzyka wojenna konsystującego podówczas w Krzemieńcu pułku huzarskiego. Po odśpiewaniu ostatniej ewangelji u Bazylianów, tą samą ulicą wracano. Wszedłszy na galerję ks. celebrant błogosławiąc lud cały Najświętszym Sakramentem, wznosił głośno *Te Deum* i lud przypadłszy czołem do ziemi, cały rynek okrywał. Słońce już było zaszło, wewnątrz kościoła noc już obejmowała, świece na ołtarzach i w rękę kapłanów i posługaczów ołtarza niepewny posklepieniach blask rozsiewając, jeszcze większem uszanowaniem dla obchodu przejmowało. Tu celebrujący przykląkł, lud cały rzuca się na kolana, bije w niebo uroczyste nasze i ulubione „Święty Boże“! i poza murami kościoła, daleko, daleko po górach się rozlega. O! nie! tam nie modlili się świętoszkowie! nie! tam, jedno wspólne westchnienie, jedna rzewna modlitwa ze łzami wiary, nadziei i miłości, wzniosły się do podnoża tronu *Tego*, przed którego najświętszą potęgą jakże są niczem i ludy i trony i światy! Tam jeden głos całego narodu wołał: „Zmiłuj się nad nami Panie! zmiłuj się nad nami!“

Po nieszpórach jedna z mieszkających w Krzemieńcu obywaterek, p. podkomorzyna Skibicka, chcąc przyjemnie obchodzić imieniny siostrzenicy swojej Heleny, córki szeфа Drzewieckiego, zaprosiła w bliższych będących stosunkach obywateli do ogrodu botanicznego na herbatę. A jak jasne słońce przyświecało nabożeństwu, tak czysty w pełni księżyc niewinnej wesołości bawiących się w ogrodzie przyświecał. Czacki, niedługo tam zabawiwszy, udał się do pracy, bo na jego głowie wielkie leżą interesa, bo na jego ramionach budowa przysz-

tego pokoleń losu oparta, bo jutro tyle ważnych ekspedycji na pocztę. Reszta zaproszonej na herbatę kompanji i znaczna część miasta mieszkańców długo jeszcze przyjemności w przechadzce przy pięknem świetle księżycy używali. Nakoniec wszystko ucichło, głuchy spoczynek objął całe miasto, lekkie sny zlewały przyjemne obrazy na śpiących, a nikomu się nie śniło, jak smutne jutro z miłego snu rozbudzi.

ROZDZIAŁ V.

Już z poza góry zamkowej jasność poranna rozlała się na pół niebieskiego sklepienia, chóry ptasząt wółubiegały się ze słowikiem, kto piękniejszym hymnem wschodzące słońce powita, czujny kogut budził do pracy przemyślnych mieszczan i przedmieszczanów, Czacki pracował już przy swoim biurze, gdy na dziedzińcu jego ozwał się pocztowy dzwonek. Nikt go nie słyszał prócz Czackiego. Wszedł oficer i ukloniwszy się z uszanowaniem: „Jestem feldjeger z Łucka“ — rzecze — „główny dowódca, książę Bagration, włożył na mnie obowiązek, ażebym jw. panu asystował do Łucka, i natychmiast odjechać musimy“. „Spełnię rozkaz głównodowodzącego, ani wmpan na mnie czekać będziesz“. Kazał natychmiast przywołać sekretarza swego Kruczkowskiego i starszego syna Józefa, któremu polecił, ażeby jak najostrożniej matce odjazd jego oznajmił, a pomiędzy uczniami nie rozgłaszał. „Mój sekretarz pojedzie ze mną“ rzecze do oficera. „To od woli pańskiej zupełnie zależy“. Czacki uściskał syna i zalecił mu roztropność, dał od ust sługom pożegnanie mówiąc: „do widzenia, ja długo nie zabawię“. Wsiedli do powozu: Czacki, sekretarz i oficer. Zabrzęczał dzwonek, poniósł się kocz, jak na wiatrach. Czacki nie zatrwożył się tem nagłym wezwaniem. Wieści już chodziły, że to tam, to ówdzie brano obywateli i w głąb Rosji zasyłano. Czacki spokojnie odjechał, ale moż-

naż było wiedzieć, wróci lub nie wróci i dokąd go zawiozą? Józef patrzył przez łzy za odjeżdżającym ojcem, i ze ściśnionem sercem patrzył, bolał, duch jednak jakiś wieszczy w zbolałe serce wlewał krople pocieszającej nadziei.

Tymczasem słońce równie jak wczoraj pogodnie nad miastem zaświeciło, równie jak wczoraj dobroczynne jego promienie nowe życie we wszystkie twory wlewało. Wdzięczyły się rześzystym kwiatem okryte drzewa, całe przyrodzenie młodocianym się uśmiechem wdzięczyło; ale w Krzemieńcu dzień smutkiem się obudził. Nikt zdaje się odjazdu Czackiego nie widział, a jednak wszyscy już o nim wiedzieli. Uczniowie w milczeniu przechadzają się gromadami po tej galerji, gdzie się wczoraj tak wesoło zbierali, tak uroczyście modlili. Zadzwoniono na mszę, otworzył się kościół, nigdy z taką akuratnością nie zbierano się na nabożeństwo, ani jednego ucznia nie brakło. Ze łzami kapłan spełniał ś. ofiarę, cicha i rzewna, jak i wszystkich zebranych w kościele, była jego modlitwa. Ozwał się dzwonek szkolny, klasy zajęły swe miejsca, zdaje się słuchają, a nie słyszą i nauczycielom wykład się nie klei, braknie słów, gdzieś zniknęło wczorajsze przygotowanie. Kursowi nawet na lekcje nie idą, gromadnie zcicha się przechadzając gwarzą, i stroskani nauczyciele za złe im tego nie biorą. Prefekt przerażony nieoczekiwanem nieszczęściem, niema serca na uczniów nastawać, bo widzi w ich sercu cierpienie, które z nimi podziela, stara się wmówić im spokojność, ale niema słów zdolnych do pociechy osieroconych. Tak zeszedł ranek, po południu i nie dzwoniono do szkoły; snują się smętnych i zadumanych roje, wielka część uczniów wyszła za miasto ku królewskiemu mostowi, bo w tamtą stronę serca ich wołają, bo w tamtej stronie ich skarb! ich ojciec! Wszyscy badają się nawzajem oczami, ale nikt nie śmie słowami oddać zapytania, boi się każdy wymówić, boi się usłyszeć to, o czem wie już najpewniej, a czemu uwierzyć jeszcze się waha.

Ale cóż się tam w domu Czackiego dzieje? Starościna blada, spłakana, tuli do łona Marynię i Wiktorka. Józef chciałby uspakajać matkę, lzy mówić mu nie dają. Skibicka, Malczewscy, szef Drzewiecki, Sobaiński, otoczyli stroskaną, radziby jakąś jej natchnąć nadzieję, ale tej i sami nie mają i boleć tylko z bolejącą mogą. Rzeklibyś, że to jedna rodzina otaczająca łoże dogorywającego ojca, taka żałość, takie współczucie z cierpiącą wszystkich serca przejęły. Ale czyż tylko rodzina, gimnazjum i współobywatele tą ciężką uciśnieni troską? O! nie! miasto całe wstrzęsło się boleśnie smutnem zdarzeniem. Mieszczanie, rzemieślnicy, przekupnie i przekupki z językiem bolesnym zapytują, gdzie jest dobroczyńca, który swym wpływem ich podniósł, który im drogę oświaty wskazał, który swoją pomocą tyle się do podniesienia miasta i jego pomyślnego bytu przyczynił. Żydzi wszelkiej płci i wieku cisną się do synagogi, której pierwszy kamień Czacki niedawno położył, i za goimem, z całą energią wschodniej pobożności i ze szczeremj łzami, opieki Jehowy nad nim wzywają. O! bo ten goim bez względu na różność wyznania jest ich dobroczyńcą, bo ich dzieciom bramy przybytku nauk otworzył, bo oświeceniem nad zabobonna, fanatyczną ciemnotę wznieść się ośmielił! Odwróćmy oczy od tego smutnego obrazu, który dostojnie opisać pióro moje nie zdoła, pójdźmy raczej za Czackim i obaczmy, co się z nim w Łucku stało.

Miasto Łuck¹⁾ o czternaście mil od Krzemieńca odległe, historyczną starożytnością swoją Krzemieniec przewyższa. Tam nasz świątobliwy pasterz biskup Cieciszewski mieszka, i nad nieprzeliczonym katolickim dwóch djecezji ludem pasterską opiekę swoją rozciąga. W tychże samych murach i głównodowodzący korpusem

¹⁾ Łuck m. powiatowe na Wołyniu wielką miał przeszłość. W r. 1429 odbył się tu świetny zjazd książąt i królów, na którym Witold, W. Ks. litewski, zamierzał ogłosić się królem Litwy i Rusi. Ruiny zamku o świetności świadczą.

Bagratjon kwateruje. Tylko co wróciwszy od księdza biskupa z obiadu, książę zasiadł przy biurku dla odczytania sam na sam depesz świeżo nadesłanych ze stolicy, gdy adjutant oznajmił mu przybycie p. Czackiego. Wyszedł książę naprzeciw znakomitego urzędnika, z winnem uszanowaniem powitał i przepraszał za nieprzyjemność, jaką mu tak śpieszne wezwanie sprawić mogło. Weszli do gabinetu księcia i Kruczkowskiemu wejść pozwolono. „Pan zapewne czytałeś manifest?“ — zapytał po chwili milczenia książę, Czacki dał znak potwierdzający, książę mówił dalej: „Nieprzyjemne otaczają nas okoliczności, nieprzyjaciel przeszedł już Niemen, najjaśniejszy cesarz ogłosił Wołyń na stopie wojennej, pod wojenną władzą i mnie sąd stanowczy poruczyć raczył. Czuję wiele nad tem, żem pana trudził, ale z mocy mojego urzędu, winniem mu zrobić niektóre zapytania, na które zechcesz mi szczerze i otwarcie odpowiedzieć“. „Mości książę! kłamstwem nigdy ust moich nie splamiłem, a co tylko wiem z pewnością na to najwierniej odpowiem“. „Racz więc objaśnić mi co znaczyła wczorajsza uroczystość i Te Deum publicznie śpiewane?“ „Zapytanie w. ks. mości wcale mię nie dziwi, bo kościół wschodni tego święta w rytuale swym niema, ale w krajach katolickich uroczystość Bożego Ciała jest z najsolenniejszych, obchodzą ją równie okazale w najlichszych parafjach, jak i po katedralnych kościołach. Sądzę, że i tu pod okiem w. ks. mości wczoraj nasz pasterz podobną celebry odprawił“. „Tak jest w istocie, masz jw. pan słusność, wyznaję, że nad tem pytaniem nie zastanowiłem się. Ale dlaczego po nieszpórach był bal i iluminacja w ogrodzie botanicznym?“ „Nie był to bal; p. Skibicka trzema dniami wprzód zaprosiła nas na wczoraj na herbatę, jako na imieniny swej siostrzenicy, kilkanaście osób z rodziny lub z nią żyjących. Co się tyczy iluminacji, nie wiem, czy zasługuje na to szumne nazwisko para kandelabrów na stole i kilka świec na bufecie“. „To bardzo jasno! Ale, jak mi pan to wytłumaczysz, że wasze damy miały na szar-

fach i przy czepkach narodowe polskie kolory?“ „Mości książę! — odpowie z godnością Czacki — „to są zanadto drobne i błahe szczegóły, ażeby mogły zajmować ludzi oddanych wyższym władzom, urzędników, którym powierzone są losy ludów i przeznaczenie pokoleń! Szczerze księciu wyznaję, że na to nigdy uwagi nie zwracałem, nie wiem nawet, jak kiedy moja żona ubrana“. „Zadowolniające są jw. pana odpowiedzi i doniesienia mam za płonne i nierozmyślnie złośliwe, i nic mi więcej do zapytania nie zostaje. Ale Komburley zrobił mi uwagę, że gimnazjum Wołyńskie posiada wiele młodzieży, zdatnych do służby wojennej i że tych do wojska zabrać należy“. I to mówiąc podał Czackiemu spis trzystu ośmdziesięciu wyborowej młodzieży, na której czele zapisany Józef Czacki. Krew uderzyła w twarz dostojnego męża, oczy łąą zaszły, niez pomieszany jednak, z całym męstwem i słodyczą ewangelicznej rezygnacji, z całą energią wielkiej duszy: „Mości książę!“ — odpowie — „uznaję w tym spisie całą niezasłużoną złośliwość ku mnie Komburleya! Monarcha mojej gorliwej wierności tronowi zarząd szkół tej prowincji i gimnazjum Wołyńskiego powierzyć raczył. Zdawałem już sprawę przed jego majestatem z mojego urzędowania i nie zleknię się zdać raz jeszcze. Rodzice mnie samemu poruczyli los swoich dzieci, odpowiedzialność za nich poprzysiągłem Bogu, rodzicom i mojemu sumieniu. Mamże tak haniebnie zdradzić zaufanie moich współobywateli? O! nie! Monarcha tego po mnie wymagać nie będzie! Znam jego wielką duszę! Uczniów Krzemienieckiego gimnazjum w ręce tylko rodziców oddać powinienem i oddam, ani żadna władza inaczej postąpić zmusić mię nie zdoła. Jesteś księciu ojcem i serca twego o to zapytaj!“ Czacki skończył, Bagratjon słuchał go jeszcze. Trudno wypowiedzieć, jakie wrażenie na księciu mowa Czackiego zrobiła, jakie wzbudziła uczucia w tem sercu wojną zahartowanem. I podziw i współczucie i mimo-wolna cześć dla mówcy w twarzy się jego wyrażały. „I to jest ostateczne jw. pana i nieodmienne postanowie-

nie?“ — zapytał. „Nieodmienne! Mości Czacki!“ — zawoła wtedy Bagratjon — „wiele słyszałem o panu i wysoko ceniłem jego poświęcenie się, jego gorliwą działalność w sprawie oświecenia, ale to, co dziś widzę i słyszę, wyobrażenie moje przechodzi. Mężu czcigodny! dusza twoja wielka i samej tylko sobie równa, zjednała ci cześć należną zarówno obcych, jak i twoich współziomków, i zaszczyt twojemu krajowi przynosi. Kto tak śmiało i pocziwie przed urzędnikiem, w którego rękę los swój widzi, tłumaczyć się zdoła, przez usta jego sumien- na prawda przemawia. Ale różnowierzec i różnoplemien- nik, nie będzie niegodnym twojego zaufania i szacunku. Bądź moim przyjacielem! ten zaszczyt wysoko cenię i uczucia przyjazne do zgonu w sercu ci dochowam. Po- wracaj do Krzemieńca! uspokój strwożoną twym nagłym odjazdem rodzinę, przyśpiesz egzamina, rozeszlij dzieci do ich domów nim ja Łuck opuszczę. Bóg wie, co póź- niej nastąpić może! Nieprzyjazny ci Komburley każdy krok twój śledzi, unikaj go, albo wyjedź z gubernji Wo- łyńskiej zupełnie; jeśli masz jakie sprawy ważne w ko- misjach lub w gimnazjum, porucz je któremu z zaufanych ci, wszak ich tam jest tylu. Bądź zdrow! i poświęć kiedy jakie wspomnienie wysoko szacującemu się Bagratjono- wi“. Czule się uściśnieli dwaj godni siebie mężowie, Czac- ki wstąpił jeszcze na chwilę ucałować ręce biskupa i zno- wu pocztą, ale bez oficera, poleciał do Krzemieńca, do swoich! Nikt jeszcze w Krzemieńcu ani myślał o spo- czynku, snuły się wzdłuż szerokiej ulicy też same zasnu- conych gromady, ożywia ich jakieś przeczucie, ale pocie- chom nadziei poddać się nie śmieją. O dziewiątej godzinie wieczorem zabrzączał znowu dzwonek pocztowy, wstrzę- sło się miasto radosnym odgłosem: „Powrócił!“, góry po- wtórzyły: „Powrócił! powrócił!“

Czacki zastosował się zupełnie do ostrzeżeń i rad ks. Bagratjona, prywatne egzamina śpiesznym postępowaly krokiem, bo w uczniach okazało się takie bogate całorocz- ną pilnością przygotowanie, że czas się nie tracił i nau-

uczyciele z podziwieniem i prawdziwą pociechą koniec swych badań przyśpieszali. Rozesłano gońców do dalszych powiatów, w bliższych marszałkowie kursorją obwieszczali rodziców o przyśpieszeniu rocznych popisów na dzień 12 czerwca, i na ten dzień zjechali się rodzice. Ciągnęły z różnych stron, mniej więcej kosztowne powozy, bryczki i wózki i zapełniły niewielką dolinę Krzemieńca. Wszelkie zjazdy po naszych miastach i miasteczkach wiele się przyczyniają do ich pomyślności. Kontrakty, jarmarki, wybory, a w Krzemieńcu roczne popisy, były to epoki wielkich przychodów i przynosiły ogółem całemu miastu, a szczególnie dla Żydów obfite żniwa. Żyd utargował za stancję, utargował za towary, bo jakże malcowi z listem pochwalnym jadącemu do domu, nie sprawić nowego letniego ubrania? jak się szlachcicowi nie pociągnąć na kilka rubli, dla synka, z którym w sąsiedztwie pochwalić się potrzeba. Możlijsi jeszcze silniejszy haracz nieśli kupcom; na popisy roczne zjawiały się w sklepach kupieckich takie piękne, takie modne nowości w towarach, że nietylko synalkom się coś elegancckiego sprawiło, ale mama i dla siebie miała za co kilkadziesiąt rubli zapłacić. Zwykle nawet rodzice, przywożąc dzieci z wakacji, w Krzemieńcu co im potrzeba sprawiali na całoroczne ubranie, rzadko który z ojców w domu i mniejszym może kosztem dzieci oporządzał. A tak Krzemieńcowi dobrze działało się ze szkołami i miasto wzma-gało się i bogaciło. W 1812 r., gdzie liczba uczniów do ośmiuset dochodziła, ten zjazd musiał być jeszcze liczniejszy! Jakiż to był ruch, jakie życie po całym mieście. Wszędzie gromadnie się przechadzają, wszędzie rozmawiają o dzieciach swoich, o nauczycielach, o Czackim, o pięknym tegorocznym urodzaju, i o wojennych dwóch wojsk obrótach gwarzą, bo wojna już nie tajemnicą i postęp jej wiadomy.

Otworzyły się publicznie egzamina i nie udane były popisy, jak to bywa często po szkołach, że przygotowaw-szy się na jedno pytanie, wyrecytowawszy wyklepany

artykuł jakiś, p. uczeń zmyka, ażeby o co jeszcze nie zapytano. W Krzemieńcu młodzież z prawdziwym zapalem oddawała się naukom i pewna siebie, ochotnie i przytomnie z nich sprawę zdawała. Popisy, szczególnie z fizyki i chemji objaśnione ciekawymi doświadczeniami, z wymowy i literatury okraszone przytoczonymi wzorami przykładami prozy i wiersza, zgromadzonych słuchaczy zachwyciły. Zadawoleni byli goście, rozrzewniał się pociechą szanowny pasterz, rodzice uwielbiali Czackiego, Czacki ojcowskiej w sercu doznawał radości i w duchu gorącej wiary niósł Panu dzięki, że trudy i starania jego błogosławił. Żaden rok w dziejach gimnazjum Woł. nie odznaczał się tytułami celującymi, ani w żadnym tyle sprawiedliwych nagród nie rozdano.

Po trzydniowych popisach, nastąpił dzień rozdawania nagród. Biblioteka jeszcze ukończoną zupełnie nie była, a sala żadna nie wystarczała obszernością na objęcie tytułów osób zbierających się na ten akt uroczysty, w gmachu więc wspaniałym w kościele wzniesionym przez Jezuitów, dziś gimnazjalnym, uroczystość każdą podobną obchodzono. W środku kościoła, po prawej od wchodu, wzniesione siedzenie biskupa, po lewej, tron z portretem cesarza, wokoło krzesła dwoma rzędami, które zasiedli poważni obywatele, ojcowie i matki; poza nimi porządkiem uczniowie klas i kursów, dalej mnóstwo interesowanych lub tylko ciekawych widzów. Od czasu otwarcia gimnazjum jeszcze tak liczego, tak świetnego w Krzemieńcu zebrania nie było. Jeszcze niema Czackiego, komisarzy i senatu nauczycielskiego, jeszcze i damy nie wszystkie się zjechały; starościny Czackiej i jej rodziny nie dostaje i na nią całe zgromadzenie oczekuje, bo męża wysokie zasługi, pierwszeństwo jej przed wszystkimi damami nadają. U starostwa dużo było gości. Przyjeżdżający po dzieci składali Czackim winny hołd uszanowania i wdzięczności i starościna wybrać się nie mogła. Pani Adamowa Szwejkowska nagle wyjazd, starościna z niesmakiem jej odpowie: „Moja Krzysiu, te egzamina, jest

to komedja, którą corocznie mąż mój z tymi malcami przed publicznością rozgrywa, mnie to śmieszy, nudzi a nawet gniewa, tak, że wykupiłabym się, żeby tam nie być, mais les convenances. Nieraz płonę wstydem, słuchając jak malcowi z niskiej klasy, z chłopskiego rodu wynajduje historycznych przodków i nazwisko, o którym i dziadowie biednego ucznia nie słyszeli“. „A jednak tem zachęca ich do nauki, i nowy byt im stwarza; a jednak tylu zacnych obywateli z uwielbieniem o p. staroście mówią, a i ci, co prześmiewali ten akt, później żałują tego i cześć swoją z uwielbieniem drugich łączą“. „Bo mają w gimnazjum dzieci i radziby, żeby tym dzieciom dano nagrody“. „Przyznaj pani, że my dzieci w gimnazjum nie mamy, a nasz Włodzio zanadto jeszcze mały, ażebyśmy dla niego jakieś zabiegi robili, a przecież mój mąż, do najgorliwszych wielbicieli p. starosty należy“. „Ja bo nie ujmuję memu mężowi tej wielkiej zasługi, jaką mu poświęcenie się sprawie publicznego oświecenia zjednało, szczycę się nią i chlubię, komedji tylko nie cierpię“. Piękna p. Adamowa ruszyła tylko ramionami. Wszedł lokaj: „Kareta gotowa!“ „Jedźmy!“ Weszły do kościoła, lud się z uszanowaniem rozstępuje, wszyscy powstali, mistrz ceremonji wskazał staroście pierwsze przed damami miejsce, p. Adamowa obok niej usiadła.

Już uczniowie klasami rozstawieni zajęli swe miejsca, na czele każdej klasy gromada celujących należnej nagrody oczekują. Kursa osobno stoją, wszyscy w mundurach, wszyscy weseli; czyż wszyscy nagrody biorą? Nader mała liczba niebiorących, przynajmniej pochwalnego listu, w pośród świetniejących zasługą zniknęła. Śmiało i wesoło poglądają, ale ułożeniem skromni i przyzwoici; bo tu nietylko przyozdabiają umysły, tu i serca kształcą i w nadpsute nawet, wzniosłe uczucia natchnąć potrafią; bo tu naczelnikiem jest przykład, jest wzór, za którym dążą wszyscy, którzy prawego obywatela imieniem szczyścić się pragną. Od drzwi wchodowych dał się słyszeć szelest, wszystkich oczy w tę stronę się zwróciły,

wszystkich usta szepnęły: „ida”. Jakoż weszli nauczyciele parami porządkiem starszeństwa, dwóch ostatnich nieśli: jeden dyplom cesarski, drugi na tacy medale, za nimi dyrektor i prefekt, dalej komisarze Michał Sobański, Wacław Boreyko, ks. Maksymiljan Jabłonowski i Filip Plater, pisarz komisji Rudzki i plenipotent funduszów edukacyjnych Borkowski, na końcu szedł Czacki, a za nim sekretarz gimnazjalny ze stosem atestatów i listów pochwalnych. Rozstąpili się wszyscy, grono szanownych mężów zasiadło swoje krzesła, na tronie pod portretem cesarskim złożono dyplom, na stopniach listy pochwalne, sekretarz stanął za krzesłem Czackiego. Ks. biskup zaintonował *Veni Creator*, po odśpiewaniu którego, Czacki zagał posiedzenie krótką a piękną przemową. Profesor Choński w uczonej rozprawie wykazał korzyści uczenia ekonomji politycznej; rzecz jego ważna sama z siebie, pełna erudycji i gruntownej filozofji, czystym i uchu przyjemnym językiem oddana była.

Nastąpiło rozdanie nagród; od pierwszej klasy, aż do trzeciego kursu, każdemu oddając list pochwalny, coś stosownego, coś przyjemnego Czacki powiedział. Następowały medale. Od najdawniejszych czasów trwał u nas zwyczaj, że je rozdawali rodzice, znakomitsi dygnitarze lub damy, a zwłaszcza, jeśli byli pokrewni medalowego ucznia; nie mającym obecnej na akcie rodziny, oddawali tę nagrodę ks. biskup, poważni ojcowie i dostojne matrony. Dawniej król Stanisław sam przypinał zasłużonym medale, ale, jeżeli matka była obecna, król zostawiał jej pierwszeństwo uwieńczenia zasługi syna. W tym roku p. Michał Sobański brata i synowca medalem ozdobił: „zaszczyć tą nagrodą zasłużoną ich pilność i obyczajność dostojny mężu, zastęp im ojców, których opiekę tak godnie im zastępowałeś, zaszczyć ich, nim twój Gotard dorosłszy lat do nauki sposobnych odebrać znak taki z rąk rodziców zasłuży. Wy zaś młodzieńcy możecie się pochlubić, żeście z rąk takiego czcigodnego krewnego, ten znak waszej zasługi odebrali i starajcie się być jemu

podobni“. Izydor i Piotr Sobańscy byli z drugiego kursu. Następował kurs trzeci, na którym najbezstronniej złoty medal nauczyciele Józefowi Czackiemu przysądzili. Szedł piękny młodzieniec po nagrodę skromnie, lecz śmiało, ale spojrzawszy na matkę, której wyraz twarzy zdradzał walkę uczuć wewnętrznych, jeszcze żywszy rumieniec okraślił jego lice i nie tak już pewnym krokiem postąpił ku ojcu!“ „Synu mój! Józefie! Ufność moja bez granic w charakterze i sumieniu władz tej szkoły, upewnia mię, że nie sama ich ku mnie życzliwość, ani żaden interes w przysądzeniu ci tej nagrody zdaniem ich kierowały. Żeś na nią zasłużył! zacni ci nauczyciele mię zapewniają, wierzę więc i z prawdziwą serca pociechą zasługę twoją uznaję i do tego drżącego z radości ojcowskiego serca przyciskam! Wam dostojni nauczyciele i przełożeni tej szkoły najczulsze składam dzięki, żeście wszczepili w ten młody umysł zamiłowanie nauk i szlachetną emulację. Czem on będzie na świecie, wasze to dzieło, i za trudy około niego podjęte nagroda, moja ku wam wdzięczność i do grobu serca mego nie odstąpi. Ale mój synu! ukończywszy zawód naukowy, wychodzisz w świat, wręczyłem ci w tym względzie moje uwagi, tu ci jeszcze kilka jedynie słów powiem. Wielkie zaciągnąłeś obowiązki względem tej szkoły! obywatele trzech gubernji raczyli przyznać, że swojemu celowi odpowiada i że mojem jest dziełem. Policzyli mi ją za zasługę i tę zasługę uwieńczyć raczyli. Wszystko to winieniem światłu i gorliwości szanownych tych nauczycieli i przełożonych. Ja jedną nogą nad grobem już stoję, może głos mój już po raz ostatni w tych się murach rozlega! na tobie synu cała moja nadzieja! ty się przejdziesz mojami uczuciami, ty z mojej wdzięczności masz się wypłacić tej szkole, tym czcigodnym współziomkom, tej ziemi rodzinnej, która cię wydała i wykarmiła. Twojej i mojej wdzięczności dowiedziesz, jeśli w całym twym życiu postępując drogą wiary i prawości staniesz się godnym szacunku tych życzliwych mi współobywateli, godnym opieki twego monarchy, god-

nym imienia ucznia gimnazjum Wołyńskiego, imienia Polaka! Na znak, że mi to przyrzekasz podaj mi dłoń twoją! A ujawszy syna pod ramię a drugą ręką medal, „pójdź!” rzeknie, synu kochany! nikt godniej nie zdoła ozdobić się tym znakiem zaszczytnym, jak ta, która z mlekiem swoim przelała w twe serce uczucia miłości Boga, miłości honoru i miłości ojczyzny!” Nie mógł już więcej mówić, łzy głos stłumiły. Oddał żonie medal, a Józef przed matką ugiął kolano; drżącą ręką starościna przypięła medal synowi, pochyliła się nad głową jego i gdy chciała do niego przemówić, płacz głośny wydarł się z piersi szczęśliwej matki, objęła piękną głowę młodzieńca, przycisnęła do serca i łzy czcigodnych rodziców zmieszały się ze łzami godnego ich syna, a te łzy były łzami radości, niemiemi tłumaczami rodzicielskiego błogosławieństwa.

Gdy starościna przypięła synowi medal i ojciec wręczył mu atestat szkolny, przykląkł młody Czacki przed splakany pasterzem, który go ojcowskim sercem na dalszą kolej życia pobłogosławił. Tym czasem p. Szwejkowska szepnęła staroście „co? pan płaczesz? Wszakże to komedia!” „Vous êtes méchante et vindicative” odrzekła z miłym uśmiechem starościna. Zakończył całą tę uroczystość ks. biskup hymnem ś. Augustyna i powszechnym pasterskim błogosławieństwem. Obchód to był ostatni pod okiem Czackiego i podobnego mu odtąd już nie było. Wakacje rozproszyły uczniów i nauczycieli, tamci do domów własnych lub rodzin, do własnych kątów się udali, nauczyciele znaleźli przytułek pod gościnną strzechą naszego czcigodnego obywatelstwa.

ROZDZIAŁ VI.

Ale wielu i z obywateli Wołyńskich nie dosiadywali po swoich domach. Nienawiść ogólna dla mieszkańców tych prowincji gubernatora Komburleya i prześladowanie, jakiego doznawali, zmusiły biednych tułać się po Po-

dolu lub w Kijowskim, lub w należącej podówczas jeszcze do państwa rosyjskiego Tarnopolszczyźnie szukać schronienia. Na Podolu gubernator Saint-Priest, energiczny w swoim urzędowaniu, ale sprawiedliwy i pełen delikatności w obchodzeniu się z obywatelstwem, to też wielu Wołynianów pod jego udali się protekcję. Senator Tels rządził w Tarnopolskim obwodzie, rządził z większą, niż gubernator władzą, z odnoszeniem się bezpośrednio do samego cesarza. Tu więc jeszcze więcej obywatele bawili, bo obchodzenie się senatora, przy całej powadze urzędu, było ojcowskie, tak dla mieszkańców obwodu, jak i dla szukających w nim czasowego przytułku.

Nad samą granicą od Tarnopolszczyzny w Tarnorudzie, mieszkali pp. Ksawerostwo Malczewscy. W roku 1811 zamieszkali w Krzemieńcu dla edukacji syna i córki. Dom ich słynął uprzejmą gościnnością. O! bo to były serca wylane dla drugich z zapomnieniem nawet samych siebie! To też w 1812 roku dom ich stał się miłym schronieniem dla tułających się Wołynianów, a miasteczko, Zbruczem tylko oddzielone od Tarnopolszczyzny, używało swobody i zupełnej spokojności. Młodzi Czaccy, szef Drzewiecki, hr. Wacław Rzewuski, prof. Łuczyński, ciągle prawie tam mieszkali, i ktokolwiek z Wołynia przybywał, w Tarnorudzie, jakby we własnym domu przyjęcie znajdował.

Tymczasem wojna rozpoczęta, a jak zwyczajnie w czasie wojny, rozmaite o powodzeniu wojsk obu latoły wieści. Wołyń aż po rzekę Styry zajęły wojska austriackie i saskie, pod naczelnictwem księcia Schwarzenberga, ale ci sprzymierzeńcy cesarza Francuzów byli bardzo neutralni w działaniach wojennych, a za to czynnie się uwijali około spichrzów i piwnic obywatelskich, nie przepuszczając w domach samych kosztowniejszym sprzętom. Spłoszeni takim najazdem, szlachta, kryli się w sąsiedniej Galicji, a powiaty Kowelski i Włodzimierski i część Łuckiego, nie ujrzawszy ani jednej potyczki, nie usłyszawszy nawet ani jednego wystrzału, obraz wojen-

nego spustoszenia przedstawiały. Protektor Wołynia, ks. Bagration, pociągnął na Litwę, miejsce jego zajął Tormasow, ale obcy dla Wołynia, niechętny może, nikogo protekcją swoją nie osłaniał. Na rękę to było Komburleyowi, bo już mu nikt nie był na zawadzie, nikt nie sprzeciwiał się prześladowaniu, jakiem biednych Wołynian uciskał. Wtedy to i Czacki przeniósł się na Podole, a nawiedzając znajome domy, najwięcej u starościny Krasińskiej, siostry rodzonej, w Dunajowcach przesiadywał. Ale zacięta nieprzyjaźń Komburleya i tam go dosięgnąć potrafiła. Nie mógł Komburley strawić Czackiemu tego, że wyszedł czystym i tryumfującym z brudnej sprawy, jaką mu byli nieprzyjaciele przed dwoma laty zgotowali. Odniósł się więc do gubernatora podolskiego, robiąc mu uwagę, że wielu podejrzanych Wołynianów w tym czasie na Podolu zamieszkało. Niezbyt podejrzliwy Saint-Priest zalecił jednak zwracać uwagę na przychodniów, a że i Czacki był z tej liczby, i na niego dostrzegaczów nastawił. Dowiedziawszy się o tem pani Krasińska ze łzami prosiła brata, ażeby dom jej, jako nader blizki Kamieńca, opuścił. Wyjechał Czacki z Dunajowiec w zamiarze udania się do Tarnopola.

Senator Tels wysoko cenił Czackiego, poznał go przed kilku laty w Petersburgu, znał jego charakter i prawość jego zamiarów. Pośpieszał Czacki do Tarnopola, ale po drodze wstąpił do Malczewskich, z którymi go dawna i ścisła przyjaźń łączyła. Wszyscy mieszkańcy uradowali się z przybycia Czackiego. Malczewscy z rozrzewniającą uprzejmością przyjęli zanego tułacza, a gdy im oświadczył, że i u siostry bezpiecznie nie miał przytułku, rzucili się do nóg jego, błagając, aby pod ich przyjazną strzechą spokojnie przemieszkiwał. Czacki pozostał w Tarnorudzie i trzy miesiące ciągle tam bawiąc, wyjeżdżał czasem do Tarnopola, czasem pokryjomu przez Tarnopolszczyznę robił wycieczki do Krzemieńca, lub do Teofilpola do wielce mu życzliwej księżnej Sapieżyny, to znowu z szefem Drzewieckim do jego majątności Juskowiec, gdzie

i uwiadomiona od szeffa starościna z młodszemi dziećmi przyjeżdżała.

Liczne było towarzystwo tarnorudzkie, bawili się, ale młodym Czacki próżnować nie dał. Syn jego Józef, dwaj synowcowie Feliks i Aleksander, dwóch młodych Malczewskich, Pius i Konstanty, brat autora Marji, Witwicki Mikołaj i ja, codziennie od dziesiątej do pierwszej pracowaliśmy w jego kancelarji i wtedy to z podziwieniem mojem słyszałem, jak razem pięciu dyktował, każdemu w innej materji. Pierwszego dnia pismo moje zrobiło banalukę, z której i my wszyscy i nasz nieoceniony naczelnik dowoliśmy się naśmieli. Czy i drudzy takim omyłkom podpadli, nie wiem, i za skrupuł sobie miałem pisma ich przeglądać, to mię tylko cieszyło, że choć chaos był w mojem piśmie, gramatyką jednak i pisownią celowałem. Od obiadu każdy był wolny zająć się, czem mu się podoba, ja wtedy z Piušem, Anusią i siostrzenicą p. Malczewskiej Leosią Chrząszczewską mieliśmy lekcje rysunku. O piątej zbieraliśmy się wszyscy na pokoje, gdzie cały wieczór młodzi bawili się i Czacki te zabawy podzielał i we wszystkie gry, nawet ciuciu-babkę z nami grywał. żadna gra w karty nie bawiła Czackiego i kart nie lubił, ale w szachy grywał z gustem i grał mocno. Ile razy było zasiądzie do partji z prof. Łuczyńskim, my otaczamy stolik i z najmocniejszym zajęciem przypatrujemy się utarczce dwóch mistrzów i wyobrażaliśmy sobie obraz toczącej się na północy wojny dwóch wielkich na scenie świata antagonistów. Czacki polubił bardzo hr. Wacława Rzewuskiego, i ten młody, bogaty pan, przejął się wkrótce duchem poświęcenia się usłudze kraju, duchem Czackiego. Prześliczne były ich projekty względem ulepszenia i podniesienia gimnazjum, które szcudrośliwość hrabiego wspierać i do skutku doprowadzić miała, wzdychano tylko do Boga o pokój.

Tymczasem rzeczy polityczne olbrzymim postępowały krokiem. Wojska Napoleona, jak na wiatrach przelieciałły przestrzeń od Niemna do Smoleńska, gdzienie-

gdzie ślady swoje oznaczając spustoszeniem. Ale pod Smoleńskiem dopiero nastąpił pamiętny przelew krwi tyłu narodów! I nasi rodacy walczyli, a walczyli w obydwóch wojskach, brat przeciw bratu! syn przeciwko ojcu!! Nikt bowiem natenczas powiedzieć nie umiał, czyja sprawa dobra, czyje cele prawe! Bitwa mołajaska jeszcze więcej ośmieliła Napoleona, niebaczny! nie pomiarkował, że gdzie majątki i życie niosą w ofierze, gdzie prawdziwy święty patriotyzm sercami władnie, tam ofiara murów odwiecznej stolicy, jakkolwiek trudna i ciężka, spełnić się musiała. Zaufany w powodzeniu swych orłów, lotem sokoła pędził do odwiecznego carów grodu, ani rady osiwiiałych w boju wodzów, ani błagania żołnierstwa nie mogły odwieść go od zamiaru, którego skutek zniweczył wawrzyny tyłu zwycięstw, zaćmił blask, jakim sława jego jaśniała. Skoro się wieść rozeszła, że wojska sprzymierzone ku Moskwie pociągnęły, oziębł się duch życzliwości dla Napoleona.

Ale orły Napoleońskie trafiły na gniazdo rosyjskiego orła, dał on swe gniazdo zburzyć, ale i pomścił ucisk swych piskląt. Od batalji mołajskiej otwierały się oczy na zamiary wielkiego zdobywcy.

Właśnie w tym czasie wrócił do Tarnorudy Czacki po kilkodniowej wycieczce i w pełnych uczucia wyrazach opowiadał, jak dwieście lat temu w tej samej porze, królewicz Władysław dobył Smoleńska, ale upór Zygmunta trzeciego pozbawił Polskę korzyści, jakie wypadkiem tego zwycięstwa być miały. Smutna ta przeszłość, smutne na nas wrażenie zrobiła! We dwa dni po przyjeździe Czackiego wypadały jego imieniny, ale na ten raz w Tarnorudzie prawie pusto było. Syn starosty, synowcowie, szef Drzewiecki u hr. Waława w Łanowcach, majątności jego blisko Zaleszczyk¹⁾, miło czas przepędzali. Czacki rad był, że się towarzystwo domowe umniejszyło, bo swobodniejszym był w swoich zatrudnieniach i w

¹⁾ M. powiatowe w Galicji.

otwartości swojej. 28 października p. Malczewski z synem i synowcem, profesor Łuczyński, Witwicki i ja w mundurach o godzinie dziesiątej złożyliśmy nasze powinszowania. Damy czekały go w salonie i tam go pozdrowiły swemi życzeniami, a obcego nikogo nie było. Przed samym obiadem dopiero przyjechali hr. Waclaw z Czackimi, szef Drzewiecki, podkomorzy Zaleski, generał Zgliczyński, major Cieszkowski i chorąży p-tu Bratkowski, wszyscy dobrze znani i życzliwi staroście. Na wybornym obiedzie pięknym węgryzmem spełniono zdrowie ukochanego solenizanta, bo p. Malczewski rzadkiego szacunku piwnicę po ojcu swoim posiadał i co było z najwytworniejszych win podawał dla okazania, jak mu miło ugaszczać w domu swoim tak dostojnego gościa. Po obiedzie Czacki wrócił do swojej pracy, obiecując, że wróci na piątą dotrzymać w zabawach ślicznej Anusi, córce gospodarstwa. Przez tę parę godzin odświeżono salę, damy zmieniły ubrania i śliczna 12-letnia Anusia, jak świeżo rozwita róża zajaśniała. Podając Czackiemu z miłym uśmiechem rączkę, rzeknie: „pan starosta będzie łaskaw przejdzie z nami na salę, tam i herbatę pić i w gry bawić się będziemy“. „Najchętniej moja ty droga malutka gosposiu! idziemy!“ Otworzyły się podwoje rześisto oświetlonej sali, Anusia puściła rękę Czackiego i w jednej chwili ujrzał się otoczonym obywatelkami, które obsypały go wieńcami dębowemi, a Anusia, Leosia Chrząszczewska i metr muzyki Baszmaków, stosownym do obecnej okoliczności wierszem podłożonym pod muzykę *O! dolci cari istanti, o giorno di contento*, nie pomnę jakiego artysty, Czackiego powitali. Nie do opowiedzenia było rozrzewnienie starosty, dziękował uściśnieniem tylko, bo jakkolwiek wymowne zawsze usta, na ten raz na oddanie uczuć obecnych serca, słów nie znalazły. Całe to przyjęcie było moim pomysłem i wiersze były moje, ale czas zatarł je w pamięci. P. Malczewska wyjawiała staroście, czyj był pomysł, odebrałem zato ojcowskie uściśnienie Czackiego i przyjazne uczucia hra-

biego Waclawa, któremi mię zawsze łaskawie zaszczycał.

To były ostatnie oznaki czci i wdzięczności współziomków za życia Czackiego. Któżby był wtenczas powiedział, że już niedługo oblicze jego jaśnieć nam będzie, że rok 1812 jest rokiem ostatnim tego wielkiego życia! życia, nieocenionych zasług męża! Po wyjeździe starosty posmutniało w Tarnorudzie, ale do lutego w 1813 roku pocieszała nas nadzieja, że go jeszcze ujrzemy! Uderzył grom! i nie stało męża, który był uwielbieniem współrodaków, zaszczytem mędrców, wzorem obywatelów, ojcem uciśnionych i twórcą szczęścia przyszłych pokoleń! ale nikt ze zgonem jego tyle nie utracił, co gimnazjum Wołyńskie! żaden z jego następców nie był mu podobny, bo żaden jego serca nie posiadał, bo mu żaden siłą woli, działalnością umysłu, energią nie zrównał! zszedł Czacki z tego padółu płaczu i na rzewniejszy jeszcze płacz nas sieroty zostawił! Prawie pół wieku od jego zgonu upłynęło, a nam, którzyśmy byli świadkami jego poświęcenia, jego cnót wzniosłych, ta strata jest jakby wczorajsza! Opuściłeś nas nieutulonych w żalu, duch twój tylko ułatwiając ponad Krzemieńcem czuwał nad nami!

ROZDZIAŁ VII.

Trzymiesięczny pobyt Czackiego w domu pp. Malczewskich, dał nam sposobność poznania w życiu prywatnem tego czcigodnego współrodaka. Czacki w Tarnorudzie nie był kuratorem, ani urzędnikiem, był to sobie obywatel, bawiący w domu przyjaciół, z całą swobodą uczuć i sposobu myślenia, z całą narodową otwartością. Czacki z Tarnorudy znosił się z ministrem narodowego oświecenia względem utworzonej przez siebie szkoły, załatwiał zawilosci spraw komisji fund. edukac., zbierał bogactwa dla gimnazjum, oswajał nas z faktami dziejów naszych, nietkniętymi jeszcze przez naszych historyków,

i często, w mniej uczonej rozmowie, opowiadał czasy ostatniego panowania. Z wielu anegdot dworu polskiego dał nam wyobrażenie o królu Stanisławie, oddając sprawiedliwość wielkim zaletom tego monarchy i nie ukrywając mniej świetnej strony jego charakteru. Pozwalał czynić sobie zapytania i z całą dobrocią i szczerością odpowiadał na nie, i tak nas ośmielił, że pewnego razu odważyłem się zapytać go o pobyt pani Urbanowskiej w Warszawie. „Alboż znasz tę damę?“ — zapytał mię. „Bardzo dobrze“ — odpowiedziałem. „I wiesz jej historję?“ „O tyle, ile z opowiadań tej damy, p. Płotnickiego i p. Koniuszewskiego dowiedzieć się mogłem“. „Więc opowiedz nam!“ Nie mała to była rzecz stanąć z opowiadaniem przed osobą, działającą w opowiadanej historii, starałem się więc unikać rozwlekłości i, jak mogłem, pokrótce wymieniałem fakta. Gdy przyszło do tego miejsca, gdzie p. Urbanowska rozmawiała sam na sam z królem, „o! romansowe tête à tête!“ ozwie się p. Malczewski. „Mylisz się“ — rzekł Czacki, nie, to tête à tête było zupełnie sentymentalne; nie zaprzeczam temu, że król zachwycony był pięknnością wdowy, nawet mi to powiedział. Ale Stanisław nie samego materialnego zadowolenia szukał w pięknosciach, które mu w oko wpadły. Gdyby p. Urbanowska do swoich wdzięków mogła była mieć wyższe ukształcenie, znajomość wielkiego świata stolicy i ten pewny takt w mowie i postępowaniu, jaki rozwija staranne wychowanie wyższego towarzystwa, zdołałaby była opanować panującego. P. Grabowska, ani mogła wyrównać pięknnością p. Urbanowskiej, a przecież widzieliśmy króla, że jej i serce swoje, i swobodę i los całego kraju poświęcił. P. Grabowskę zastraszył nieco odgłos pochwał pięknosci polskiej wdowy. Na pokojach królewskich zbliżyła się do niej, mówiła z nią z godzinę i już jej za rywalkę nie miała. Ścisłszych stosunków p. Urbanowskiej z królem nie dostrzegłem, chociaż podejrzewając takowe i znając zalotność króla, czuwałem nad moją klientką, i zdaje mi się, że jej nic do zarzucenia nie miałem. Ale

kończ dalej“ — rzekł do mnie — „więc wyszła za Płotnickiego?“ Opowiadałem resztę historii p. Płotnickiej, wiele szczegółów pomijając, p. Czacki słuchał mię z uwagą i gdy skończyłem, zrobił mi jeszcze kilka zapytań, z których się pokazało, że okoliczności późniejsze zaszły w domu Urbanowskich i p. Czackiemu równie dobrze, jak i mnie znajome były, rozmowa więc nasza dla reszty słuchających stała się niezrozumiałą. „Otóż to są skutki domowego wychowania młodych!“ — zawołał p. Czacki. „Gdyby Teodor uczył się był w publicznych szkołach, gdyby przewodnikami jego byli światli rodacy, na których już nam nie zbywało, i o co nieraz p. Krzysztołowi głowę nakleptałem, Teodor nie byłby nachwytał mniemań nie naszych, nie uganiałby się za miłośkami i w wymarzonej swojej doskonałości znalazłby był dziury, potrzebujące załatania. Teodor, z najlepszem sercem, ze zdolnościami umysłowemi, z niezłym nawet naukowem usposobieniem, ale bez hartu duszy, wpadł w ręce interesownych i w 25-leciech przesycony życiem, utracił piękny majątek, położenie obywatelskie i życie moralne. Takie to nieszczęśliwe przykłady jeszcze więcej umacniają przedsięwzięcie moje upowszechnienia wychowania publicznego. Otworzyłem w czasie kontraktów gimnazjum Kijowskie, skoro się rzeczy polityczne uspokoją, otworzę Podolskie w Winnicy, szkołę Pijarską w Międzyrzeczu i Bazyljańską w Humaniu podniosę do stopnia gimnazjum. Takich wyższych zaprowadzeń naukowych nigdy nadto być nie może. Czuję to, ale więcej nad możność moją zrobić nie potrafię!“

Ta rozmowa toczyła się wobec hr. Wacława Rzewuskiego¹⁾, który przejęty duchem Czackiego, podzielał

¹⁾ Wacław Rzewuski (1785—1831), syn Seweryna, hetmana pol. koron. Służył w wojsku austriackim. Trzy lata spędził na Wschodzie w Arabji, Persji, Egipcie (1817—1820). Chętnie nosił miano emira Tadż-el-Fahera. Po powrocie ze wschodu, mieszkał w Krzemieńcu, gdzie młodzież skupiał koło siebie. Słynął jako jeździec awanturniczy. Z Krzemieńca prze-

jego zdania, pragnął działać w sprawie oświecenia i z pomocą swoją szczerze się nastęrczał. Nigdy nie zapomnę tego wieczora! Wojna wrzała w całej swojej sile i posuwała się ku Dnieprowi. Dwadzieścia narodów walczyło, los na żadną nie przychyłał się stronę. Rozmaite latały wieści, rozmaicie przyjmowano je i tłumaczono. W pokoju Czackiego nikt o wojnie toczącej się ani wspominał. Czacki, Rzewuski, prof. Łuczyński ex-Jezuita, niegdys nauczyciel szkoły Krzemienieckiej, Stanisław Andrzejowski i ostatni z Jezuitów profesor, wiekowy i ociemniały ks. Krzesz, składali towarzystwo rozprawiających o święceniu; nas kilku młodych otaczaliśmy to czcigodne grono rezonowania. Ks. Krzesz, mimo lat ośmdziesięciu i ślepotę, zachował żywą pamięć, dziwną przytomność umysłu i zdrowe sądzenie o rzeczach. Nie dziwił go postęp naukowy, ani przesądnie do dawnego sposobu uczenia był przywiązany. Wysoko cenił Czackiego i z pociechą serca słuchał zamiarów jego względem odmian, jakie Czacki chciał zaprowadzić w urządzeniu szkół w tych prowincjach. Całą tę scenę rozprawiania, o ile pamięć moja zasięgnąć zdoła, powtórzę. „Śniadecki za złe mi poczytuje rozporządzenie nauk w gimnazjum Wołyńskim“ — mówił Czacki — „oddaję się pod sąd twój szanowny ojcze Krzeszu! Usilnem staraniem mojem jest, o ile można, zastosować nauki do życia praktycznego. Wiem i czuję to, że jeszcze niedość ułatwione jest nabycie onych, i nad tem pracuję, ażeby każdy uczący się w gimnazjum Woł., ukończywszy nauki, zastosować je mógł do stanowiska, jakie nadal w społeczeństwie zajmować będzie. Wiele zrobiła Komisja Edukacyjna za pa-

niósł się do Sawrania. Wziął udział w r. 1831. Pod Daszowem zginął bez wieści. Należał charakterem i temperamentem do liczby słomych awanturników. Szczegóły: Dr. Antoni L. (Rolle) *Opowiadania*, serja IV; *Wielka rodzina w wielkim narodzie* (autorka hr. Adamowa Rzewuska). W bibl. w Rapperswillu papiery familijne matki Wacława Rzewuskiego.

nowania ostatniego króla, idziemy po śladach tych znakomych mężów, ale nam wolno zrobić odmiany, jakich czas, okoliczności i położenie obecne wymagają. Poszczycimy się przed światem, jeśli Opatrzność pozwoli nam poszczycić się wyprowadzeniem uczonych, którzyby sławą swoją na świecie słyęli. Ale nie wszyscy jednakowemi obdarzeni zdolnościami, ani wszystkich jednakowe społeczne stanowisko. Są talenta, mogą się i genjusze odkrywać, ale nasz kraj więcej potrzebuje. Kraina nasza, rozciągająca się szeroko na żyznej ziemi, jest krainą rolniczą, jest szpichlerzem Europy. Na to więc uwagę zwrócić należy. Dotąd ze szkół naszych wyższych wychodzą medycy, prawnicy, nauczyciele i duchowni. Wielka i tu jest zasługa. Ale któż się ćwiczy w naukach? Szlachta i gdzieniegdzie miast mieszkańce! Najszacowniejsza część ludności naszej, włościanie, rolnicy, nie uczestniczą w tych dobrodziejstwach nauki. Ustawa 3 maja chciała mieć wolną tę klasę narodu i niezawodnie przyjdzie kiedyś do tego, że i tej klasie podwoje świątyni oświecenia otwarte będą. Są już szkołki parafjalne, minister Zawadowski z ojcowskiem uczuciem polecał staraniom moim pieczę o tych szkołach. To jest cel myśli moich, to najgorętsze życzenie mojego serca. To, co dzisiaj w nich uczą, jest za mało i mało praktyczne. Mojem zdaniem, w szkołach parafjalnych, dzieci powinny się uczyć czytać i pisać po polsku i po rusku; prawideł wiary świętej stosownie do wyznania; czterech działań arytmetyki jak najbieglej, z obeznaniem się dokładnem z miarami i wagami krajowemi i sąsiednich narodów. Powinni obeznawać się zawczasu z narzędziami rolniczem i rzemieślniczemi i ich użycia nabywać praktycznie. Potrzeba im dać wyobrażenie gatunków ziemi i objaśnić najłatwiejszym do pojęcia ich sposobem teorię nawozów; możeby korzystnie było dać im ogólne początki geografji, jakiegokolwiek pojęcie technologii, a nadewszystko uczyć rysunku, ale nie tak, jak mój poczciwy Pitchman w Krzemieńcu uczy, gdzie biedny małec, gryzmołąc rok cały

nieszczęśliwe oczy lub nosy, w końcu najmniejszego pojęcia rysunku niema. Dzieciom szkółki parafjalnej nauczyciel niech daje rysować narzędzia rolnicze i rzemieślnicze, początkowo z rysunku, później z natury, tłumacząc im rozbiorowo skład każdego narzędzia. Takie praktyczne uczenie, nietylko że włościan oświeci, ale i z ubogiej szlachty utworzy nam ludzi zdatnych na ekonomów i innych potrzebnych oficjalistów. Ciąg tych nauk najmniej czteroletni byłby powinien. Po ukończeniu nauk, włościanin innem okiem poglądać będzie na tę ziemię, która i jego rodzinę żywić będzie. Wrodzona człowiekowi ciekawość każe mu doświadczeniem sprawdzać to, czego się uczył, a nawykły do zatrudnienia w szkole, imać się będzie do pracy i drogiego czasu trwonąć nie będzie w próżniactwie i w karczmie przy kuflu“.

„Piękne są i nader chwalebne zamiary p. Starosty — zabrał głos ks. Krzesz — i mimo całe uprzedzenie dla naszego dawnego sposobu uczenia, twoim pomysłem wyższość przyznaję. Zarzucają nam Jezuitom naszą metodę uczenia, może i słusznie, ale ówczesne okoliczności i usposobienia zdawały się wskazywać same, że tak tylko można było uczyć. Czy pan myślisz, żeśmy tego niedostatku nie widzieli? Owszem, czuliśmy go i nieraz przemyśleliśmy o poprawach, jakie zrobić należało, ale w zgromadzeniu naszym nie samych mieliśmy rodaków, a nad polskimi Jezytami cudzoziemcy wyższą władzę posiadali. Cóż więcej mogę powiedzieć?.. O! pierwsze zasady przez ś. Ignacego rzucone były, jak on święte, i bodajbyśmy się byli tych tylko trzymali! Ale wzrastające dostatki i wziętość olśniły nas, wzrosliśmy w potęgę, a zasady Lojoli ledwie wśród niższej braci istotnie się zachowały!“ Tu starzec zamilkł, opuścił głowę, a po chwili ciężko westchnawszy, tak dalej mówił: „Odpuść nam nasze winy, i bądź woła Twoja! Musieliśmy zawinić, kiedy Bóg na nas upadek dopuścił. Darujcie panowie tym smutnym wyrażeniom. Nie mogę nie boleć nad skasowaniem tego wielkiego zakonu, a chociaż znam i dobrą i złą

jego stronę, jestem przecież Jezuitą! Jako Polak i jako nauczyciel, mimo zgrzybiałość moją czuję odmłodzenie serca mojego, gdzie rzecz idzie o oświecenie wnuków tego pokolenia, którego miałem szczęście być nauczycielem. Dlatego to, rozbierając słabym umysłem moim plany pana starosty szczegółowie, znalazłem je spełna odpowiadające swojemu celowi. Kurs szkólek parafjalnych na lat sześć rozłożyłbym, a przyjmując nie mniej, jak w dziesięciu latach, przy troskliwym moralności dozorze, chłopak wychodzący ze szkoły w latach szesnastu, ma dość sił fizycznych, ażeby wziąć się do pług lub do rzeźmiostła. Niezleby może było dać im jakiegokolwiek szkice historii krajowej i pamięć jego ożywić jakąś poezią narodową, pieśnią nabożną i bajeczką, którejby sens moralny, łatwy, utkwiał w pamięci i nieraz stanął w przygodzie. Patrzymy codziennie na naszych wieśniaków, z jaką łatwością wyuczają się śpiewek swoich nie zawsze czysto obyczajowych. Oświecenie tej klasy narodu nie będzie trudnem, bo to jest ziemia żyzna, którą tylko dobrze uprawić, a wyda plon bogaty. Ale, o ile umysł w nich świeży i do przyjęcia wszelakich wrażeń zdolny, o tyle obyczaje, mało że grube, ale że tak powiem zezwierzone. Dopóki ta gangrena zniszczona nie będzie, próżne starania o oświecenie umysłu, bo ten bez hamulca religii i moralności najszkodliwsze społeczeństwu wyda owoce. Mnieby się zdawało, ażeby dzieci szkół parafjalnych odłączyć było można od domowej strzechy i, zrobiwszy pewny rodzaj konwiktu, pod dobrym dozorem, czystość ich uczuć i obyczajów zachować od każenia, a nawet nieco popsutych na prostą drogę naprowadzić. Potrzebaby we wszystkim taką między dziećmi zachować jednostajność, ażeby żaden żadnemu nie zazdrościł, a mając każdy swoje własne odzienie, sprzęty, książki, szanując swoją i własność drugich szanowałby umiał, a tym sposobem uniknie się sposobności do złodziejstwa, niestety! przez ciemnotę tak u ludu naszego rozpowszechnionego. Kończę moje uwagi tem, że bez pomocy Boga nic nie mo-

żemy! Dlatego nauka wiary ś-tej, pierwsza przed wszystkimi, najstaranniej i najdokładniej wykładaną być powinna. Niech Bóg uchwowa! ażeby pleban, czy też paroch, dawszy malcowi drukowany katechizm w ręce, naznaczył mu—stad dotąd, na tej lub owej karcie, jak to zwykle ma miejsce; niech nie wdając się w żadne teologiczne tłumaczenia, ani w retoryczne ozdoby, opowie po prostu każdy artykuł i o ile można przykładem z historii świętej objaśni. Dozorca szkółki powinien dnia każdego dopilnować, aby dzieci skromnie i pobożnie ranne i wieczorne modlitwy odmawiały i przynajmniej 2 razy w rok spowiadały się z należytem przygotowaniem, a spowiednik powinien być dla nich ojcem upominającym i karzącym za przestępstwa, niosącym pociechę i dodającym męstwa na drodze poprawy.

Tak nauki, idące w pomoc religji i na niej oparte, utworzą lud nowy, miły panu, użyteczny ludzkości i niosący zaszczyt temu, co gorliwością swoją, co ciepłem cnót swoich obywatelskich rozlitł jasną zorzę nad ciemnotą najbiedniejszej, a może najszacowniejszej kasty ludu naszego. Tyś się, mości starosto, poświęcił jego dobru, nie ostygaj w zapale, trudnościami się nie zrażaj, działaj gorliwie w tak świętej sprawie, a Bóg ci pobłogosławi i pomyslnym skutkiem trudy uwieńczy, a mnie dozwól, abym, jako współrodak winne oddał ci dzięki, a jako kapłan na czole twojem złożył błogosławieństwo“. To rzekłszy, starzec powstał; wszyscyśmy powstałi, Czacki podszedł ku niemu, uściskał Czackiego kapłan, a gdy podniósł rękę, aby mu błogosławić, Czacki przykląkł przed nim i my wszyscy jednomyślnie padliśmy na kolana, bo było coś tak uroczystego, tak religijnego w obliczu i postaci szanownego starca, że te ostatki ziemskości, które wiekiem, trudami i troskami sterane ciało przedstawiało, zdawały się relikwjami świętymi pierwszych bohaterów wiary Chrystusowej, i najgłębszem uszanowaniem przejmowały.

Nowemi były dla hr. Wacława i okoliczności i roz-

prawy, których słuchał, ale uczucia obywatelskie nie były mu nowemi. Hrabia znał i ocenić umiał, co jest piękne i wielkie, i pojmował dzielne pomysły Czackiego. „Pozwól mi ojciec szanowny, mówił, pozwól mości starosto, pozwólcie podnieść i mój głos nieudolny. Pojmuję wysokość waszych planów, czuję korzyści, jakie z nich na kraj spłyną. Nie zdolny nic dodać do mądrych waszych pomysłów, proszę, byście przyjąć raczyli moją materialną pomoc. Niech pierwsze szkółki takowe staną w moich majątnościach w kluczu Starokonstantynowskim i w Sawrańskim, a sumy, jakich wymagać będą fundusze na takowe instytucje, z intrat tychże samych kluczów przeznaczam i wypłacanie onych jak najakuratniejsze zaręczam, a przyprowadzenie do skutku szkółek przyjmuję na siebie, szczęśliwy, że spełniając wasze zamiary i sam być wam pomocą jakąś potrafię. Jedno tylko ośmielam się wniesić, ażeby tak, jak szanowny ks. profesor powiedział, uczniowie tych szkółek składali jeden konwikt, ażeby o ile możliwości od zepsucia domowego dalecy byli. W majątności mojej Sawrańszczyźnie jest sekta Mołokanów, w dogmatach religijnych nie różniąca się od innych włościan, ale w dogmatach obyczajowych bardzo różna. Nie jedzą oni żadnego mięsa i wódki nawet na żadnej uroczystości nie piją, są to jednak ludzie dorodni, piękni, silni i dziwnie rozwiniętych władz umysłowych i otwartego charakteru naiwnej prostoty. W pośród nich pierwszą szkółkę otworzę i pewny jestem, że ich przykład i drudzy naśladować będą. A tak zbawienne wasze zamiary wkrótce po całym się Pobereżu rozciągną“. Uściskał Czacki młodego hrabiego, ksiądz Krzesz wyciągnął ku niemu rękę i, gdy hrabia podaną sobie dłoń ucałował, szanowny kapłan na czole jego ojcowskie złożył pocałowanie.

Czacki nie był zarozumiałym, a duma jego wtedy się dopiero okazywała, kiedy kto szlachetne zamiary jego na złe tłumaczył, a i tu jeszcze obronę swoją w jak najskromniejszych oddawał wyrazach. Z roztargnienia

swego i krótkiego wzroku sam się naśmiewał. „Wyobraźcie sobie“ — mówił nam raz — „jakiego śmiechu narobiłem z siebie. Pisałem do Kropińskiego¹⁾ w ważnym interesie szkół Łuckich i Włodzimierskich, dałem Józiovi list zapieczętować i natychmiast list wyprawiłem. W kilka dni Kropiński przyjeżdża i zapytuje, w jakim interesie pisałem do niego. „Ależ generale“ — zawołałem — „czyż potrzeba jaśniejszego wyluszczenia rzeczy, jak w moim liście?“ Za całą odpowiedź Kropiński oddaje mi moje pismo, niecierpliwie otwieram, i cóż? na dużej ćwiartce klin obrócony do dołu pisma mego własnoręcznego, z którego istotnie nic zrozumieć nie można. Posłałem po Józia: „czytałeś pieczętując mój list do Kropińskiego?“ Nie, papo! ale wiem o co idzie“, to mówiąc wyjął z szufladki złożony wielki półarkusz, na którym był odwrotny klin mojego pisma. Ani dostrzegłem nawet, jak na dwóch osobnych papierach spisałem moje myśli. Kropiński naśmiał się ze mnie, wyciął mi nawet epigramacik, ale interes był spełniony podług mego życzenia. Dobrze mówi stare przysłowie nasze: „mądrej głowie dość dwie słowie“.

¹⁾ Ludwik Kropiński, generał (1767—1844), człowiek światły, ale poeta sentymentalno-ekliwy i prozaik w tym samym duchu. Korespondował z Zorjanem Chodakowskim (Zor. Chodakowski, jego życie i praca. Lwów 1893). Napisał romans sentymentalny, czytany w owe czasy, Julja i Adolf. Z poezji jego żartowano. Czworowiersz:

Jakże podobny Eminie
Ten mały strumyk co płynie!
Obraz to jej rzeczywisty,
Bo i spokojny i czysty —

przerobiono w tym samym stylu:

Jakże podobny do Chloi
Ten mały pieniek co stoi!
Jest to jej obraz prawdziwy,
Bo i pękaty i krzywy.

(Wspomnienia Fr. Kowalskiego. Kijów 1859, t. II, 143).

Raz przyjechał do niego rektor szkół Bazyljańskich z Baru, niewysoko uczony, ale prawy człowiek i wesołego humoru. Czacki znał go jeszcze młodym nauczycielem we Włodzimierzu, lubił go i protegował. Po dwugodzinnem zdaniu sprawy ze swego urzędu, wesoły Bazyljanin i dowcipny mnóstwem przyjemnych dykterjek zabawiał towarzystwo. „Czy iw. pan starosta przypomina sobie nasz obchód pogrzebowy w Zahorowie, po zejściu ś. p. iw. podczaszego kor. ojca pańskiego?“ „Coś przypominam sobie, ale opowiedz nam ze szczegółami“. „Potrzeba wiedzieć, że ś. p. podczaszy kor. Czacki stał u nas w rejestrze najważniejszych naszych fundatorów, bo znakomitemi sumy uposażył nasz klasztor w Zahorowie, należącym do obszernych jego majątności. Wdzięczni Bazyljanie starali się jak najokazalej wystąpić z obchodem, jakoż cały kościół obleczony był czarnym kirem, w środku wznosił się wspaniały katafalk, mnóstwem jarzących świec jaśniejący, wokoło stały kolumny z herbami, spokrewnionych z Czackimi domów, Sanguszków, Czartoryskich, Lubomirskich, Potockich, Małachowskich, Tarnowskich, ze stosownemi pod każdym wierszami. W pośrodku na wyższej kolumnie był herb Czackich“. „Jakiż pod naszą świńską głową był napis?“ — zapytał śmiejąc się Czacki. „O! kiedy tak mię iw. starosta zapytuje, to nie pamiętam“. „No! no! pamiętasz, nie żenuj się, mów, wszak to nie twoje były wiersze“. „Gdzież mnie klerykowi dostałby się taki honor? Ksiądz retoryk Skrzetuski był naszym poetą i poczciwi ks. Bazyljanie podziwiali jego wielkie capacitates: były więc wiersze:

Czem są Czaccy w narodzie, herb poświadczy ryty,
Mają głowę sposobną na wszelkie zaszczyty.

Śmiał się Czacki do rozpuku, uściskał Bazyljana i my wszyscy podzielaliśmy wesołość p. starosty. Nie obrażał się żadnym przeciw niemu żartem, ale jeśli ostry jaki przycinek wymierzony był na które z dzieci jego, mocno to uczuwał. Raz u stołu wszczęła się rozmowa o

łysych głowach, a cytując znakomitych w starożytności i w obecnych czasach mężów, zakonkludowano, że łysina jest mądrych głów oznaką. Józef Czacki z całą naiwnością młodego wieku, pokazując rzedniejące nad czołem swoim włosy: „Papo!“ rzeknie: „i ja już łysieję“. Jeden z obecnych, dobrze od Czackiego uważany i w to ufny, odezwał się: „O! toż to wmpan będziesz ludzi oszukiwać“. Zapłonął się Józef, pp. Malczewskim przykry był ten niewczesny wyskok ich rezydenta, a starosta długo ten przycinek pamiętał.

Mimo piękny majątek, interesa Czackiego w złym były stanie. Sumy zapisane na gimnazjum, a nie wypłacone, swojemi dochodami zastępował, a znakomite kupna zasobów dla tej szkoły opłacając, długi na swoją fortunę zaciągnął. Liczono starostę do najzamożniejszych panów Wołyńskich, ale w szkatule jego rzadko kiedy 100 dukatów znaleźć się mogło, a jeśli się znalazły, to pewnie przeszły w ręce potrzebujących wsparcia. Zdarzyło się, że do Tarnorudy przyjechała z Włodzimierskiego szlachcianka, której niewielką wioskę i dom w niej przechód wojsk saskich zrabował. Kto czem mógł opatrzył biedną wdowę, Czackiego zastała bez zapasu. Ale nie zmieszany swoim niedostatkiem, zdjął z palca sygnet, w którym piękny ametyst z herbem jego błyszczał i oddał go wdowie. Sygnet ceniony był 50 dukatów. Ale przyjaciele nie dopuścili, aby klejnot kosztowny szedł w poniewierkę, wykupili go od wdowy i Anusia Malczewska zręcznie wsunęła mu go na palec. Roztargnienie Czackiego nie dozwoliło mu postrzedz miłego figielka i dopiero nazajutrz zdziwił się, widząc na palcu swój sygnet. Przyjaciele starali się wmówić, że wdowa daru tak kosztownego nie przyjęła, ale Czackiego pamięci trudno było oszukać, poznał szlachetny podstęp i milczącemi łzami uczucie swoje wytłumaczył.

Czacki przez ciąg pobytu swego w Tarnorudzie, raz tylko był w Krzemieńcu i to z Żołobów, zostawiwszy tam powóz, przyszedł piechotą, ale policmajster Marków czu-

wał noc całą nad jego bezpieczeństwem i do dnia samego do Żołobów odprowadził. Reszta widywania się jego z żoną i młodszymi dziećmi, miały miejsce u księżnej Sapieżynej w Teofilpolu, albo w Juzkowicach u szefa Drzewieckiego. Zarzucano Czackiemu, że gimnazjum Wołyńskie więcej kocha, niż własne dzieci. Błędne mniemanie! Patrzailiśmy na jego tęsknotę, a przyjaźń zacnych Malczewskich postawiła nieprzerwaną komunikację przez Tarnopolszczyznę między Tarnorudą a Krzemieńcem, i Czacki co trzeci dzień miał wiadomość o żonie i dzieciach.

Najulubieńszą rozmową Czackiego były dzieje narodowe, bądź dawne, bądź nowe, których był świadkiem. O królu Stanisławie wiele opowiadał anegdot. Między innymi, smutną jednego z naszych magnatów opowiadał historję. Umieszczam ją tu nawet ze szczegółami, ale pod przybranemi nazwiskami, nie dlatego, aby miała nieść krzywdę bohaterowi powieści, bo jego charakter świetnie w niej wychodzi, ale może kto jeszcze ze współdziałających żyje i niemiłe w nimby ta powieść wspomnienie obudziła.

ROZDZIAŁ VIII.

„Znajome jest dobrze panowanie Augusta drugiego, znajomy sposób życia tego monarchy i te miłostki“ — mówił Czacki do Malczewskich. „I hrabianka Rochlitz ¹⁾, babka p. Ksawerego, była córką tego króla i wniosła w dom Duninów ogromny posąg, którego część trzecią wazsa matka otrzymała. Ale nikomu nie dostał się tak wielki udział, jak hrabiemu Fryderykowi. Podskarbi kor., pan

¹⁾ Hrabina Rochlitz była żoną Piotra Dunina, starosty Zaborskiego, kasztelana Radomskiego. Związek skojarzył August II (1720). Z tego małżeństwa syn Fryderyk ożenił się z Zofją Małachowską, zeszedł bezpotomnie. Córka Antonina za Ignacym Malczewskim.

znakomitego rodu i pięknych duszy przymiotów, posiadał szacunek współziomków i łaskę obu Augustów. Ale hrabina, księżniczka rodem, wyższemi jeszcze nad ród obdarzona wdziękami i rozumem, panowała i nad mężem i nad panującym, i to była ostatnia i najsilniejsza miłość Augusta II-go. Nie chowało się potomstwo hrabiemu, jeden tylko im syn pozostał, cała nadzieja przyszłej potęgi. Młodego hrabię król do chrztu trzymał i tak go ukochał, jak własnego syna. Fryderyk urodził się szpetnym na twarzy i ułomnym, ale co natura ujęła w urodzie, to wynagrodziła przymiotami serca i umysłu. Wychowanie Fryderyka było najstaranniejsze, kosztem chrzestnego ojca, i świetnie rozwinęło wrodzone przymioty. Podskarbi przeżył swój piękny majątek i synowi po rodzicach niewielka spuścizna została, ale szczodroblliwość chrzestnego ojca w czwórnasób wynagrodziła utratę ojcowizny. Ogromne dobra i kapitały, pyszne srebra i inne drogie ruchomości, nieocenione klejnoty, fortunę młodego Fryderyka stanowiły.

Osierocony od rodziców i od ukoronowanego opiekuna, w kwiecie wieku ujrzał się panem wielkiej fortuny i odziedziczywszy ją okazał całą tęgość umysłu, szlachetność serca i wyższość oświecenia. Za Augusta III już był w urzędowaniu, a za Stanisława wysokie dostojęństwo piastował. Hrabia wielkie miał znaczenie na polskim i saskim dworze, a to znaczenie i ogromny majątek robiły go pożądaną partją dla córek naszych magnatów, ale szpetność urody nie mogła mu zjednać żadnego młodego serca. Bo serca młode nie umieją czytać w duszy drugich i pochwały pięknych przymiotów porównywały z powierzchownością, nie zawsze tak piękną, jak dusza. Nasze księżniczki, hrabianki i córki pierwszych dygnitarzy marzyły sobie świetne z hrabią małżeństwo, ale raz go ujrzawszy, w marzeniach swoich ostygły i hrabia odmówienie dostawał. Fryderyk miał już lat przeszło trzydzieści a ożenienie zawsze go mijało, lubo pragnął bardzo potomstwa, tkóremuby i imię i piękny majątek

przekazał. Hrabia czuł swoje upośledzenie, ale miał serce czułe, kochał ludzi, a im więcej upokarzały go odmówienia, tem więcej okazywał się kochającym ludzi i sercem i czynem. Ale nakoniec i jego kolej nadeszła. Kasztelanka Rozalja, potomek świetnego rodu i sama świetna dziwnie piękną urodą, rozumem i wytwornem wychowaniem, dumna nawet z tych zalet, powiedziała sobie, że będzie hrabiną Fryderykową. Siostra pełnoletnia sama już sobą rządziła. Mnóstwo pretendenców otaczało wóz jej tryumfalny, ale na żadnym jeszcze myśl się jej nie oparła, a choćby może za którym i uczucie przemówiło, kasztelanka starałaby się to ukryć nawet przed samą sobą. Rozalja była dumna i może ten przymiot był jej przewodnikiem w prowadzeniu się na wielkim świecie. Kasztelan krakowski był jej opiekunem, wprowadził do niej hrabiego i swataniem pupilki się zajął. Umiała ona pokryć odrazę sprawioną widokiem niepięknego pretendenta i wdała się z nim w rozmowę. Wymowa Fryderyka, bogaty zasób nauk i umiejętności, oglądzenie obyczajów, cały wstręt przewyciężyły, rozumna sama, zasmakowała w rozumnej z hrabią rozmowie i powoli z jego się szpetnością oswoiła, a po niedługim czasie, wobec swojego opiekuna, rękę hrabiemu oddała. Nie posiadał się z radości Fryderyk, a sam szczęśliwy jeszcze więcej drugim do szczęścia pomagał. Wesele odbyło się w domu kasztelana krakowskiego, piękną Rozalię sam Stanisław August do ślubu prowadził. Ubiór panny młodej był skromny, bo ofiarowanych od p. młodego klejnotów nie przyjęła, wymawiając się tem, że do ślubu w tem tylko iść powinna, co jej ojczystą było własnością, i że zostawszy hrabiną, z darów męża będzie miała prawo korzystać. Wszystkim to umiarkowanie podobało się i o przyszłym prowadzeniu się Rozalji najpochlebniejsze dało wyobrażenie. Trzeciego dnia po ślubie hrabina prezentowała się u dworu i wtedy ukazała się w całym przepychu klejnotów hrabiego. Ubranie głowy, naszyjniki, opaskę i bransolety na sto tysięcy dukatów liczono, bo jeden soliter, którym naszyj-

nik z ogromnych pereł był spięty, 27000 dukatów znawcy cenili. Znakomite były zbiory klejnotów w Polsce, ale żaden wyborem i cennością klejnotom hrabiego nie dorównywał. Zachwycano się wytwornością stroju hrabiny, ale wdzięki jej nie mniejsze wrażenie sprawiły.

Po wyjściu na świat stołeczny, jako dama pierwszej dystynkcji, hrabina, znając ile mąż lubi przemieszkiwać w swoich majątnościach, zażądała od męża, aby z nim te obszerne ziemie odwiedzić. Oprócz posiadłości w Wielkiej Polsce i na Czerwonej Rusi, hrabia miał ogromne dobra w województwach: Wołyńskiem, Podolskiem i Bracławskiem, postanowiono więc je wszystkie zwiedzić. Podróż te długo się ciągnęły, tymczasem stan zdrowia hrabiny dał poznać nadzieję potomstwa. Uszczęśliwiony hrabia nie znał granic w oznakach przywiązania dla żony. Dogadzał jej we wszystkim, zgadywał myśli, uprzedzał chęci. Rozalja, nie umiejąc odgadnąć istotnego charakteru męża, wyobrażała w nim sobie człowieka słabej woli, słabego umysłu i postanowiła sobie owładnąć zupełnie nad nim panowanie. Delikatność wrodzona Fryderyka, pobłażanie stanowi, w jakim było zdrowie żony, wszystko to utwierdzało jej mniemanie, rozum jednak nakazywał jak najmniej korzystać z mniemanej słabości charakteru męża i jego zdaniem powodować. Tymczasem podróż się przedłużała, czas uchodził i nie postrzeżono się, jak nastąpiło rozwiązanie hrabiny. W majątności ukraińskiej obległa i Opatrzność udarowała ją synem. Uradowani rodzice tysiącnie o nim marzyli sobie projekta, król miał go do chrztu trzymać z panią Krakowską, książę prymas miał go sam ochrzcić, pierwsi dygnitarze państwa mieli tej ceremonji asystować. Ale rzeczy inny wzięły obrót, dziecię urodziło się słabe i stan zdrowia jego coraz się pogarszał, śpiesznie więc ochrzcić go było potrzeba i dwoje najstarszych z włościan hrabiego wnieśli do kościoła hrabiątko i kumami rodziców jego zostali. Dla zdrowia dziecięcia zatrzymano się dłużej na miejscu, doktorowie wzbronili hrabinie karmić, młoda więc i czer-

stwa ukraińska z mlekiem swoim przelała w hrabiątko wieśniacze ukraińskie zdrowie. Wzrastał mały Staś, dano mu bowiem imię mającego być ojcem chrzestnym króla, wzrastał zdrowo i rodzice nasycali się rozkoszą wychowywania jedynaka.

Na zimę wrócili do Warszawy i hrabina zajaśniała znowu w towarzystwach stolicy. Hr. Fryderyk równą posiadał więtość i na Saskim i na Polskim dworze. Stanisław August cenił go wysoce dla jego znakomitych przymiotów i uważał go jako jednego z pierwszych dyplomatów państwa, i polecił mu ważną misję do cesarza Józefa II. Hrabina nie chciała odstąpić męża i, zostawiając syna z boną u pokrewnej starościny Braclawskiej, wybrała się na kilka miesięcy do Wiednia. Rozalja liczyła już do 30 lat wieku, ale jej piękność tak była młoda i świeża, że jej ledwie lat 20 przyznawano, a do tego lubiła się ubierać i ubiór jej zawsze był pełen najgustowniejszej elegancji, klejnotów zaś tak umiała użyć, że i kosztowność ich i zastosowanie do ubioru i piękności jej samej wszędzie admirowano. Zaświecniła więc ta gwiazda sarmacka na dworze wiedeńskim, wzbudziła podziwienie dam niemieckich i urokiem swych wdzięków Niemców oczarowała. Hrabina pięknie mówiła językiem germańskim, co jeszcze więcej zniewoliło dla niej towarzystwa wiedeńskie. W Wiedniu podówczas najwięcej język ten był w użyciu, bo mowa ojczyzna miła panującemu, stała się modą germańskich salonów. Hrabia wielki dyplomata, zajęty był ciągle traktowaniem poleconej mu misji i zostawił zupełną wolność hrabinie rozrządzania swoim czasem i swojemi zabawami. Duma hrabiny utrzymała ją świetnie na jej wysokim stanowisku, umiała zachować powagę swego dostojęństwa i pogodzić ją z wesołością młodego wieku, ale nie była wolna od uczucia własnej miłości i wrodzonej płci pięknej próżności, a pochlebne otaczające ją pochwały podkopywały z wolna zasady surowe ojczystych obyczajów. Hrabina była kobietą i kobietą młodą i piękną! Roje wielbiciele otaczały ją wszę-

dzie, wszędzie ubiegano się o zasłużenie jej względów. Wszystkie te hołdy, te nadskakiwania, bawiły młodą damę i zawsze wróciwszy do domu zdawała mężowi sprawę ze swoich salonowych powodzeń. Bawiło to i hrabiego, a ufiny dumnemu charakterowi żony, pewnym był, że z granic przyzwoitości nie wystąpi i tylko zdaleka nad nią czuwał. W następstwie jednak czasu inaczej się pokazało.

Pomiędzy licznymi nadskakującymi Rozalji znajdował się jeden hrabia węgierski Stefan, pułkownik cesarskiej gwardji. Czemu tylko świetnieć może mężczyzna wyższego rodu i stopnia, to wszystko posiadał hrabia. Piękność marsowa, ukształcona powierzchowność, wyższe oświecenie, wzniosłość charakteru, a nadewszystko naturalność i pełna wdzięku prostota jednały mu serca płci pięknej, szacunek współziomków i względy monarchy. Stefan trzydziestoletni kawaler ze swobodą i czystością serca i młodość materialną zachował, a żadna dotąd z dam uczuć jego nie pozyskała, chociaż dla wszystkich był grzeczny prawie do załotności. Córki najznakomitszych dygnitarzy marzyły o nim, a matki ubiegały się o pozyskanie go dla swoich córek, ale dotąd żadna mu w oko nie wpadła i tryumfiował z niezawisłości swojego serca. Wszyscy wyrzucali mu, że tak unika słodkich więzów Hymenu, on odpowiadał, że dość jeszcze będzie miał czasu jęczeć w tej słodkiej niewoli.

Posel francuski obchodził uroczyste urodziny swojej królowej i wielki bal wyprawił. Co tylko najświetniejszego z wyższego towarzystwa miał Wiedeń, to wszystko zaproszone było do posła, hrabia Fryderyk z żoną do najpierwej zaproszonych należeli, bo hrabia także, jako reprezentant swego monarchy był uważany, a do tego i w przyjaźni był z posłem; hrabina zaś świetnie wszystkie towarzystwa zdobiła. Tu Rozalja użyła całego gustu swego i całego bogactwa, ubranie kosztowne i wytworne podniosło jeszcze jej piękność i zachwycała wszystkich, a nawet zimnego monarchy uwagę na siebie zwróciła.

Józef II pierwszy przybliżył się do hrabiny, rozmawiał z nią uprzejmie i polskim tańcem bal z nią otworzył. Hrabia węgierski pierwszy raz widział Rozalję i nie mógł widzieć ją bezkarnie, a że pierwszym był z młodzieży w towarzystwach, gdzie mu i osobiste przymioty i ród wysoki i wielka fortuna dawały przewagę, więc i do tańca był pierwszym; skoro więc kolej żwawszych tańców nadeszła, zadumał się nad wyborem damy, którejby rękę do kadryła miał podać. Cesarz poznał zakłopotanie faworyta i przechodząc szepnął mu: „bierz tę damę polską, z którą bal otworzyłem“ i trafił w myśl Stefana i pułkownik przystąpił do Rozalji. Hrabina już go zauważyła i w duszy życzyła sobie mieć go swoim tancerzem, mimo to jednak mocno się zarumieniła tem zaproszeniem i z bijącym sercem w taniec poszła. Zwykle taniec daje pochop do rozmowy, zawsze znajdzie się co powiedzieć, o coś zapytać, a zwłaszcza pomiędzy młodymi. Pułkownik z całą grzecznością salonowej ogłady zapytał hrabinę po francusku:

— Jakże hrabinie wydaje się Wiedeń po Warszawie?

— Coraz mi się więcej podoba — odrzekła Rozalja po niemiecku.

— Zawstydzasz mię pani — rzeknie skromnie tymże językiem Stefan — do mnie należało ojczystą mową zapytać hrabinę.

— Mowa hrabiego ojczysta jest węgierski język, którego żałuję, że nie posiadam, a niemiecki jest etykietałny tutejszego dworu i dlatego postanowiłam sobie w ciągu pobytu mego w Wiedniu innym nie mówić.

— Ani nawet swoim własnym? — zapytał pułkownik czystą polszczyzną.

— Hrabia mówi po polsku? — rzeknie Rozalja z miłym na mówiącego wejrzeniem.

— Mówię i lubię ten język i wysoko cenię nim mówiących, osobliwie od dzisiaj.

— Dlaczegoż to od dzisiaj?

— Bo dziś poznałem Polkę, jakich może mało Polska posiada.

— Otóż to komplement dworskiej galanterji!

— Czy hrabina nie wierzy otwartości Węgrów?

— Ale hrabia tak już oddawna po obcych tylko krajach bawiać, może zapomniałeś ojczystych obyczajów i...

— O! pani! możnaż kiedy zapomnieć ojczystych obyczajów, mowy i rodzinnej strzechy? — Słowa te wymówił z takim uczuciem, z taką energją, że Rozalja westchnieniem i wymownym rzutem oka dała poznać, ile niemi była przejęta. Pułkownik ucałowaniem ręki podziękował za to wejrzenie współczucia i taniec się skończył. Odprowadzając damę na miejsce, Stefan zamówił na następny kadryl i rozmowa dalej się ciągnęła.

— Czy hrabiemu nasz kraj znajomy?

— W młodzięcym wieku mieszkałem z matką moją w Krakowie, bo ona była współrodaczką pani i zawsze dla swej ziemi ojczystej synowskie przywiązanie zachowała. I dla mnie ta ziemia droga!

— Dlaczegoż hrabio tej miłej mu krainy nie odwiedzisz?

— Obowiązki familijne i moja służba, dotąd nie dozwalały mi dogodzić sercu mojemu, ale teraz korzystając z łaskawych względów mojego monarchy, uzyskam sobie pozwolenie przepędzenia zimy w Warszawie. Czy progi hrabiny będą dla mnie przystępne?

— O! mój mąż najmilej pana przyjmie!

— Czy tylko hrabia?

— Rozumie się, że gospodyni domu nie może być obojętną dla gościa, który raczy dom jej męża bytnością swoją zaszczyścić.

Pułkownik ucałował znowu piękną rączkę hrabiny, a w tem przybliżył się hr. Fryderyk. Rozalja prezentowała mu pułkownika.

— My nie jesteśmy obcy dla siebie — rzeknie Fryderyk — między matkami naszemi blizkie nawet było pokrewieństwo.

— I wielce się tem szczycę—rzeknie Stefan—że stosunki pokrewieństwa wiążą mię z domem hrabiego.

— Eh bien! Cousin! — rzeknie śmiejąc się Rozalja — nieprawdaż Fryderyku?

— Jeśli pułkownik przyjmie od nas ten tytuł poufały.

— On mię czyni szczęśliwym nad moje spodziewanie.

— Więc w Warszawie nasz dom niech będzie strzeżoną rodziną dla pułkownika.

Pułkownik czule uściśnął podaną mu hrabiego rękę, muzyka zabrzmiała walca i Stefan puścił się po sali z hrabiną i wszystkie pary wstrzymały się i wszystkie oczy zwróciły się na tę prześliczną parę.

Cesarz rozmawiał z hr. Fryderykiem i szeroko rozwoził się z pochwałami swojego ulubieńca i najpochlebniejsze o nim nniemanie wzbudził w umyśle hrabiego. Późno już za północ bal się zakończył, cesarz wychodząc, osobno hrabinę pożegnał, co jeszcze większą dla niej atencję zjednało. Poseł przeprowadził ją aż do przysionka, pułkownik Stefan rękę do karety podał.

Hrabiną tryumfowała, ale nie wszyscy jednakowem okiem na nią poglądali, wielu damom niemieckim nie podobowała się. Między innemi baronowa Nostitz, ulubiona niegdyś Marji Teresy honorowa dama, miała córkę, która za pierwszą piękność na dworze wiedeńskim uchodziła, ale na balu posła zgasła przy hrabinie, a baronowa uczuła nieubłaganą nienawiść ku przewyższającej wdziękami jej Wilhelminę cudzoziemce. Baronowa jednak nie śmiała wydać się z uczuciami swemi przeciwko damie, której sam panujący przed najpiękniejszemi pierwszeństwo przyznawał. Zamknęła więc w sercu pałacę uczucie i skrycie tylko szukała środków pomszczenia się; nie sama bowiem zazdrość o wdzięki córki dręczyła serce Niemkini. Wilhelmina była jedną z najznakomitszych partji w Austrii i matka marzyła sobie dla niej męża w hr. Stefanie, ale hołd, jaki widocznie oddawał hrabinie na balu u posła, bódl serce starej baronowej i przebaczyć nie

mogła ani oddajacemu ten hołd, ani tej, która celem jego była.

Hrabina mało jeszcze znała okolice Wiednia. Na balu u posła cesarz zapytał: czy była w Szenbrunie?

— Nie znam jeszcze tego skarbcza bogactw botanicznych całego okręgu ziemskiego.

— To może hrabina zechcesz go zwiedzić?

— Jeśli otrzymam w. ces. mości pozwolenie.

— Owszem, ja sam będę ciceronem w oprowadzaniu hrabiny.

Hrabina głębokim ukłonem i pełnem uroku wejrzeniem podziękowała.

Czem był Szenbrun naówczas we względzie zbioru roślin obu półsierzów, to światu uczonemu wiadomo. Ani Jardin des Plantes w Paryżu, ani żaden na stałym lądzie porównywać się z nim nie mogły. Praca starego Jacquina zebrała te bogactwa, szczodrośliwość monarchów austriackich w pysznych gmachach tym przychodniom dała przytułek. Nikt z wędrowników nie opuścił Wiednia, nie zwiedziwszy Szenbrunu i każdy podziwiał skarby, jakie ten ogród zawierał. Na dzień oznaczony hrabstwo wybrali się, hr. Stefan im towarzyszył, Józefa II już zastali w Szenbrunie. Monarcha podał rękę hrabinie, weszli do pierwszej oranżerii i cesarz ukazując rośliny, piękną wymową opowiadał o ojczyźnie pokazywanych roślin, o czasie ich sprowadzenia i o szczególnych każdej przymiotach. Ale zaledwie się zaczął ten uczony i ciekawy przegląd, ledwie gmach pierwszy zwiedzili, monarcha zmuszony był dla jakiegoś interesu dyplomatycznego wracać do Wiednia. Nieprzyjemnie mu nieco było opuszczać piękną towarzyszkę, przeproszał ją i najgrzeczniej pożegnał, polecając Jacquinowi, ażeby go zastąpił. Choć hrabinie żal było ukoronowanego towarzysza, czuła się jednak swobodniejszą i hr. Stefan podał jej rękę. Długo ciągnęła się podróż po tych tropikowych na niemieckiej ziemi lasach, nakoniec wyszli na parter kwiatowy. Jacquin z najpiękniejszych zrobił dla hrabiny bu-

kiet, w którym celowała okazała strelitja i nowa zupełnie jeszcze podówczas szenbruńska róża. Pełnym wdzięku uśmiechem i grzecznym niemieckim komplementem dziękowała staremu profesorowi, który mimo wiek podeszły nie był nieczułym na wdzięki prześlicznej i tak grzecznej cudzoziemki, i wprowadził kompanję do kiosku, gdzie ich czekała czekolada i najwykwintniejsze owoce. Gdy zasiedli przy stole, hrabia poważną z uczonym profesorem zaczął rozmowę, hrabina z pułkownikiem rozpatrywali bukiet.

— Wiesz kuzynku, że chciałabym być tak piękną, jak ta róża.

— Niesłusznie tak się poniżasz hrabino! najpiękniejsza centyfolja ustąpić ci musi, chociaż jest kwiatów królową.

— Mon cousin jest wielki pochlebca! Centyfolje już spowszedniały, a róża szenbruńska jest jeszcze osobliwą nowością.

— Czy hrabina tak jest za nowościami?

— Czyż jednostajność się nie uprzykrzy? Widzisz hrabio, że jednakowy krój sukni moda zmienia; że zmieniając miejsce długiego pobytu, czujemy przyjemność; że niezmienniający się sposób życia, z czasem się znudzi.

— Czy to ma się stosować i do osób, z którymi żyjemy?

— Tak i nie. To zależy od przymiotów osób. Widzisz pan, na przykład, memu mężowi natura odmówiła wdzięków powierzchownych, pobyt z nim jednak sprzykrzyć się nie może.

— O! bo też trudno mieć tyle wynagradzających to uchybienie natury przymiotów i nie jedenby oddał swoją urodę za jego umysł i serce.

— Czyż nie można posiadać razem i wdzięków twarzy i wdzięków serca i umysłu?

— O! to tylko w płci waszej znaleźć się daje!

Hrabina chciała coś powiedzieć, ale słowa uwięzły na

ustach, spojrzała na kuzyna i oczy ich wymownie się spotkały. Hrabina wyjęła jedną różę z bukietu i podając ją Stefanowi rzeknie zeicha:

— To pamiątka szenbruńska!

— Która mię do grobu nie odstąpi! — rzeknie pułkownik, całując z czułością rękę Rozalji podającą mu upominek. Hrabina obejrzała się na męża, ale hrabia z Jacquinem zniknęli i młodzi kuzynowie nie dopiero sami, ujrzeli się sam na sam. Zakłopotana Rozalja wstała, ażeby iść za mężem, pułkownik uszanował jej pomieszenie i prosząc ażeby została, podjął się odszukać hrabiego. Rozalja, zostawszy sama, rozmyślała nad tem, co zaszło między nią a pięknym kuzynem. Rozum upominał hrabinę o pośpiech daru i spoufalenie się z cudzoziemcem, serce Rozalji za kuzynem się odzywało, hrabina jednak wzięła przewagę.

— Jestem dziś w usposobieniu rozdawania upominków — rzeknie śmiejąc się do wchodzącego męża — kuzynowi dałam różę, tobie Fryderyku tę strelitję, a pana — rzeknie, obracając się do Jacquina — proszę przyjąć tę pamiątkę! — to mówiąc zdjęła z palca kosztowny pierścień z szafirem w brylanty oprawny i Jacquinowi podała. Zachwycił piękny upominek uczonego starca i czule hrabinię dziękował, a hrabiego serce rosło na rozumny i delikatny postępek żony. Pułkownik sam nie wiedział, co myśleć o hrabinie i jaką wartość przywiązać do róży, ale jedno jej wejrzenie oświeciło go i różę do serca przycisnął.

Tego dnia wieczorem były pokoje u dworu, hrabstwo raz na zawsze mieli zaproszenie i Rozalja nigdy bytności tej nie uchybiła. W tym czasie muzyka w Wiedniu na wysokim stopniu stanęła, dość powiedzieć, że Haydn i Mozart na horyzoncie wiedeńskim jaśnieli. I na ten wieczór Mozart miał wykonać nowe swoje fantazje na fortepjan, a p. Werter, śpiewaczka niemieckiej opery, miała śpiewać arję królowej nocy z opery „Zaczarowanego fletu“, nieznanego jeszcze publiczności utworu Mozarta. Ope-

ra sama, mówią, napisana była przez cesarza Józefa, pod imieniem Schikenadera i ma ukrywać podobno krytykę tajemnic masonskich, ale muzyka Mozarta należy do arcydzieł opery i jest wiecznotrwałym pomnikiem sławy swojego twórcy. Hrabina uczyła się muzyki we Florencji i w Rzymie, lubiła grać i coraz się więcej doskonalić i można było o niej powiedzieć, że gdyby nie jej stanowisko społeczne i bogactwo, możeby, jako wirtuoz-artystka słynąć w Europie mogła. Nadewszystko ćwiczyła się w śpiewie i miała głos wielki, dźwięczny i melodią metody włoskiej dziwnie wyrobiony. Mało kto w Warszawie znał talent hrabiny, w Wiedniu ani kto się o nim domyślał. Raz tylko zszedł ją śpiewającą hr. Stefan, a jako amator i znawca, oddał hołd pięknemu z siebie i udoskonalonemu uprawą głosowi, ale Rozalja wymogła na nim przyrzeczenie sekretu i dotrzymał go aż do wieczora, o którym mówimy. P. Werter miała głos wielki, umiała go użyć w wykonaniu najsztuczniejszych pasażów, ale jej nie dostawało tej metody, którą włoskie śpiewaczki celowały. Po prześpiewaniu arji i obsypaniu śpiewającej oklaskami, cesarz przybliżył się do hrabiny.

— Hrabino!—rzeknie—nie zechcesz może odmówić nam przyjemności usłyszenia twojego śpiewu.

— Śmieszaby była i niepotrzebna moja skromność w ukrywaniu się z tem, czego mię nauczono, ale racz w. c. m. sam przyznać, że występować ze śpiewem obok panny Werter byłoby jeszcze śmieszniejszą zarozumiałością.

— Prawdziwy talent żadnej z tych śmieszności nie podpadnie. My wiemy, że hrabina śpiewa!

Hrabina domyśliła się, że Stefan sekretu jej nie dotrzymał, surowo spojrzała na niego, ale oczy pułkownika tak go dzielnie broniły, że hrabina uśmiechnęła się i wezwanie cesarskie przyjęła. Usiadła do fortepianu i po pierwszych akordach, w których biegłość jej zajaśniała,

Mozart postąpił ku niej z uszanowaniem i zapytał, co sobie do śpiewania podać każe.

— Coś z włoskiej muzyki, bo z jej metodą więcej jestem oznajomiona. Mozart podał jej Cimarosa. Hrabina z początku zcicha śpiewała, ale ośmielając się coraz, coraz głos podnosiła, coraz więcej dodając mu uczucia i energii. Mozart zachwycał się słuchając, i nie będąc panem swojego umiesienia, na cały głos pochwały śpiewającej wykrzykiwał. Po skończonym śpiewie, cesarz dziękując hrabinie, rzekł:

— Tryumfujący wspaniałymi być powinni i hrabina przebaczy winowajcy, który jej sekretu nie dotrzymał.

— Jakże nie przebaczyć, kiedy tak dzielny patron sprawy pułkownika broni. W. ces. m. masz pełne prawo rozkazywać, a nam miło spełniać najwyższą jego wolę.

— Przybliź się więc pułkowniku odebrać łaskawe przebaczenie.

— Któreś winien przeważnemu wstawieniu się twego wielkiego monarchy.

— A może i powodzeniu świetnemu obrażonej — rzeknie jej zcicha hr. Fryderyk z uśmiechem. Rozalja za całą odpowiedź ucałowała rękę męża. Pułkownik był pod urokiem, jaki wdzięki, rozum i takt Rozalji na niego wywarły.

Ale i baronówna Nostitz śpiewała i sam Mozart lekcje jej dawał. Baronowej chciało się, aby i córka jej popisywała się także; napróżno Wilhelmina wypraszała się u matki, baronowa przez Mozarta wyrobiła to, że cesarz Wilhelminie śpiewać kazał. Pewna była Niemka niższości swego śpiewu od polskiej damy, śpiewała jednak i pięknie śpiewała, Rozalja siedziała przy niej, sama jej karty nut przewracała, a po skończonym śpiewie, uściskała Wilhelminę i prosiła, ażeby we dwie co zaśpiewały. Mozart podał swój duet z „Zaczarowanego fletu“: „Die Menschen welche Liebe fühlen“. Hrabinie obca była ta muzyka, przebiegła jednak wejrzeniem całą i bez żadnej próby, dru-

gi głos ślicznie wykonała i tem śpiew towarzyszki jeszcze podniosła. Umiała to ocenić baronówna, ze łzami prawie dziękowała Rozalji i powzięła dla niej najprzyjaźniejsze uczucia, stara nawet baronowa nieco ze swojej zawziętości ustąpiła.

Cesarz Józef oddawna układał sobie ożenić faworyta z Wilhelminą, bo chociaż baronowej nie lubił, córce jednak sprzyjał i przez pamięć na zasługi barona losem osieroconej szczerze się zajmował. Ale pułkownik żadnej skłonności ku pięknej Niemce nie czuł, a od poznania polskiej damy, jeszcze obojętniejszym się okazywał, grzeczności jednak przyzwoitej nie uchybiał. Widząc cesarz, w jak blizkich stosunkach byli hrabstwo z pułkownikiem, żądał ażeby mu w swatowstwie dopomogli. Hrabia podjął się tego zamiaru i mówił o nim żonie. Zmieszana się Rozalja, ale potrafiła ukryć swoje pomieszanie i spokojnie, prawie zimno odrzekła:

— Prawda, że byłaby to para dobrana, ale czy cesarz zbadał ich serca, czy znalazł w nich skłonności wzajemne?

— Czyż wszystkie małżeństwa skłonność kojarzy?

— Niesprawiedliwy jesteś Fryderyku! czyż o mojem przywiązaniu powątpiewasz, czy w niem dostrzegłeś zmiany?

— O! grzeszyłbym podobnem powątpiewaniem! wierzę w twoją przyjaźń i nowego jej od ciebie domagam się dowodu.

— Ażebym cię jeszcze więcej upewniła o moich uczuciach, wszystko co żądasz uczynię.

— Więc pomóż mi swatać Stefana z Wilhelminą.

Te słowa dały poznać Rozalji, że nie obce mu były stosunki jej z pułkownikiem i, że tak delikatnie chciał usunąć nieprzyjemne ich następstwa. Spojrzała w oczy męża, ale wyraz ich—była czysta spokojność. Chwyliła więc jego rękę i z rozrzewnieniem całując:

— Fryderyku!—rzeknie—nie taję, że kuzynek bar-

dzo mi się podobał, bo jak nie ma się podobać młody człowiek, za którym wszystko mówi, ale niema tu jeszcze żadnego namiętnego uczucia, a twoje ze mną postępowanie pozory nawet usunie.

— Rozaljo!—odpowie z czułością hrabia—uwielbiam twoje wdzięki, ale uczucia twoje jeszcze cię droższą sercu mojemu czynią. Dotąd nic ci nie mam do zarzucenia i pewny jestem, że nic podobnego nie dostrzegę. Ale ja znam siebie, znam ludzi, znam kobiety. Twoje serce jest jeszcze wolne i w tem sercu może się zająć obcy ci jeszcze płomień, na ten czas zrób Fryderyka twoim powiernikiem, on ci nieś będzie pociechy i rady braterskie.

Za całą odpowiedź hrabina rzuciła się w objęcie męża i uściśnienie wzajemne położyło pieczęć zgody i uinności małżeńskiej.

Ale swatowstwo nie szło ładem, pułkownik zawsze w żart je obracał, trudno z nim było do stanowczej przyjść rozmowy. Tymczasem czas uchodził—hrabina zachowała z kuzynem całą poufałość wyższego tonu, ale w wydaniu się z uczuciami była ostrożną. Uczucia te jednak tlały w głębi serca. W tym ciągu pułkownik odebrał rozkaz od cesarza udania się na jakieś ważne stanowisko. Przed wyjazdem odwiedził hrabstwo. Rozalja wiedziała od męża o wyjeździe kuzyna, uzbroiła się męstwem i z wesołem prawie wejrzeniem rzekła do wchodzącego:

— Dobrze, że wyjeżdżasz kuzynku, bo i nasz pobyt już w Wiedniu niedługi. Nie zostawiając tu nikogo z przyjezdnych, mniej tęsknić za Wiedniem będę.

— Ale kuzynku—ozwie się hrabia—nie zapominaj obietnicy, zima twoja w Warszawie.

— Pragnąłem hrabjo! i czekałem tego przypomnienia.

— Miałbyś go potrzebować? Czyż i tam nie znajdziesz stolicy i dworu, czyż tam cię nie czeka przyjazna rodzinna strzecha?

— O! wiem to i ocenić umiem, i ta strzecha jest podobno jedynym celem podróży mojej do Warszawy.

— Więc, sans adieu—rzeknie wesoło Rozalja podając rękę kuzynowi, którą on całując uczuł lekkie ściśnienie swojej, spojrział na hrabinę, w jej oku była łza, łza nadziei dla niego. Bez żalu więc opuszczał Wiedeń, owszem przyspieszył wyjazd, marząc o nieznaney mu Warszawie, o zimie, o pobytcie pod strzechą pokrewnych.

ROZDZIAŁ IX.

Miesiąc jeszcze przedłużył się pobyt hrabstwa w Wiedniu; wracając odwiedzili swoje dobra w Galicji i dopiero w grudniu przybyli do Warszawy, miło u dworu, uprzejmie od znajomych witani. Rozalja natychmiast swego Stasia wzięła do siebie i szczerze się wychowaniem jego zajęła. Król, pomny pomyślnie przez hrabiego spełnionej misji i wielbiciel wdzięków hrabiny, ze szczególną dla obojga był grzecznością. Tymczasem zima posuwała się, karnawał przedadwentowy wesoło upłynął, ale oczekiwany kuzynek nie przyjeżdżał. Czuli to w sercu Rozalja, ale tęsknotę ukryć umiała i nie wspomniała o kuzynku. Zauważył to hrabia i cieszył się z przytłumienia w sercu żony rodzącej się skłonności i jeszcze więcej dla niej był wylanym. Hrabinę otaczały roje najpierwszej w stolicy młodzieży, ale była z nimi na tonie wesołej powagi, przyjmując zarówno każdego uwagę, a nie pozwalając zbliżenia mającego prawo do poufałości, i tem postępowaniem zjednała sobie uszanowanie młodych i powszechny szacunek. Zalotny Stanisław August nie lepiej od innych był traktowany; wszystkie piękne słówka królewskie pełnemi uszanowania zbywała żartami i dziwił się król, że dama piękna, mogąca mu się podobać i wziąć górę nad drugimi i może nad nim samym, zalotom jego oprzeć się zdołała. Ta stałość hrabiny jeszcze więcej drażniła uczucia, może nawet prawdziwe w sercu jego, i postanowił sobie wszelkiemi sposobami obojętność Rozalji

zwyciężyć. Ale ona grzeczności przyjmowała obojętnie, obojętność płaciła żartami. Król wiedział, jakie wrażenie Rozalja zrobiła w Wiedniu, wiedział i o tem, że zimny dla płci pięknej Józef uczuł przewagę wdzięków hrabiny, umyślił więc wywyżżyć ją nad wszystkich i drogą dumy trafić do jej serca.

Na Nowy Rok był bal u dworu. Hrabina okazała się w całym bogactwie wdzięków swoich i klejnotów i wszystkie piękności stolicy zaćmiła. Król oczekiwał na nią z rozpoczęciem balu; skoro weszła, powitał ją wymówką za opóźnienie.

— Pierwsza gwiazda stolicy tak późno dziś wschodzi na naszym horyzoncie!

— Czyż słońce nie znajduje na tym horyzoncie tyle gwiazd świetniejszych?

— Wszystkie one nikną, słońce nawet samo ciemnieje przed blaskiem twoim hrabino!

— O! to zapewne od blasku klejnotów mojego męża, których tyle na siebie naczepiałam.

— Czyż tych kamyków świetność może co przydać piękności osoby?

— N. Panie! — rzeknie z uśmiechem hrabina — podani w. k. mci oczekują pozwolenia rozpoczęcia balu.

— Sam go rozpocznę i służę hrabinie.

Poszli w pierwszą parę narodowego. Król zwrócił całą uwagę na twarz hrabiny, badając, jakie uczucia zaszczyt jej zrobiony wywoła, ale nie dostrzegł żadnego szczególnego wrażenia, żadnego śladu dumy, a na komplementa w czasie tańca zwyczajem swoim odpowiadała. Po skończonym polskim tańczowano menueta, jeden z Lubomirskich zaprosił hrabinę, Rozalja w menuecie wszystkie damy przewyższyła. Król w głowę zachodził i bodaj czy w sercu jego nie pojawiło się uczucie prawdziwej miłości. Pani Krakowska stała blisko hrabiny i po skończonym tańcu posadziła ją koło siebie, gdzie wkrótce i król się przysiadł. Rozalja w myśli porównywała pięknego króla z pięknym kuzynem, i na tem porównaniu

król tracił. Mało tańczyła hrabina i wcześniej od wszystkich z balu zniknęła. Nazajutrz Stanisław August odwiedził hrabstwo. Wizyta panującego zwykle wielkie wrażenie sprawia i na odbierających wizytę i na jej świadkach. Tegoż samego dnia cała Warszawa wiedziała o tych odwiedzinach i tegoż dnia drzwi hrabstwa nie zamykały się od wizyt. Gdyby sama дума władała sercem Rozalji, możeby nad panującym panowała, ale w naturze ludzkiej jest pewne usposobienie magnetyczne dla bliźnich, iż mimowolnie czasem czujemy pociąg, albo odrazę do pewnych osób i w takim usposobieniu była Rozalja względem króla, i kiedy wiele dam ubiegało się o pozyskanie względów j. k. mości, Rozalja unikała go tak dalece, iż często bardzo pokoje dworu nie oglądały jej na świetnych nawet zebraniach. Ale i nienawiść, równie jak miłość w sercu kobiety niestała.

— Róziu! — mówił raz hrabia do żony — ty się tak często absentujesz u dworu, że mi to już król wymawiał.

— Ach Fryderyku! ten twój król tak mi nieznośny, że czuję się szczęśliwą, kiedy widzieć go nie mogę.

— A z cesarzem Józefem lubiłaś przestawać.

— Bo nie miał pretensji podobania się.

— Przyznaj jednak, że Stanisław ma powierzchowność więcej ujmującą od cesarza.

— I zarozumiałość, że nie masz kobiety, któraby jego wdziękami olśnioną nie była.

— Ale jego wzniosły umysł, rozum, ukształcenie?

— Tak! dostateczne dla p. stolnika, ale korona Piastów i Jagiellów, coś nie do twarzy na głowie tego ukoronowanego szlachcica.

— Czyż to on pierwszy ze szlachcica monarchą?

— O! nie równaj-że go z tamtymi! Maż on cnoty Leszczyńskiego, albo męstwo bohaterskie Jana III? Samolub, z sercem zużytem, do żadnego heroizmu niezdolny! Widziałeś go z szablą w ręku dowodzącego walecznym swoim rodakom?

— Bo jeszcze mu do tego nie zdarzyła się sposobność.

— O! pewna jestem, że w takiej sposobności na konia nie wsiedzie.

— Źle trzymasz widzę o Stanisławie. Ale niech to zostanie między nami. Nie masz potrzeby w tym ukoronowanym szlachcicu, jak go nazywasz, robić sobie nieprzyjaciela.

— Alboż nam łaska jego na co potrzebna? Czyż cię drugie dwory nie znają?

— Ale ziemia, nad którą on panuje, jest nasza ziemia ojczyzna.

— Na ten raz żałuję, żem nie cudzoziemka.

Roześmiał się hrabia na to uniesienie żony, w duszy i on widział wszystkie niedostatki Stanisława, ale dyplomata, umiał zachować w sobie sąd, jaki mu rozum i znajomość ludzi o królu podawały. Nie był pochlebcą, umiał utrzymać zdanie swoje, chociaż niezgodne ze zdaniem królewskim, ale nigdy nie dotknął własnej miłości króla, której obrazę nienawiścią jego opłacić było potrzeba.

— Róziu! — rzeknie całując rękę żony, — zrób to dla mnie, ukrywaj twój wstręt, dworu nie zaniedbuj. Zima już niedługa, na wiosnę wyjedziemy na wieś i uwolnisz się od tej przykrej dla ciebie powinności.

— Wielka to ofiara! Aleś ty dla mnie tak dobry! Niech się stanie życzeniu twemu zadość.

Po tej rozmowie, hrabina znowu częściej u dworu się zjawiała, nie zmieniając ani swego postępowania, ani obchodzenia się z królem. Król pokazał się obojętnym, hrabina, niby nie poznając się na tem, była wesoła, uprzejma dla wszystkich zarówno, i Stanisław podejrzewający, że kimś zajęta, przekonywał się, że jej serce wolne i znowu podwajał swoje dla hrabiny grzeczności. Karnawał szedł wesoło, mnóstwo balów jedno po drugich następowały. Rozalja bywała na wszystkich, ale czy to już może było przesylenie, może też wymarzonego z wiedeńskich tan-

cerzów brakowało, dość, że mniej tańczyła i ze wszystkich wieczorów wcześniej znikwała.

W owych czasach bywał u nas rodzaj zgromadzeń publicznych redutą zwany, odpowiadający zupełnie dzisiejszym kasynom, na których każdemu bywać wolno było. Ale reduty bywały dwojakie, jedne, że tak nazwę, arystokratyczne, gdzie obecność osób wyższej dystynkcji nadawała zebraniu więcej przyzwoitości i etykiety, drugie były to istotne szusterbale, w Wilnie dla różnicy od redut wyższych wieczorynkami zwane. Wyższe osoby na reducie zwykle w maskach bywały. Na wieczorze u pani Krakowskiej król i całe towarzystwo uprojektowali być na czwartkowej reducie. Stanisław zapytał:

— Czy hrabina była już na której reducie?

— Dotąd na żadnej jeszcze n. panie.

— Więc na następną zechcesz nam dotrzymać kompanji.

— Jeśli mój mąż zgodzi się na to.

— Hrabio! spodziewam się, że do naszego projektu należysz? Hrabina zdała się na waszą decyzję.

— Jeśli tak się w. k. mości podoba, będziemy służyć — odpowiedział Fryderyk.

— Hrabino! trudność rozwiązana. Jakież będzie kostium hrabiny?

— Nad tem n. panie wcale jeszcze nie myślałam. Kilka dni do czwartku wystarczy na obmyślenie i wygotowanie ubioru.

— Hrabina chce być niepoznaną, tai się ze swoim przebraniem, ale my mamy nader czujną naszą tajną policję.

— Od której wpływu damy wyjątek stanowią.

— Czyż damy nie liczą się poddanemi monarchy?

— „Siete serve, ma regnate, nella vestra servitu“ powiedział o nas podobno Metastasio!

— Brawo Signora! Niepodobna było stosowniej cytować myśli tego słodkiego śpiewaka. Przytoczenie to z pamięci mojej nigdy nie wyjdzie. — To rzekłszy poca-

łował rękę hrabiny i to było pożegnanie i z wieczora kompanja się rozjechała.

Wróciwszy do domu hrabina oświadczyła mężowi, że istotnie nie chce być poznana, i żąda, ażeby i w domu nie wiadziiano, jak będzie ubrana. Nie przeciwił się hrabia i tak wszystko przygotowano, że ani u żadnej modniarki nic nie wzięto, ani żadnego krawca nie przywołano. Właśnie w tych dniach przybyła do Warszawy starościna Zagórska, krewna hrabiny, i u niej zamieszkała, ją wzięła hrabina do motji i z nią i z wierną panną służącą we trzy pracowały nad wygotowaniem kostiumu. Każda z osób do maskarady należących, znając kosztowne szale, perły i klejnoty hrabiego, wyobrażały sobie, że strój hrabiny jaśnieć będzie jej bogactwem; Rozalja to odgadła, przysposobiła sobie strój mołdawski, skromny, ale gustowny i nowy. Ciekawość prowadziła licznych gości do hrabstwa, ale wizyt nie przyjęto; taż ciekawość nasłała hrabinie pierwszą modniarkę Lazarowiczową, która cały tuzin najstrojniejszych kostiumów z sobą przywiozła, ale Rozalja podziękowała i oświadczyła, że ma już ubiór z Wiednia sprowadzony i tajemnica zachować się musiała. Nadszedł czwartek, cała Warszawa wiedziała, że król będzie na reducie, sadzono się więc na wytworność ubiorów, jakoż nieprzeliczone narody wszystkich części świata, cała mytologia, sławni z różnych epok ludzie i czarnoksiężnicy i różne fantastyczne maski napełniały salę. Król Stanisław w ulubionym swym hiszpańskim stroju (w którym go pani Lebrun malowała) odziany ogromnem czarnem aksamitnem domino, w wielkim sombrero z kilku białymi piórami, odrazu był poznanym. Króla interesowała tylko hrabina i do każdej bogatej maski przypytywał się, ale zawsze zawiedziony, w głowę zachodził, nie mogąc odgadnąć kostiumu Rozalji. Tymczasem dwie Mołdawianki skromnie sobie wśród tego strojnego zgromadzenia chodziły. Długie i obszerne batystowe, bogato i gustownie haftowane koszule, opasywały bogate z materji tureckiej, złotym sznurem w pasie zwią-

zane zapaski, z podobnejże materji kacawejki ścięte w stanie całą kształtność kibici odkrywały, na nogach czarne trzewiki złocistą taśmą zasnurowane, na szyi mnóstwo kosztownych koralii z mnóstwem złotych krzyżyków, medali i innych wiszątek. Masek nie miały i tylko muślin cienki okrywając głowy i twarze osłaniał. Z początku nikt ich nie śledził, i przechadzając się swobodnie innym się maskom przypatrywały, ale nareszcie król przejrawszy wszystkie bogate maski i nie znajdując, czego szukał, zwrócił uwagę na hrabiny nowy kostium. Wytworna prostota i gust ubioru zastanowiły go: „Może to hrabina“ pomyślał sobie, zbliżył się do prawej maski i nie zmieniając głosu zapytał: „Maska zna mię?“

— Z portretu.

— Czy z nad brzegów Dniestru przybywasz tu piękna Mołdawianko?

— Z nad prawego brzegu tej rzeki.

— Więc nie z Pobereża?

— Nie mam szczęścia być poddaną w. k. mości.

Król się zamyślił, tymczasem do lewej maski zbliżył się magnat polski z Bolesławowskich czasów i z uszanowaniem zapytał, czy maska zna go. Maską wstrząsnęła głową, magnat wziął rękę maski i napisał „Rozalja“. Ona to była w istocie i napis ją nie zadziwił, bo imię jej wiadome było wszystkim w stolicy, nie mogła jednak odgadnąć, ktoby to był ze znajomych.

— Nie poznajesz mię piękna Mołdawianko? Choć mój ubiór nie jest zupełnie obcy mojemu rodowi.

— Alboż maska nie jest moim współziomkiem?

— Sercem jestem, ale rodziłem się na innej ziemi.

— Skąd mię znasz?

— Czyż piękność prawdziwa w swoim tylko kraju ma być znajoma? czyż i obcym niewolno jej uwielbiać?

— Tłómacz się jaśniej masko!

— Jeśli słowa niejasno rzecz tłómaczą, to moje przedmioty łatwiej ją objaśnić potrafią. To mówiąc, dobył z zanadru świeżą szenbruńską różę i podał ją hra-

binie. Rozalja ledwie się wstrzymać mogła od głośnego wykrzyknienia i ściskając rękę maski „Cousin!“ rzecze. Król niezadowolony rozmową z prawą maską, zwrócił uwagę na lewą i rozmawiającego z nią Polaka. Widział w ręku Mołdawianki podaną różę, słyszał coś z ich rozmowy i nie wiedział, co o tem myśleć. Domyślał się, że drugą Mołdawianką musi być hrabina, ale któż ta, z którą rozmawiał, kto jest ten Bolesławowski magnat, ofiarujący zimą tak piękne kwiaty? Poddany to, czy nie, skąd i co tu robi? i w tych myślach przechodzi na stronę magnata i zapyta po polsku: „Czy maska jest moim rodakiem?“

— Nie, jestem Hiszpanem — odpowie maska po hiszpańsku.

— A jednak jesteś cudzoziemcem w naszym stroju.

— Zaszczycem to dla mnie, że choć w masce przynajmniej tym szanownym strojem odziać się mogę.

— Więc nie jesteś Polakiem?

— O to i ciebie masko mógłbym się zapytać.

Król uczuł przycinek, ale maskom wszystko wolno mówić, ciągnął więc dalej rozmowę. — „Czy znasz mię masko?“

— Nie, ale po wspaniałej postawie i bogatym stroju, wnoszę, że z kimś dystygowanym mam zaszczyt mówić.

— I chciałbyś mię poznać?

— Dłuższy mój pobyt w polskiej stolicy może mi ten honor nadarzy?

— Czy w twoim kraju masko i zimą kwitną różę?

— Dla piękności i cnót wszędzie i zawsze kwitnąć powinny.

— A u nas nie kwitną!

— Bo, albo nie wierzycie w cnoty waszych piękności, albo żałujecie kosztu na wieńce dla nich.

— Czyżby król żałował kosztu!

Pułkownik po tych słowach poznał z kim mówi i uchylając głowy:

— Cześć królowi polskiemu! — rzeknie.

— Więc jesteśmy znajomi! Twój ród masko?

— Zanadto wysoko cenię majestat w. k. mości, ażebym się miał prezentować w masce. W miejscu przyzwoitem złożę hołd winny w. k. mości. — Królowi podobały się odpowiedzi maski, ścisnął ją za rękę i oddalił się, bo nie miał za rzecz przyzwoitą odsunąć go od hrabiny. Pułkownik zapytał Rozalji: — „To wasz król?”

— Czyż trudno go poznać? Najzalomniejszy i najzarozumialszy z monarchów; człowiek bardzo pospolicity.

— Mówią, że światły i uczony.

— Dotąd jednak światło jego niewiele kraj oświeciło.

— Piękny z twarzy i z postaci.

— Aż nadto wie o tem, i starannie piękność swą utrzymuje.

— Kuzynka bardzo niepoehlebnie wyraża się o swoim monarsze, o następcy Chrobrych i Jagiełłów.

— Bo, niestety! tytuły ich tylko posiada.

Hasło do tańców przerwało rozmowę. Wszyscy oczekują, kto tańce otworzy, wszystkich oczy zwrócone na Hiszpana, kogo wyborem swoim zaszczyci, Hiszpan podał rękę skromnej Mołdawiance i wszyscy łamią sobie głowy nad tem, kto jest ta szczęśliwa dama.

— Hrabina umiała utrzymać w tajemnicy swój kostium i wybornie się udało,—rzeknie Stanisław August.

— Bo my, n. panie, posiadamy pewien instynkt, który nas ostrzega, co nam się udać może, a co nie.

— A gdzie idzie o podbicie czyjego serca?

— I to nawet, jeśli widzimy, że to serce na podbicie zasługuje.

— A hrabina nie myślała też kiedy o podobnej konkiecie?

— Czyż mi nie dość na sercu mojego Fryderyka?

— A może jeszcze i o jakie cudzoziemskie serce idzie hrabinie?

— Prawda, na dworze w. k. mości mnóstwo cudzo-

ziemców, którymby faworów monarszych pozazdrościć można, ale ich podbijać? Nie.

— Braknie może jednego, hrabina domyśla się?

— Bynajmniej. Racz w. k. mość go wymienić.

— Tego, który wśród zimy pięknymi różami damy nasze obdarza.

Rozalja przygotowana była do tych słów, nie zmieszana więc odrzeczła z uśmiechem pokazując różę:—Ten? to mój kuzyn.

Tu się król zmieszał, ale poprawiwszy się, rzecze do hrabiny:

— Spodziewam się, że go hrabina zechce prezentować u dworu?

— On ma dość osobistej wartości i nie potrzebuje być przez nikogo prezentowanym, a tembardziej monarsze tak umiędacemu ludzi ocenić. Moje wdanie się, nie mogłoby wcale podnieść go w oczach w. k. mości.

— Mylisz się hrabino! właśnie, że jej sąd o ludziach i charakterach tak trafny znajduję, że więcejby na nim polegał, niż na zdaniu wielu i wielu naszych senatorów.

— O! to za wiele łaski w. k. mości dla kobiety, która niczem jeszcze nie miała szczęścia zasłużyć sobie na tak pochlebną opinię.

— Czemże są względy monarsze obok względów pięknej i wzniosłemi uczuciami obdarzonej damy? Nas otacza rój interesowanych, damie hołduje każdy, umiędacący ocenić wdzięki jej postaci i jej serca przymioty.

— Czyż każdy jest dla nas tak pobłażający, jak nasz dobry monarcha.

— A przecież hrabino pojąc go nie chcesz.

— Owszem najjaśniejszy panie, pojmuję w nim ojca mojej ojczyzny.

— I nic więcej?

— Czyż ten tytuł nie jest najświetniejszy?

— Ale najczęściej jest tylko dworskim komplementem.

— Ale nie w ustach brzydzącej się pochlebstwem kobiety.

— Jakże byłbym szczęśliwy, gdyby w tych słowach odbijało się uczucie serca hrabiny!

— Czyż serca Polaków i Polek nie są własnością w. k. mości?

— Własność jest wtedy dopiero własnością, kiedy nią swobodnie zarządzać możemy.

— Czyż w. k. mość nie rzadzisz nami?

— Biorę cię za słowo hrabino! jesteś moją własnością!

— O ile to się zgadza z godnością monarszą i z moją osobistą godnością.

— Czyż monarsze serce ma być inne, jak drugich? Czyż cel powszechnych uwielbień dla króla ma być tylko obojętny? — Hrabino! chciałbym nie dźwigać korony, możebym wtedy mniej tracił na porównaniu z twoim kuzynem.

— N. panie! czas skończyć taniec. Za długo ciągnie się nasza rozmowa.

— Czy ta się przykrzy hrabinie?

— Wcale nie, ale może być niebezpieczną. — To mówiąc, głębokim ukłonem i przyjaznym wejrzeniem podziękowała za taniec. Król odprowadził ją na miejsce, gdzie najpierwsze damy siedziały, w sercu jego zabłysła nadzieja. Ale Rozalja ani myślała o królu, a wszystko, co mu powiedziała, było dworszczyzną, było głosem i nic więcej. Rozalja była zajęta niespodzianem zjawieniem się Stefana, szukała go oczyma, może i sercem, i wróciwszy do swojej motji, swobodniej przechadzając się znalazła tego, który z jej myśli nie schodził. Pułkownik ją do następnego tańca zamówił. Wszyscy już byli bez masek, królowi ubiór hiszpański dodał wiele piękności, Stefan nie mógł oczu oderwać od tej wspaniałej i pełnej wdzięku

postaci, ale i sam ściągnął na siebie uwagę Stanisława; bo wyznać potrzeba, że w tem liczmem zgromadzeniu im dwum nikt w piękności wyrównać nie zdołał. Jednakże ich było dwóch, a hrabina jedna przewyższała wdziękami wszystkie damy, i ci dwaj najpiękniejsi najpiękniejszej byli wielbicielami. Pułkownik zaprosił hrabinę do mazurka, a w tym tańcu w Warszawie, równie, jak w Wiedniu w walcu, para ta wszystkich zachwycała. Hrabia Fryderyk ani oka nie spuszczał z żony, zauważył rozmowę jej z królem i taniec z pułkownikiem. Znał on oddawna Stanisława Augusta, znał jego wszystkie przymioty i wady. Wiedział, że w zalotności nikt mu nie wyrównał i że nikt nie umiał tyle użyć możliwych środków dla dopięcia swojego celu. Lubo był pewnym wyniosłości Rozalji, nie ufał jednak sercu kobiety, wystawionej na zalotność pięknego postacią i umysłem człowieka, a do tego monarchy. Postanowił więc sobie, dla przerwania stosunków, jakieby wynikać musiały z jego wyższego u dworu położenia, uchylić się na czas jakiś ze stolicy.

Nazajutrz po opisanej reducie, hrabina długo spoczywała. O południu, kiedy z mężem siedzieli przy śniadaniu, oznajmiono hr. Stefana. Hrabia wyszedł na powitanie dostojnego gościa, hrabina z pełnym wdzięku uśmiechem podała rękę miłemu kuzynowi. Skoro usiedli, hrabia Fryderyk zapytał pułkownika?

— Cóż cię tak długo i gdzie zatrzymało? Zima już prawie przy końcu, a ty się dopiero zjawiasz? Nie dotrzymałeś obietnicy i pozbawiłeś nas wiele przyjemności.

— Nie moja w tem wina, kochany hrabio! Jeszcze przy was wysłany umyślnie przez cesarza wyjechałem z Wiednia. Spełniwszy polecenia mojego monarchy i załatwiwszy własne interesa, pierwszych dni grudnia byłem już swobodny, a zadowolony monarcha dał mi paszport i list do waszego króla. Ale inaczej wypadło. W Karyntji zaszły jakieś nieporozumienia między rządem a krajowcami. Józef II polecił mi zbadanie i uspokojenie tej

sprawy. Rzecz z siebie mała, wiele mi jednak zajęła czasu, nim Karyntczyków do porozumienia się z urzędnikami koronnymi przywiódłem, kilku nawet od urzędowania usunąć potrzeba było. Cesarz raczył łaskawie zatwierdzić moje postanowienia i wynagradzając moją gorliwość uwolnił mię od służby na kilka miesięcy i pozwolił mi jechać do Warszawy. Przebaczycież mi teraz uchybienie danego słowa?

— Z całego serca! przyczyna uchybienia nam jeszcze cię więcej w oczach naszych podnosi.

— Kiedyż na naszym dworze prezentować się będziesz?

— Nie chciałbym długo tej sceny dworskiej odkładać, bo już wczoraj Stanisława Augusta poznałem.

— Jakże ci się wydał? — zapyta hrabina.

— Dziwnie piękny mężczyzna i ma coś wspaniałego i ujmującego w całej swojej postawie.

— I oczarował cię?

— W istocie, może oczarować. Co za układność, co za dostojny sposób wyrażania się w mowie. W tym względzie przewyższa naszego Józefa.

— Szkoda tylko, że to wszystko jest wystudjowane i że nic naturalnego w tym wielkim aktorze nie znajdziesz.

— Ach Róziu! — rzeknie Fryderyk — cieszyłem się wczoraj, widząc się uprzejmie rozmawiającą z królem, mniemałem, że i w mowie o nim mniej będziesz ostrą, ale widzę, że się nie chcesz poprawić i to mię martwi, bo choć łaski jego w niczem nie potrzebujemy, przecież nie chciałbym mu się narazić. Wierzaj mi, ukoronowany nieprzyjaciel straszny! Bo za nim ciągnie długi szereg dworaków, dla których humor monarchy jest wskazówką obchodzenia się z nami.

— Przebacz, Fryderyku, ale ja go cierpieć nie mogę.

— Strzeż się! moja Róziu! ażebyś z tej ostateczności w drugą nie przeszła. Jako król — możliwy, jako męż-

czyzna — zalotny i nie jednym tryumfem ośmielony, czegoż nie użyje dla dopięcia swego zamiaru? I tyle innych, równie może, jak i ty srożących się piękności, upadły!

— O to nie lękaj się. Gdybym miała uleść kobiecego serca słabości, szukałabym serca mniej zużytego i charakteru prawdziwego mężczyzny, może nawet nie na ojczyznej ziemi.

— Dlaczegoż to, kuzynko? — zapytał pułkownik.

— Bo tu cała młodzież małpuje, że tak powiem, i manieri i obyczaje swojego monarchy.

— Uprzedzenia kobiet, mój Stefanie, trudniejsze są do zwalczenia, niż Hajdamaki i Tatary. Moja żona zaś w tym względzie jest prawdziwą kobietą.

— Bronić się nie mam czem przeciw zarzutowi. Jestem kobietą ze wszystkimi jej ułomnościami.

— I ze wszystkimi zaletami płci twojej! — rzecze Fryderyk. Rozalja, przyciskając z uczuciem do ust rękę męża, odpowie:

— Pod twojem okiem i twoimi radami wsparta, czuję się więcej, niż zwyczajną kobietą.

Wtem oznajmiono pazia królewskiego i wszedł Turkul w całej paradzie stroju, z wytwornym koszykiem, w nim celowała ledwie rozkwitła szenbruńska róża:

— N. pan zapytuje o zdrowie hrabiny i prosi, aby raczyła przyjąć te kwiaty.

— Nie mówiłem ci, — rzeknie Fryderyk zcicha do żony, — że wszelkich użyje sposobów dla dojścia do swego celu?

Hrabina zapłonila się i spoglądała, to na bukiet, to na męża, to na kuzyna, w którego oczach był smutek, ale w moment zebrawszy myśli, ozwie się do pazia:

— Z najczulszą wdzięcznością przyjmuję te kwiaty i drogo cenię uczucie, z jakim dar mi posłany. Racz wmpan, proszę, złożyć j. k. mości najuniżeńsze moje podziękowanie, nim mieć będę szczęście osobiście to do-

pełnić. — paż nizko się skłonił i wyszedł, pozostali, po-
glądali na siebie w milczeniu.

— I cóż ty na to kuzynku? — rzecze po chwili hra-
bina.

— Że wasz król umie trafić w myśl i gust dam, na któ-
re siedełka zastawia!

— Otóż mylisz się, i bardzo mylisz. Te kwiaty tak
są wyforsowane, jak i uczucia, które posłanie ich na-
tchnęły, a ta róża tam tylko dla mnie ma wartość, skąd
imię dostała, lub z rąk bezinteresownej przyjaźni. — To
mówiąc, rzuciła różę w kominek i wskazała na wczoraj-
szą umieszczoną w pysznej kryształowej flaszcze. Fryde-
ryk śmiał się z uniesień żony, Stefan ledwie ukryć zdołał
wzruszenie, chwycił rękę Rozalji i niosąc do ust, zawołał:

— O nieoceniona hrabino!

— Teraz Fryderyku! kiedy n. pan tak daleko pre-
tensje swoje posuwają, to ja ciebie proszę, usuńmy się na
czas z Warszawy.

— Zgoda! — rzeknie hrabia, wczoraj odebrałem we-
zwanie od dworu drezdeńskiego w interesie, król mi na-
wet sam o tem wezwaniu powiadał. Kończy się karnawał,
za kilka dni wyjedziemy.

— I pewnie żądał, ażebyś żonę w Warszawie zo-
stawił?

— Coś nakształt — rzeknie śmiejąc się hrabia.

— O! nic z tego n. panie! wyjazd przyśpieszymy.

— A kuzynka zostawimy w Warszawie?

— Mogęż wam towarzyszyć, nie ściągając na sie-
bie uwagi?

— O Fryderyka bądź spokojnym, a jeśli kto tu weź-
mie nam za złe, żeśmy cię wywieźli, ten odgłos nas nie
dojdzie.

— Nie, ozwie się hrabia, — nie wypada, ażeby Ste-
fan, ledwie pokazawszy się w Warszawie, zaraz zniknął.
Owszem, niech tu jakiś czas zabawi, a jeśli serce wskaże

mu potrzebę być z nami, i w Dreźnie znajdzie u nas strzechę rodzinną.

— Wątpię — rzeknie hrabina, — czy zapoznawszy się ze swobodnem życiem i obyczajami Warszawy, tak różnem od wiedeńskich, nie zasmakuje w nich i czy nie uchyli czoła przed tutejszemi pięknościami!

— Być może! — odpowie z uczuciem Stefan, — ale czy choć jedna z tych piękności wyrówna róży szembuńskiej?

— Ale kuzynku! i szembuńska róża ma kolce!

— Od której zakłócie nie boli! — Hrabina czule spojrziała na pułkownika, ale milczała, i na cóż tam było potrzeba słów, gdzie oczy tak się wymownie tłumaczą? Stefan czuł się szczęśliwym, w sercu Rozalji rozwijało się słodkie uczucie pierwszej miłości. Ułożono tedy, że pułkownik zostanie jeszcze na parę tygodni w Warszawie, a potem uda się do Drezna, gdzie go hrabstwo oczekiwać będą.

Nazajutrz po tej rozmowie hr. Fryderyk prezentował kuzyna u dworu. Okazała postawa, piękność doskonała męskich rysów, pyszny strój węgierski, wszystkich oczy na pułkownika zwróciły. Król nader mile go przyjął i, po krótkiej etykietalnej prezentacyjnej scenie, poufale z nim rozmawiał.

— Dlaczegoż hrabio mówiłeś do mnie po hiszpańsku?

— Mniemałem, że strój i język są nierozłączne z sobą.

— Czyżbyś wolał widzieć mię w innym stroju?

— Czyż Piastowi inny od ojczystego może być właściwszy?

— Słusznie mówisz hrabio! Ale niestety może mimo wewnętrzne przekonanie, może z upodobania przejęliśmy i ubiór i obyczaje cudzoziemskie. Ta córka zbytku i niestałości — moda, panowanie nad nami wzięła.

Uczuł Stanisław August całą ważność tych słów i

podziwiał w duszy otwartość cudzoziemca. Pułkownik podobał się i król powziął myśl przywiązać go do swego dworu. Ale inny los czekał Stefana. On kochał sercem czystym, kochał pierwszą miłością i marzył o celu swej miłości. Król nie znając pułkownika, podejrzewał go z rozmowy z Rozalją na reducie, w długiej więc pogadance naprowadził rzecz i na ostatnią maskaradę.

— Warszawa się bawi i mnie to miło, ale hrabia przywykłeś może do okazalszych balów na dworze Józefa II.

— N. panie! wyznać muszę szczerze, że na naszych balach, zwykle bardzo etykietalnych, niema tej miłej, swobodnej wesołości, jaka ożywia tutejsze zgromadzenia pod okiem w. k. mości. Jakiż z naszych tańców wyrówna mazurowi?

— To prawda! a jeszcze kiedy się w nim puszczają tacy tancerze, jak hrabia i hrabina Fryderykowa.

— Czyż możesz w. k. mość równać cudzoziemca z damą polską, która może niema równej sobie w swym kraju!

— Ublizasz sobie, hrabio! z mowy twojej trudno wziąć cię za obcego w Polsce, a takiemu ukształceni, niejeden, sądzę, z naszej wyższej szlachty pozazdrościć może.

— Łaskawe wyrazy w. k. mości mogłyby mię podnieść w dumę, gdybym nie znał jak mi wiele nie dostaje.

— Nie, hrabio! nie, głos mój jest głosem powszechnym, i hrabina Fryderykowa jest tego przekonania.

— O! moja dobra kuzynka tak jest pobłażająca, że jej niechętnego zdania o nikim nie słyszałem.

— Oprócz o królu.

— N. panie! moja kuzyna szanuje i kocha swego monarchę, jak ojca!

— O! to wcale zimne kochanie! i są szczęśliwi, dla których silniejsze ma uczucia.

— Ma męża, którego kocha.

— O! już to daruj hrabio, ale w tę miłość nie wierzę. Hrabina tak piękna, a hrabia...

— Prawda, że powierzchowność jego niepiękna, ale jaka dusza!

— Tak, i miłość to jest platoniczna, ale nie to uczucie, co jednoczy dwa serca pełne życia. Ty to hrabio pojmujesz i pewnie uczucie to nie jest ci obce. Przyznaj, że hrabina mogłaby je w tem sercu obudzić?

— Nie przeczę n. panie! że trudno jest mieć więcej zalet, jak je łączy w sobie hrabina, ale jest to twierdza silnie honorem broniona.

— Tak! mais pas imprenable, czas wszystko może.

— N. panie! żaden czas, żadne okoliczności charakteru jej nie zmieniają, nadto wysoko ceni swoją dobrą sławę, aby kiedy poniżyć się mogła.

— Utinam falsus sim vates — rzekł król i pożegnał pułkownika grzeczmem zaproszeniem, ażeby na dworze jego uważał się tak, jak na dworze wiedeńskim obok Józefa II. Ale Stefanowi za wolne nieco względem Rozalji wyrażenia, nie po sercu były i ostygł w uniesieniach swoich względem króla, ale to przekonanie zamknął w sobie.

Hr. Stefan znał wielu panów polskich w Wiedniu, mających majątki w części kraju oderwanej od Polski pierwszym rozbiorem. Od dworu więc udał się do ks. generała ziem podolskich, gdzie zastał hrabinę Fryderykową z wizytą pożegnalną. Księżna generałowa świetniała naówczas na horyzoncie polskim. Ale w owym wieku zalotności, nikt nie starał się zgłębić tej wielkiej duszy, mało kto może poznać się na niej umiał. Miłostki panującego były przykładem, były modą całego wyższego tonu stolicy, nader mało wyłączyć można było dam naszych z owej epoki, któreby surowość obyczajów prababek swych zachowały i każdej z nich złośliwa kronika przypisała, jeśli nie całe życie, to przynajmniej choć jedną awanturkę nie najczystszej cnoty i wierności małżeńskiej. Czy i księżna

należała do liczby dam hołdujących modzie — złośliwa kronika o tem nie wspomina.

Księżna generałowa z najprzyjaźniejszymi uczuciami była dla hrabiny Rozalji i dom księstwa był najczęstszym jej pobytem, a że już w domu książąt przebiła się niechęć dla ukoronowanego bratanka, Rozalja więc u nich swobodnie się z uczuć swoich tłumaczyła i pozwalała sobie śmiało wynurzać z tem, co było w jej sercu dla panującego. O nim właśnie toczyła się mowa, gdy oznajmiono hrabiów Fryderyka i Stefana. Księstwo znali pułkownika w Wiedniu i po krótkich komplementach etykiety, rozmowa stała się poufałą i książę zapytał pułkownika:

— No! cóż hrabio! zadowolonyś przyjęciem u naszego najjaśniejszego?

— Ale trudno jest być więcej i milej uprzejmym, jak Stanisław August, a co za piękna postać, jaki wdzięk wyśłowienia! Kilku z panujących dziś monarchów miałem zaszczyt poznać, ale żadnego z nich z królem polskim porównać nie można.

— Masz słuszość hrabio! — rzecze księżna — bratanek ma te wszystkie zalety i gdyby nie był królem, świetniałby w naszej ojczyźnie.

— Czyż Stanisław nie jest dostojnym godności, którą piastuje?

— Dzieje to późniejsze okażą, i daj Boże! ażeby twoja o nim opinja była opinją historji.

— A jednak obrany zgodną wolą narodu.

— Tak! pod silnym wpływem, nie nader przyjaznych nam mocarstw — podchwyciła hrabina.

— Różia — ozwie się hr. Fryderyk — skoro tylko mowa o królu, musi zawsze szczyptę pieprzu do niej przyrzucić.

— O! gdyby przez to można w niej smak poprawić!

— Nie proponowałże ci hrabio — zapyta książę — pobytu na jego dworze?

— Owszem, dał mi to poznać, że chciałby mieć mię przy swoim boku.

— A o reducie nie wspominał?

— A jakże, i o hrabinie Rozalji nieoddzielnie.

— O! on mię cierpieć nie może.

— Przeciwnie! daruj hrabino! ja znajduję, że on nią nader zajęty.

— Wolałabym żeby mię nienawidził.

— Ale to piękna rzecz — ozwie się księżna — mieć u nóg swoich ukoronowanego.

— Tak! króla, bohatera! i takiemu wszystko poświęcić. Ale tych zniewieściałych monarchów, co u toalety dwie godziny drogie dla panujących muskają się, a potem myślą tylko o zabawach, o miłostkach i miłosnych awanturkach, jakieś tam du Barry i inne im podobne, ale nie Polki kochać mogą.

— Czy mniemasz hrabino, że wiele z naszych dam nie kochają się w królu?

— A księżna mniemasz, że to jest miłość? To interes, to duma, może nawet i chciwość pod maską tego szlachetnego uczucia. Bo w mojem przekonaniu miłość prawdziwa, niematerjalna, bezinteresowna, choćby nawet przedmiot jej od nas był niższym, jest wzniosłem, jest szlachetnem uczuciem. Ale w miłość dla panującego nie wierzę, bo zawsze ma na celu albo wywyższenie, albo chciwość zysków, albo czasem nawet zemstę, której zadłość uczynić często nawet mimo własne przekonanie ukoronowany kochanek musi. Karty historii wypełnione są imionami faworyt monarszych, jakże mała między nimi liczba tych, które z prawdziwej miłości honor swój w ofierze królom swoim przyniosły!

— Ślicznie rezonuje hrabina — rzecze ksiązę — i jej zdanie zupełnie trafia do mego przekonania. Więcej powiem, królowie poznawają się na tych wystudjowanych sentymentach i często bardzo, coś nakształt pogardy dla nich mają; ale miłość materjalna, nawykniecie do osoby, czynią ich niewolnikami swoich kochanek. Ten to podobno ostatni artykuł jest najwięcej powodem, że kobiety dla władzy nad panującym wyrzekają się uczuć macierzyń-

skich, słodczy domowego pożycia, a nawet dobrej sławy.

— Nie mamy w tym względzie nic na naszą obronę—ozwie się księżna—ale chciej książę i na to zwrócić uwagę, że częstokroć doznawana od was obojętność, podejrzenia, a nawet zupełne o nas zapomnienie, zmusza płęć naszą szukać w obcych uczuciach tego, co im niestałość mężów odjęła.

— Księżna ma rację — wtrącił hr. Fryderyk — uderzmy się w piersi i wyznajmy, że do niestałości żon naszych my sami dajemy powody. Zbytek władzy męża, przy dzisiejszym stanie obyczajów, jest jednym z tych powodów, ale silniej jeszcze działającym jest ta wolność bez granic, jaką dla pokrycia naszych wysoków żonom naszym dawać musimy, albo podejrzliwość każdego ich kroku. Szczęśliwy! kto w tej okoliczności umiarkowany środek utrzymać potrafił, bo i pokój domowy pozyskał i żony na zejście z prawej drogi nie narazi.

— Siebie tu w tych ostatnich słowach odmalowałaś Fryderyku — ozwała się hr. Rozalja. Nie zarzekam się, abym nie miała kiedy uleść obcej jeszcze dotąd dla mnie namiętności, ale poświęcić twoją spokojność i może dobre imię, nie! tego się nie dopuszczę!

— Dzisiejsze twe postępowanie, hrabino, odpowiada zupełnie temu, coś wyrzekła. Zaloty króla przyjęłaś naj-obojętniej, aleś jeszcze tak młoda, ale może nie król wzbudzić w twem sercu tę nieznaną ci namiętność i obudzić tak silną, że i twój charakter i twój rozum ugną kolano przed jej władzą. Nie ufaj sobie!

— Dopóki jestem z moim Fryderykiem, zaufać sobie mogę.

— Ale hrabia tak wiele starszy od ciebie, ani tak silnej budowy, możesz go przeżyć, a wtedy sama przewodnikiem swoim zostaniesz.

— O! tej smutnej przyszłości obraz nigdy się myśli mojej nie nasunął!

— I daj Boże! żeby się nie ziścił! W takim jednak

smutnem zdarzeniu w Puławach znajdziesz przyjazne ci uczucia i rady.

Hrabina ucałowała rękę księżnej i hrabstwo pożegnali zacną Puław rodzinę.

Lekka niedyspozycja królewska uwolniła Rozalję od pożegnalnej wizyty u dworu. Samego hrabiego przypuszczono do gabinetu królewskiego. Stanisław August w najwykwintniejszym negliżu leżał na sofie, oblicze jego nie było wcale zmienione, owszem negliż więcej jeszcze dodawał mu wdzięku. Jeszcze raz próbował namówić hrabiego, ażeby Rozalję zostawił w Warszawie, ale widząc go nieporuszonym, upominał o rychły powrót do kraju:— „Ja wiem — dodał z cicha — że cię elektorowie interesują, bo to jedna krew z tobą, ale nie zapominaj, że Polska ojczyzną twęj matki i że cię w niej z utęsknieniem oczekuje primus inter pares, Stanisław August, najżyczliwszy wam przyjaciel“. — Przy tych słowach podał król rękę hrabiemu, ale ucałować jej nie dopuścił. Po takim pożegnaniu wrócił Fryderyk do swego mieszkania. Wszystkie wizyty już były dopełnione i przygotowania do podróży ukończone, na ten raz i Staś jechał z rodzicami i Warszawę na długo opuścili.

ROZDZIAŁ X.

Pobył hrabiostwa w Dreźnie nie był tak wesoły, jak w Warszawie lub w Wiedniu. Dwór saski, stosownie do spokojności naturalnej panującego elektora, był etykietalny, cichy. Hrabiostwo przyjechali w wielkim poście, a choć największa część dworu składali protestanci, przez wzgląd na swego księcia katolika i wielce pobożnego, cała stolica uroczystą spokojność czterdziestodniowego postu zachowała. Żadnych widowisk publicznych, a tembardziej bałów nie bywało i wielu ze znakomitszych dygnitarzy z familjami z Drezna się rozjechali. Hrabina mało znajomych miała w tej stolicy, bo sztywniejsze jeszcze

od Austriaczek Saksonki nie sympatyzowały z piękną Polką, ani też ona do tych zimnych figur przystać mogła. Hrabia, znakomity dyplomata, potrzebny był elektorowi, posiadał jego szacunek i zaufanie, najwięcej więc czasu w pałacu przepędzał i pobyt jego w Dreźnie na długo się zabierał. Rozalja nawykła do innego towarzystwa, nudziła się na saskim dworze, ani w stolicy Saksonów odpowiedniego nawyknienu społeczeństwa znaleźć mogła, ale nie utyskiwała na nudy i hrabia, widząc czasem jej niewesołość, żadnego nie słyszał uzalenia. Hrabina najwięcej czasu przepędzała w domu, zajmując się to muzyką, to czytaniem, to damskimi robotami, a najczęściej swoim Stasiem, który już biegał i szczebiotał. Kształtne to było i bardzo ładne dziecko, lubo miało zupełnie rysy twarzy hrabiego, w niewielu wyrażeniach mowy jego dziecinnej widać było żywość i wiele rozwijającego się sprytu. Hrabstwo oboje ślepo kochali jedynaka i nacieszyć się nim nie mogli. Razu jednego Fryderyk, wróciwszy od elektora, zastał żonę igrającą ze Stasiem na rozścielonym dywanie. Hrabina była w pięknym białym negligiu, leżała oparta na poduszce wysokiej, z jedną ręką wyciągniętą w górę z cackiem, które Staś siedzący u jej łona usiłował dostać. Poza hrabiny i dziecięcia tak były malownicze, że hrabia wchodząc zatrzymał się u progu dla napatrzenia się na tę grupę godną pędzla najpierwszego artysty, jakoż i kazał później malować ją, a w r. 1821 widziałem ją w Sielcu u podczaszostwa Czackich. Rozalja, postrzegłszy męża, wesoło zawołała:

— Chodź Fryderyku! — chodź! — patrz, co twój syn ze mną dokazuje. — Malec wziął go za rękę i ciągnąc ku matce i pokazując cacko rzecze:

— Odbierz to od Rózi i daj mnie tato, bo ona się ze mną drażni. Hrabia usiadł przy żonie i niby to siłą wydarłszy cacko, oddał je synowi, dziecko zbliżonych rodziców objęło za szyję i z obojgiem pieścić się zaczęło. Fryderykowi łzy w oczach stanęły.

— Szczęśliwyś Fryderyku? — mówiła z przymile-
niem hrabina — i lubisz twego syna?

— Róziu droga! jacyż rodzice nie kochają swojego
dziecięcia? Możeż być szczęście wyższe, nad szczęście
matki i ojca pieszczących swoje potomstwo?

— I mnie to szczęście osładza pobyt mój w Dreźnie.

— Ty się nudzisz moja luba i nie utyskujesz na to?

— Słuchaj Fryderyku! że lubię zabawy, to prawda,
że przenoszę pobyt w Wiedniu, lub w Warszawie, nad
pobyt w Dreźnie i to prawda, ale tu w Dreźnie nie jestem
hrabiną świetniejącą w zebraniach dwóch stolic, jestem
Rozalją, żoną twoją, matką ślicznego twego Stasia, i w
negliżu igrająca na dywanie z twojem dziecięciem, więcej
jestem na swoim miejscu, niż obsypana twemi klejnota-
mi na pokojach dworu wiedeńskiego lub warszawskiego.

— I przez to jeszcze droższa mojemu sercu.

Hrabina objęła szyję męża, składając na czole jego
pocałowanie, mały Staś uczeplił się szyi ojca i pieszcząc
się z nim wołał: „tato, mój tato!“

— W tem uniesieniu dziecięcia — rzeknie Rozalja —
niema nic wyuczzonego, on ciebie kocha.

— I nie boi się tak szpetnej twarzy mojej?

— Bo w nim się odzywa krew twoja i instynktowe
uczucie synowskie.

— Oby to uczucie ze wzrostem jego wzrastało!

— Matka wraz z modlitwą codzienną uczyć go bę-
dzie miłości ku ojcu.

— I ku tej matce, tak ze wszechmiar czcigodnej. —
Ale nie umiem ci tego objaśnić, czemu, patrząc jednak na
to dziecko, jakaś bojaźń utracenia go, serce moje prze-
jmuje i sen z powiek moich odgania.

— Dziecko jesteś Fryderyku z twojemi przeczuciami.
Któż ci może wydrzeć tę pociechę? Czyż i matka nad nim
równy z tobą nie czuwa? Ona go bronić będzie, i oddaw-
szy ci dorosłego i takiego, jakim go mieć żadasz, szczęśli-
wa do grobu zstąpi.

Taki jeszcze był sposób myślenia hr. Rozalji po

trzech latach pożycia z mężem i zdawało się, że żadne okoliczności zmienić go nie potrafią. Młoda i piękna, obasypana dostatkami przepadającego za nią męża, świetniejąca na wielkim świecie dwóch stolic, przy wolności, w jakiej mąż żyć jej pozwalał, nie wyszła z granic przyzwyczajenia; słynąc jako wzorowa piękność, używała sławy najlepszej żony szpetnego i niemłodego męża; ani najzłośliwsze języki warszawskie zarzucić jej co mogły. Rozalja uczuła nieznaną może jeszcze wzruszenie, poznawszy hr. Stefana. Marzyła o pięknym kuzynie z lubością, ale hrabina dumna z natury, umiała uczuciom nakazać milczenie i nie dać się rozwinąć namiętności, mogącej mieć wpływ na jej socjalne dostojeństwo, a te usiłowania wspierane były rozsądnem z nią postępowaniem jej męża. Był to prawdziwy przyjaciel, umiejący trafić do jej przekonania, nie obrażając własnej miłości, który zostawiwszy jej całą swobodę, ostrożnie, zdaleka, czuwał nad jej postępowaniem, a tem i jej zaufanie pozyskał i od płochych wyskoków obronił. Spokojny pobyt w Dreźnie, zajęcie się miłą dzieciną jeszcze więcej uspokoiło przelotne serca wzruszenia. Czuła Rozalja, że kocha Stefana, ale była to miłość tak spokojna, tak nieodrywająca ją od jej obowiązków, że Rozalja była szczęśliwą. Widział to oczyma duszy hr. Fryderyk, ale był spokojnym i nieraz myślał sobie: „Niech go kocha! moje zdrowie nie silne i wiek pewnie nie długi. Zabezpieczę los syna, i jej znakomity udział z fortuny mojej uczynię. Po mojej śmierci, niechaj poślubi tego, którego prawdziwą miłością ukochała“. Piękne były zamiary Fryderyka i godną wykonania ich sądził swoją Rozalję. Gdyby okoliczności pobytu w Dreźnie zostały były też same do końca, Rozalja byłaby może wyszła szczęśliwie. Ale wszystko ma swój kres zamierzony.

Post już się zbliżał do końca. Hrabstwo mieli pozwolenie bywać na nabożeństwie w księżęcej kaplicy. Był to honor dozwolony znakomitym tylko osobom katolickiego wyznania i nasi hrabstwo asystowali pobożnemu elektorowi. Jednego piątku kaplica napełniona była

dostojnymi modlącymi się, Hrabina bardzo skromnie ubrana klęczała u bocznego ołtarza i szczerze się modliła, ale kiedy śpiewacy książęcy zaintonowali *Stabat mater* Pergolezego, zachwycona doborem pięknych głosów i harmonijną melodią samej muzyki, przestała się modlić i mimowolnie instynktownie głos swój zmieszała z głosami rzewnie wyrażającemi macierzyńską boleść Boga Rodzicielki. Śpiew jej nie uszedł uwagi bliżej modlących się osób i Rozalja usłyszała za sobą niemiecką rozmowę:

— Ale mylisz się Wilhelmino, skądżeby ona tu się wzięła? Wszakże niedawno donoszono nam, że ta polska grafini bawi w stolicy dla miłości swojego króla.

— I nie wierzyłam temu mamó, i nie wierzę. Hrabina nadto jest dumną, ażeby do przyjęcia miłostek króla zniżyć się miała.

— Dziecko jesteś i nie wiesz, co to jest świat. Hr. Stefan, zajęty warszawskimi pięknościami, z których wiele o wiele wdziękami przewyższają hrabinę, opuścił ją, a ona, mszcząc się, postarała się opanować panującego i teraz z nim się modli.

— Nie! to się wcale nie zgadza z jej szlachetnością.

— W czemżeś to zauważyła?

— A zapomniałażes mamó nasze śpiewy w Wiedniu? Nie jejże to ujmującej grzeczności winna jestem wydzwignienie mię z takiego ambarasu? nie jestże to dowodem jej wzniosłych uczuć? Czemuż panna Werter tego nie zrobiła?

— To znowu co innego. Werter, prostego wychowania osoba, a ta dama i rodu wysokiego i wysokiej edukacji.

— I równie wysokich uczuć.

— Ta Polka oczarowała ciebie moja Minchen.

— Być może! ale ja ją szacuję i kocham, i daruję mamó! że w tym względzie zdania nasze zawsze różnić się będą.

Hrabina nie śpiewała, cała jej uwaga zwrócona była

na rozmowę, w której poznała baronową i jej córkę. Ubodła ją złośliwość, obróciła się i zwyczajnym niemiec-
kim od ust posłanym całunkiem i najrzeczniejszym ukło-
nem pozdrowiła znajome damy.

Skończyło się nabożeństwo, zaczęto ruszać się do
wychodu. Nie mogła Wilhelmina wytrzymać i podbiegł-
szy do Rozalji, czule ją witała; hrabina oddała uścisk
za uścisk i podstąpiwszy do baronowej, podając jej rękę
rzeknie:

— Jakże miła dla mnie siurpryza oglądać tu szanow-
ną baronową i kochaną Wilhelminę.

— O i ja bardzo się cieszę z oglądania tu hrabiny.
Dawno już w Dreźnie?

— Od początku postu.

— Nie żal-że hrabinie za Warszawą, w której tak
świetniałaś?

— O! dobra baronowa żartuje sobie. Tak niższa od
wielu naszych piękności, mogłażem czyją uwagę zwrócić
na siebie?

— Ukoronowanych głów, hrabino, monarchów!

— Czyż to wszyscy ukoronowani tak są grzeczni,
jak Józef drugi?

— Przecież posiadają, że wasz Stanisław August
tak zalotny, tak ujmujący.

— Być może, ale nie zdarzyła mi się okoliczność
przekonania się o tem, a do tego, kochana baronowo, to
za wysokie progi na moje nogi.

— Mówią jednak, że król starał się bardzo przypo-
dobać hrabinie.

— O tem nie wiem, bo mało bywałam u dworu. My
sobie w domu mieliśmy nasze kółko bardzo miłe i znajo-
my baronowej, hr. Stefan do naszej kompanji należał i
bardzo wesoło większą część zimowych wieczorów prze-
pędziliśmy.

— Gdzież hrabia Stefan?

— Został jeszcze w Warszawie, ale na prośbę mo-
jego męża obiecał tu za nami pośpieszyć.

Baronowa zamilkła. Wyszli z kaplicy, Rozalja przy pożegnaniu wręczyła baronowej swój adres, starej Niemkini wstyd trochę było, że podobnego biletu nie miała.

We trzy dni potem baronowa oddała hrabiostwu etykietalną wizytę. W ciągu odwiedzin baronowa dyplomatyczną z hrabią najwięcej prowadziła rozmowę o cesarzu Józeffie i o królu polskim, Rozalja z Wilhelminą rozmawiały sobie o Wiedniu, o Warszawie, o zesłonym karnawale, i od niej hrabina dowiedziała się, że baronowa na rok cały w Karlsbadzie dla kuracji zamieszkała i że do Drezna dla nabożeństwa i na Wielkanoc przyjechały. W ciągu tych rozmów oznajmiono hr. Stefana; Rozalja i Wilhelmina zarumieniły się, ale hrabina w ten moment przybrała twarz spokojną i wesołą, i wejrzenia badawcze baronowej nic na niej postrzedz nie mogły. Hrabia postąpił naprzeciw kuzyna, ale jakież zdziwienie było pułkownika ujrzawszy baronową, której, nie to że u hrabstwa, ale nawet w Dreźnie zastać ani się spodziewał.

— *Soyez le bien venu cousin* — zawołała hrabina.

Słowa te opamiętały nieco pułkownika, ścisnął dłoń hrabiego, Rozalji rękę pocałował, baronową i jej córkę grzecznym ukłonem powitał.

— Tysiączne mam ukłony dla kuzynki z Warszawy, ks. generałowa, p. hetmanowa Rzewuska, ks. kasztelanów wileńscy, wojewodzina sieradzka i cała magnaterja wasza.

— A król? — zapytała ciekawie baronowa.

— A tak i król hrabiego pozdrawia i prosi, abys wracał do kraju.

— A hrabinę?

— Osobnego dla hrabiny pozdrowienia król mi nie polecił.

— Wypadła z łaski, — szepnie baronowa do córki, ta ścisnęła ramionami, Rozalja, która ten szept słyszała, rzecze z uśmiechem do męża:

— Patrz! N. pan raczył o mnie zapomnieć, wypadłam z łaski! niestety!

— Nie bój się moja droga, jeśli zechcesz, to sobie ciebie przypomni.

— I recydywa straszniejszą będzie od samej choroby.

Baronowa uwierzyła tym wszystkim słowom i snuła już w głowie swojej dalszy ciąg powieści o Rozalji. Wilhelmina płonila się za matkę, ale nie wypadało w cudzym domu wchodzić z nią w jakąś sprzeczkę, powstawszy więc dała znak matce, że czas już odjechać. Ruszyła się baronowa i wielce kordjalnym uściskiem pożegnała hrabinę do widzenia.

— A co! — rzeknie Rozalja — szanowna baronesa ma już całą osnowę pięknej o mnie powieści, będzie to dalszy ciąg tego, co w kaplicy córce mówiła.

— Wilhelmina jednak zdaje się nie podziela mniemań swej mamy.

— Nietylko, że nie podziela, ale nawet różni się od niej i zdaniem i sercem. Nieprawdaż mon cousin?

— Przyznam się, że nie miałem sposobności zbadać jej charakteru.

— A jednakże cesarz swatał cię z Wilhelminą.

— I państwo byliście tak łaskawi, dopomagali temu swatowstwu.

— Bo też to istotnie partja we wszystkim odpowiednia dla ciebie.

— Zapewne. Ale wtenczas, kiedyby nas dwoje tylko na świecie zostało.

— Nie zarzekaj się mon cousin, przywiązanie jej tak stałe może nakoniec przewyciężyć wstręt twój dzisiejszy.

— W czemże ona do róży szenbruńskiej podobna, — rzekł zcicha Stefan. Hrabina spojrzała czule na niego i westchnęła, hrabia Fryderyk to zauważył i zmieniając rozmowę zapytał ex publicis. Stefan mówił o zbierającym się wielkim sejmie i rozmowa stała się zupełnie dyplomatyczną, którą przerwano, dając znać do stołu. Hrabina podała rękę Stefanowi:

— Wszak jesteś nasz domowy?

— Tak przynajmniej umówiliśmy się w Warszawie — dodał Fryderyk. Istotnie pułkownik stał się domowym, bo nawet w tym domu zamieszkał i przez to położenie wszystkich trojga stało się jakieś żenowane. Dwoje pięknych ludzi mających już skłonność wzajemną ku sobie, zbliżeni codziennem widywaniem się, żyjąc pod jednym dachem, nie mogli nie zbliżyć się i uczuciami. Rozalja poddawała się swojemu sercu. Stefan coraz więcej uwielbiał piękną kuzynkę. Rozalja nie miała przewagi nad wzrastającą namiętnością. Hrabina nie ulegała zalotom pięknego króla, Rozalja poddała się zupełnie uniesieniu pierwszej miłości. Hrabia niby nie zdawał się uważać zbliżenia się kochanków, w niczem nie ścieśniał swobody ukochanej małżonki, żadną najdelikatniejszą przymówką nie dał poznać, że stan jej serca zgaduje, rozumną tylko ostrożnością dalszym następstwom tego zbliżenia się stawiał zawady. Przeszła Wielkanoc, piękna nastąpiła wiosna, otworzyły się spaceru w pięknych okolicach Drezna. Fryderyk, lubo nie lubił barónowej, dla dobrego jednak tonu wymógł na żonie, że z nią razem odbywała przechadzki, ale pod koniec maja elektor wybrał się do Frejberga i za towarzysza podróży przybrał sobie hr. Fryderyka. Rozalji chciało się jechać w góry, ale nikt z dam nie towarzyszył księciu, z żalem więc i hr. Fryderyk żonie odmówił, Rozalja została w Dreźnie. Złe położenie i najlepszego zepsuć może. Hrabina i Stefan pozostali sami, poddali się swoim uczuciom i powoli, powoli, daleko zaszli w tej niebezpiecznej wędrówce. Przywiązanie Rozalji do męża, była to przyjaźń oparta na szacunku, ale serce mało w niej udziału miało. Zaczęła więc rozpatrywać się w jego szpetności i dziwiła się sobie, jak te lat kilka z tak brzydkim człowiekiem przeżyć mogła. Les absents ont toujours tort, dobrze mówi francuskie przysłowie. Obecność pięknego i tak szczytnie ukształconego kochanka najniekorzystniej oczom Rozalji przedstawiała męża; w charakterze jego nawet znajdowała wady. Jego

delikatność wzięła za brak energii, w wymowie widziała przesadę, w rozumie i uczoności pedanterję. Słowem, wyrabiała w sercu swoim ku mężowi odrazę, mając się stać dla obojga pasmem niezbędnych cierpień na całe życie. Ale Rozalja jeszcze była hrabiną, mimo ścisłość stosunków z kochankiem, potrafiła jeszcze panować nad sobą i przybrać wyraz twarzy, jakiego okoliczności wymagały.

Pobyt wędrowców we Frejburgu przeszło miesiąc się przedłużył, Rozalja pozbyła się towarzystwa baronowej, Stasia zdała na opiekę bony, a sama strojem tylko, przejażdżkami i przechadzkami w kompanji pułkownika zajęta była. Wrócił hrabia, żona okazała się dla niego niezmienną, położenie tylko Stefana stało się trudne i najczęściej odjeżdżał w różne piękne części górzystej Saksonji. Tak przeszło kilka miesięcy, ale już pożycie hrabstwa nie było tym pięknym obrazem pocziwego stadła. Na Rozalji częstokroć znać było przymus, ale hrabia zdawał się nie postrzegać tej zmiany i swego postępowania nie zmieniał. W tym czasie sejm wzywał do Warszawy hrabiego, jako posła, potrzeba było wyjechać z Drezna, hrabina chciała koniecznie zostać, hrabia po raz pierwszy stanowczo oświadczył wolę swoją, że na to nie zezwala. Ale kiedy i użycie łez nie pomogło i uledez woli męża potrzeba było, oburzyła się Rozalja i uraza rozwinęła jeszcze więcej odrazę, ale zamilkła i przybrała pozór spokojny. Dawniej wola hrabiego byłaby przyjęta z rezygnacją, w obecnym stanie rzeczy ta wola rzuciła ziarno nienawiści w serce Rozalji, i ten mąż, z którym tak błogie lata przeżyła, do którego szpetności nawykła, którego mądrymi i delikatnymi radami utrzymywała się na wysokim szczeblu pierwszego towarzystwa, ten mąż stał się dla niej nieznośnym. Rozwinięta w całej sile namiętność nasuwała nieustanne porównania kochanka z mężem, na których mąż zawsze przegrywał, chociaż delikatnego postępowania swego z żoną nie zmienił. Mimo to wszystko, cośmy powiedzieli o pięknem prowadzeniu się

Rozalji na wielkim świecie, przyznać jednak potrzeba, że i wyjście jej za hrabiego i piękne z nim pożycie, było raczej działaniem ambicji i wyrachowania, niżeli popędem serca. Dlatego też obrażona miłość własna i namiętne przywiązanie do kuzynka przełamały tamę i niechęć przelała się w nienawiść, ale rozum nakazywał dysymulację i nikt istotnych uczuć serca hrabiny odgadnąć nie potrafił.

Hrabia Stefan pierwiej opuścił Drezno, na samotnem pożegnaniu z Rozalją przyrzekli sobie wzajemną miłość i nadzieję rozvodu hrabiny i widoki dalsze przyszłości, ale w całej tej rozmowie nie było już wyrażeni namiętnych, i zdawało się, że tylko z nałogu wymykały się ustami słówka słodkie, miłosne, a serca drzemały. Hrabina nie okazała najmniejszego smutku z odjazdu pułkownika i spokojnie wybierała się w drogę. Na kilka dni przed wyjazdem Fryderyk odebrał list nieznanym ręki: — „Nie moją jest rzeczą wtrącać się pomiędzy małżeństwo, ale wysoki szacunek dla hrabiego milczeć mi nie dozwala, ułność twoja w dostojnej małżonce i zacnym kuzynku zawiedziona została. Wyjazd twój do Frejberga zbliżył ich do najściślejszych stosunków. Co się stało, tego już cofnąć niepodobna, może jednak złe nie jest takim, jakim się wydaje, z tem wszystkiem radzę ostrożność i radzę z najżyczliwszego serca“. Podpisu niema, charakter pisma niewieści i hrabiemu wpadła na myśl baronowa. Gniewny na starą Niemkinię za wyjawienie tego, co on sam przed sobą radby był ukryć, ciężko się biedził. Podejrzewał wprawdzie Rozalję, ale okazanie się zazdrosnym i szpiegowanie postępów żony sądził siebie niegodnym. Zmiał list i rzucił w komin. Zamyślił się, ciężko westchnął i rzekł: „Nie, nie chcę tak krzywdzącym sposobem posądzać matkę mojego syna“. I znowu westchnął i znów zamyślił się. Weszła hrabina po cichu, stanęła naprzeciw męża: — „Fryderyku!“ rzeknie z przymileniem. Hrabia ocknął się, spojrzął na żonę, ale w jej twarzy taki był wyraz spokojności, że hrabia list odebrany za po-

twarz osądził. „Patrz!—rzecze Rozalja—baronowa wyjechała z Drezna i w miejscu pożegnalnej wizyty, list od niej i krzak róży szenbruńskiej w wazonie“.

Hrabia wziął list: — Ta sama ręka — pomyślał czytając.

— Cóż ty na to Fryderyku?

— Ta róża! jest prawdziwie *une rose mystique*, jak i list baronowej.

— Czy ty przywiązujesz do nich jakie znaczenie?

— Przywiązywałbym może, gdybym znał słowo zagadki.

— Ta baronowa, oryginał!

— Złośliwa kobieta. Jednak dar jej weź z sobą.

— Czy i ty lubisz różę szenbruńską?

— O tyle, o ile zasługuje, ażeby w niej sobie podobać.

Hrabina pocałowała męża w czoło, on jej rękę ucałował, ale to już była ostatnia scena dramatu ich małżeńskiego pożycia, ostatni oddźwięk wdzięczności w ostygniętych dla męża uczuciach Rozalji. Dziwny też był stan jej duszy, omierzyła sobie męża, nasyciła się miłością kochanka i czuła czczość serca. Nie zatarł się w niem jednak obraz Stefana i było uczucie, ale już nie ta piękna, energiczna pierwsza miłość, jaka ją napełniała do pobytu w Dreźnie. O kobiety! kobiety! jakże silne jesteście w panowaniu nad sobą, kiedy tego widzicie potrzebę! Jak ta siła wyrabia w was dzielnie sztukę udawania! Hrabina w taką spokojność przyoblekła oblicze i tak je wesołością przystroiła, że hrabia zupełnie był spokojny. Ochotnie wybierała się z Drezna i ciągle Stasiem zajęta, mnóstwem zabawek dziecinnych zasposobiła się dla niego na drogę. Podróż wesoło nawet się odbyła i pod koniec jesieni stanęli w Warszawie.

Warszawa wrzała rozpoczęciem wielkiego sejmku i nigdy jeszcze tak świetną nie była. Hrabina za powrotem do stolicy swojego kraju, wróciła do dawnego sposobu

życia. Dobra Saksonka, bona, najwięcej Stasiem się zajmowała i Rozalja zupełnie na dobrą Niemkę spuściła się. Swobodniejsza więc, odnowiła też same znajomości, też zabawy, mniej nadskakiwaniem króla, który już w więzjach p. Grabowskiej nie miał swobody składania hołdów wdziękom pięknych swoich rodaczek. Postrzegła to Rozalja, ale nad Rozalją wzięła górę dumna hrabina i hrabina zapragnęła mieć u nóg swoich panującego. Kibić jej wprawdzie nieco straciła ze swojej szczupłości, ale twarz więcej wypełniona, jeszcze delikatniejszą i świeższą się stała. Król, ile razy z nią się spotkał, zawsze okazywał jej więcej niż dworską grzeczność i zawsze szukał tego spotkania i hrabina, zadowolona postępem tych koronnych attencji, poddawała się wesołości z tak pięknym pozorem bezinteresowności, że nikt ani śmiał ją posądzać o jakie projekta na króla. Czasem przychodził na myśl i piękny kuzynek, ale to był fant odłożony na zapas w potrzebie. Serce może i ulatywało za Stefanem, ale serce hrabiny już tylko w panującym cel życzeń swoich widziało, a powszechne prawie naówczas prowadzenie się dam nasyżych, życzenia, projekta i postępowanie własne w oczach jej upoważniało. Przeszła zima na zabawach, hrabina wszędzie bywała, kilka nawet wieczorów świetnych okazałością własną i obecnością króla dawali hrabiostwo. Warszawa brała górę, Wiedeń szedł w zapomnienie. Znużona zabawami hrabina zaniemogła, a hrabiemu w tym czasie wypadła pilna potrzeba odwiedzić dobra wołyńskie i na Ukrainie. Wybierał się więc i na ten raz żądał, ażeby żona została w Warszawie. Hrabina napierała się jechać i, niby niezadowolona, zgodziła się z wolą hrabiego, którego niebytność może i całą wiosnę trwać miała. W parę dni po wyjeździe męża hrabina wyzdrowiała i tegoż dnia udała się do p. Krakowskiej, gdzie i króla zastała. Prosty, ale wykwinny strój Rozalji i trochę bladeści, dodały wdziękom jej uroku i n. pan uczył dawniej wzniecone uczucia.

— Ależ hrabina tak polubiła Saksonję, że ledwie

przypomniała sobie, że jest Polką i na ojczystą ziemię wróciła.

— Nietylko w Saksonji, ale i w Wiedniu czułam, że ziemia rodzinna jest najmiłszą, a tem miłszą, że pod panowaniem takiego monarchy.

— Który nie potrafił jednakże zjednać sobie względów pięknej współrodaczki.

— Czy w. k. mość tak długo dawne przewinienia pamiętasz?

— Serce zapomnieć ich nie daje.

— A jeśli winny za wykroczenie swoje żałuje?

— W takim razie przebaczenie! Bo jestże dla monarchy chwila szczęśliwsza, jak ta, w której przebaczać może!

— August tylko rzymski i August polski podobne uczucia mieć mogą.

— Więc z nami zgoda? — rzeknie król, podając rękę hrabinie.

— Zgoda! i przyjaźń, jeśli w. k. mość przyjąć ją raczy — odpowie hrabina z przymileniem, podając rękę królowi, którą z uniesieniem ucałował. Odtąd widywanie się Rozalji ze Stanisławem Augustem stało się coraz częstsze. W cóż się obrócił ów wstręt ku temu ukoronowanemu szlachcicowi? Zapytaj serca kobiety, kobiety rzuconej w odnięt wielkiego świata, kobiety, która już wyszła za granice surowej małżeńskiej przyzwoitości, w której próżność wzięła górę nad wszystkimi innymi uczuciami. Moralnej budowy serca Rozalji podstawą była próżność. Ta wydała ją za bogacza, którego świetne zalety знаła, ale więcej może ceniła w nim majątek i znaczenie, które i ją w oczach świata podniosły. Wychowana nie w ścisłych religijnej moralności prawidłach, rozumem tylko postępowanie swoje kierowała. Silniejsza od rozumu namiętność, rozwiązała okowy rozumu i przyzwoitości, a obyczaj powszechny, czy moda ówczesna, w oczach jej własnych prowadzenie się jej upoważniały. Rozalja nie kochała króla, ale hrabina chciała panować nad panują-

cym i tej żądzy wszystkie obowiązki poświęciła. Mało ją Staś zajmował, o mężu ledwie sobie wspomniała, a i to wyobrażając sobie, że jest wdową, dożywotniczką ogromnej jego fortuny i marzyła świetność swoją na wielkim świecie stolicy, w swobodzie zupełnej, nawet Stefan nie przemknął się przez myśl marzącej. Jednego ranka nazajutrz po wieczorze u pani Krakowskiej, leżąc na pysznej sofie w salonie, zanurzona była w podobnych marzeniach, gdy oznajmiono jej wizytę hr. Fredro. Znajome nazwisko, ale nikogo osobiście z tej pięknej rodziny nie znała. Ciekawość kazała przyjąć: — Prosić! — rzeknie, poprawiwszy się nieco z zaniedbanego negliżu, który wielce jej był do twarzy. Wchodzi mężczyzna, piękny, lat średnich, w okazałym polskim stroju i pełnym wdzięku ukłonem wita hrabinę. Hrabina oddaje ukłon za ukłon, twarz gościa zdaje się znajoma, ale gdzieby go widziała, nie przypomina sobie.

— Hrabina mnie nie poznaje? — ozwie się przychodzień dźwięcznym i pełnym wyrazu głosem. Rozalja pomięszana spuszcza oczy, i głos gościa wcale jej nie obcy. Tymczasem mniemany Fredro, zrzuca okragło ostrzyżoną perukę, odejmuje przyprawione wasy; hrabina podnosi oczy i w najwyższym zdziwieniu wykrzyknie: — Król!

— Tak jest hrabino! król, który dla służenia ci, wybrał strój wiele ci miłego przypominający.

— N. Panie! — rzecze dumnie hrabina — jeżeli wasza k. mość raczyłeś mię tak wysoko zaszczyścić, na cóż to przebranie się?

— Czyż sądzisz hrabino, że król wolny jest od siedzących go na każdym kroku?

— Któżby z poddanych śmiał szpiegować swego monarchę?

— Podobne tobie hrabino stworzenia. Ale cóż mówię podobne? któż z tobą porównać się zdoła? — Dlatego też bytność tu moja musi być tajemną. Przybrałem nazwisko Fredra nieobecnego w stolicy, przestroilem się w suknię niezwykłą i dla większego incognito przy-

szedłem piechotą z jednym tylko paziem, na którego dyskrekcji polegać mogę. A to wszystko wiesz hrabino dla czego?

— Mogęś śmieć odgadnąć?

— Możesz pani! Tak, przyszedłem podziwiać twoje wdzięki, nasycić się przyjemnością twojej rozmowy i otrzymać choć jedno życzliwe wejrzenie, choć jedno przyjazne uściśnienie dłoni.

— Tyle zaszczytu n. panie nad moją wartość, ale serce moje niewdzięcznym być nie umie.

— Więc hrabina rada gościowi?

— Hr. Fredro umie czytać w sercach drugich, a osobliwie w sercach kobiet?

— Czy to przybrane nazwisko miłsze hrabinie, niż moje własne?

— W. k. mość chcesz być incognito? Potrzebaż, ażeby w domu moim wiedziano, że król odwiedzić mię raczył?

— Słusznie! słusznie! Jak to w tem widać delikatność i takt właściwy wyższego ukształcenia damom.

— Więcej powiem, n. panie, z hrabią mogę być poufalszą, przytomność monarchy wraża uszanowanie należne ukoronowanej głowie, inne uczucia milczeć muszą.

— Znajdaj się dla mnie inne uczucia w sercu hrabiny?

— Byłabym prawdziwie szczęśliwą, gdyby hr. Fredro chciał wierzyć mojej dla niego najszczerzej przyjaźni.

— Czyż dla hr. Fredra zimna tylko ma istnieć przyjaźń?

— Jakież inne uczucia przynieść mu mogę? Mam męża...

— O! co w tem, to daruj hrabino, że ci nie wierzę. Stań obok Fryderyka przed lustrem, a wtenczas powiedz, czy go kochasz?

— Czyż jego umysłu i serca przymioty nie każą zapomnieć jego niepięknej postaci?

— Czy innej hrabina nie zna miłości?

— Nie!

— A maska ofiarująca jej róże?

— Tak, przystojny i miły w obcowaniu mężczyzna, mais c'est un cousin, i nic więcej.

Królowi, to „nic więcej“ wielce przypadło do serca, więcej stał się przymilającym. Po chwili hrabina zapytała:

— Czy pozwolisz hrabio czem sobie służyć?

— W domu twym hrabino wszystko dla mnie przyjemnem będzie.

— Hrabina zadzwoniła, wszedł marszałek jej dworu, hrabina rzekła:

— Każ nam wm, pan dać śniadanie i fruktów! — w kilka minut strojna służba zastawiła stół przyborem owoców, świeżo nadesłanych z dóbr hr. Fryderyka. Król, zdziwiony i doborem ich i rzadkością i wczesnem dojrzaniem, zapytał:

— I to wszystko z waszych ogrodów hrabino?

— Fryderyk kocha się, że użyję tego wyrazu, w sadach i pod szkłem najwykwintniejsze i najrzadsze owoce starannie pielęgnuje. Ale panu hrabiemu to wszystko tak powszednie...

— Mylisz się hrabino! W tym względzie jestem ubogi i szczerze wyznam, że więcej, niż ze smakiemżywiam twoje dary.

Pogadanka i traktament trwały więcej dwóch godzin, czas szybko i mile upływał, a tymczasem deszcz rześisty padać zaczął. Król mocno tem się zakłopotał, ale hrabina nie dozwoliła mu i pomyśleć o kłopotcie.

— Hrabia raczy łaskawie pozwolić, ażeby mój powóz odwiózł go do domu.

— Wszystkie twe rozkazy hrabino gotów jestem dopełnić — odpowiedział Stanisław, całując rękę hrabiny. W kilka chwil potem wsiadł do pięknej modnej karety, gdzie zastał wytworny koszyk wyborem fruktów

napełniony i odjechał do pani Krakowskiej. Odwiedziny te więcej niż zadowolniły hrabinę, jakie zamki budowała w umyśle, o czem marzyła, odgadnąć łatwo, znając próżność pięknej i powodzeniem na wielkim świecie popsutej kobiety. Odtąd widywanie się z królem częstsze się stało. Króla znajdowała u p. Krakowskiej, hr. Fredro nie szczędził odwiedzin w jej własnym domu. Stąd przyszło do zażyłości a zażyłość przywiodła do najściślejszych stosunków. Mijały miesiące, Fryderyk nie wracał, hrabina ani na to uwagi zwracała, byt obecny jej zamaskował, a przyszłość ani jej przez myśl się przesuwała. Hrabina opanować Stanisława Augusta umiała, ale panować nad nim nie potrafiła. Obca jej była dyplomatyka faworyt monarszych, mniemała, że wdziękami, miłą rozmową, namiętnem uściśnieniem wszystkiego dokaże, ale nie знаła niestałości Stanisława Augusta, który, jak motyl, wyssawszy słodycz z jednego kwiatka na drugi przelatywał. Wizyty króla stały się coraz mniej częste i Rozalja postrzegła w nich mniej daleko tej zalotności, jaką jej zwykle okazywał. Przyszło na myśl i porównanie z hr. Stefanem i przeszłość się nasunęła i ciężar jakiś osiadł na sercu i sumienie przemawiać zaczęło. Niewierność mężowi, złamanie wiary kochankowi, objawiły się, jak dwa straszne widma, prześladowające ją nieodstępnie. Czowała, że jeszcze kocha Stefana, ale nie mogła zataić przed sobą, że jego miłości nie była godną. Nie mogła bez wzdrygnięcia wspomnieć na stosunki z królem, których ślad pozostał. Czowała, że nie kocha Stanisława, a jednak odbierał on dowody prawdziwej miłości. Srogie wyrzuty zawrzały w jej sercu, i w tej walce okrutnej chodziła śpiesznie z zalamamanymi rękami, a w twarzy i w oczach ta walka żywo się objawiała; w tem oznajmiono hr. Fredra. Rozalja stała się znowu hrabiną, przybrała spokojność oblicza i postąpiła ku drzwiom salonu na powitanie dostojnego gościa, którego już od wielu dni nie widziała. Na ten raz nie był to król, ale piękny średniego wieku mężczyzna, w okazałym stroju narodowym i dziwnie miłego światowe-

go ukształcenia. Pozdrowiwszy hrabinę pełnym wdziękiem ukłonem:

— Jestem Fredro — rzeknie — wróciwszy do stolicy, miałem sobie za obowiązek odwiedzić łaskawego sąsiada, hr. Fryderyka, i zaprezentować się szanownej jego małżonce.

— Miło mi poznać się z przyjaciółmi mojego męża — odrzeknie zmieszana nieco Rozalja zawiedzionem oczekiwaniem — i rada jestem tak zacnemu gościowi. — Cere-monialna była i utrudzająca hrabinę rozmowa, ale umie-jająca panować nad sobą, starała się być uprzejmą. Po nie-wielu chwilach Fredro zabierając się do wyjścia:

— Mam jeszcze do spełnienia polecenie — rzecze — oddano mi ten list i nie wiem dlaczego żądano, ażebym go sam do własnych rąk hrabiny oddał: — to wyrzekłszy, wręczył pismo i pięknym ukłonem pożegnał Rozalję. Po wyjściu gościa, obejrzała piękny list, ale go rozpie-czutować nie śmiała. Od kogoż? — Czy może Stefan, spotkawszy Fredra w Wiedniu, pisał przez niego? ale pieczętka nie Stefana. Cyfra tylko S. A. R. — Waha się, namyśla, ale ręka, mimo wolę myśli, rozrywa pieczęć i kopertę. List krótki, podpis: Stanisław. To od króla! i hrabina wzięła się do czytania: — „Obecność hr. Fredra w Warszawie nie dozwala mi więcej pożyczać jego imienia. Dawno ci hrabino nie służyłem, niezmiennym przeciw dła ciebie zostanę. Jeśli jednak prawdziwy Fredro podobać się hrabinie potrafi, na tej zamianie nie stracisz“. — Wzburzyła się krew cała w sercu dumnej hrabiny, poznała, że była igraszką zalotnego monarchy. Zawrzała w sercu duma, poniżenie, w jakim się znalazła, srodze przebodło serce, i przed oczyma odkryła się przepaść, nad którą próżność ją zawiodła. Stan jej duszy był okropny. Oszukany mąż, zdradzony kochanek, zapomniane dziecię własne, a jeszcze straszniejszy nad to wszystko stan, w jakim się znajdowała, przywiodły Rozalję do rozpacz. Zajęta światem, zapomniała o Bogu! Bożyszczem jej była próżność, której wszystko poświęciła. Dzień

cały przeszedł okropnie, cienie nocy jeszcze okropność zwiększały, ledwie nade dniem sen gorączkowy skleił rozpalone powieki, na których ochłodę łązy przyjść nie mogły. Nazajutrz hrabina nie wstała z łóżka, czuła się udreżoną i osłabioną. Około południa po czteromiesięcznej niebytności nadjechał hr. Fryderyk, Rozalja zadrżała na tę nowinę, ale wnet jej przyszła myśl stanowcza i hrabina, przybrawszy zupełny pozór spokojności, z wypogodzonym obliczem męża witała.

— Ty cierpiąca jesteś Róziu — rzeknie troskliwie hrabia.

— Nic, to nic, mała niedyspozycja.

— Przecież, cóż ci jest? co cię dolega?

— Mówię ci, że to tak mała rzecz, że nie warta twojej uwagi.

— Nie mów tego, dla mnie najłżejsze twoje cierpienie jest ważnem.

— Jabym rad widzieć cię zawsze zdrową i szczęśliwą.

— Szczęśliwą! czyż nią z tobą nie jestem?

— A przecież cierpisz.

— Może to cierpienie dobry skutek nagrodzi.

— Nie rozumiem, co przez to chcesz mówić.

— A jeśliby to była nadzieja drugiego dziecięcia?

— Drugiego dziecięcia — rzekł hrabia z bolesnem zdziwieniem.

— Tak — rzeknie śmiało hrabina, — dziecięcia, które musi być twojem.

— Mojem być musi dziecę, do którego się nie poczuwam?

— A gdyby to był potomek ukoronowanej głowy?

— Hrabino! — rzeknie surowo Fryderyk — dość tych żartów! Pamiętam, jaką zapamiętałaś odrazę miałaś do króla i wierzyłem ci.

— A gdyby ta odraza zamieniła się w miłość?

— Mogłażbyś się tak unżyć?

— A twoja matka nie byłaż kochanką Augusta II-go?

Na te słowa hrabia stanął, jak wryty, poglądał na żonę wzrokiem, w którym walkę przywiązania z urazą wyczytać można było, hrabiny oblicze było spokojne. Po chwili Fryderyk rzeknie z powagą:

— Rozaljo! jeśli wyznanie twoje jest prawdziwe, to złamałaś wszystkie obowiązki twojego stanu, winna jesteś przed światem, przed Bogiem i przed własnem sumieniem.

— Tu nie o to idzie. Powiedz hrabio! to dziecię będzie twojem lub nie?

— Nigdy!

— I to ostatnie twoje słowo?

— Ostatnie i niecofnione!

— Słuchaj więc! Występek mój ukryć potrafię, ani będziesz tyle nieroztropnym, ażebyś hańbę twoją przed światem objawił. Ale drżyj! Doznasz, co może kobieta. Zemszczę się, a zemsta moja straszną będzie dla ciebie!

— Czy tak? mościa hrabino! chcesz wojny z mężem, który cię kochał, który cię uszczęśliwiał? — Ale już tych słów hrabina nie słyszała, odwróciła się do ściany i głowę w poduszkach ukryła. Hrabia z uciśnionem sercem udał się do swego pokoju, Rozalja cały dzień widziałną nie była. Nazajutrz Fryderyk taki list od żony odebrał. — „Panie hrabio, raz jeszcze prosząc zapytuję, czy moje dziecię przyjmiesz za twoje. Nie kochałam cię nigdy, odmówienie mej prośbie, bo się aż do prośby uniżam, wzbudzi nienawiść zawziętą, której skutków lękać się powinienes, bo powtarzam ci, gniew kobiety obrażonej nieubłagany, i straszną prowadzi za sobą zemstę“. Zadrzał z gniewu Fryderyk na to pismo żony, kochał on ją jeszcze, jako matkę drogiego mu dziecięcia, po długiem wahanu się odpisał hrabinie: — „Rozaljo! dlaczegoż udręczasz biednego Fryderyka? Czyż nie doznałaś najczulszej jego miłości w ciągu naszego pożycia? Taką ma być nagroda tego przywiązania? Widziałem skłonność twoją dla hr. Stefana i usprawiedliwiałem te uczucia dla tak godnego kochania człowieka i nie dałem ci poznać, że

wszystko widzę. Ale obecnie wyznanie twoje, czemże jest? — Rozaljo! Wszystko dla ciebie zrobię, ale powiedz sama, mogęż dzielić uczucia ojcowskie pomiędzy prawe moje dziecię i owoc twojego zapomnienia. Bo nie myśl, ażebym przykładał wiarę, a nawet żebym przypuszczał mniemanie, że zepsucie sprowadziło cię na drogę występku, że dobrowolnie zerwałaś wszystkie obowiązki, wiążące cię ze mną. Rozaljo! ja ci wszystko przebaczam, wszystko zapomnę, ale nie wymagaj ze mnie ofiary, której zrobić nie mogę i nie powinienem. Zapewnię los twojemu dziecięciu, ale mojem przyznać go, nie, nic mię do tego nie skłoni. Błagam cię Rozaljo! upamiętaj się, a twoim do zgonu i niezmiennym będzie Fryderyk“. — Za całą odpowiedź odebrał hrabia tylko list swój, na którym wielkimi literami napisano było: „Rozwód i zemsta!“ W kilka godzin potem hrabina wyjechała do swojej ciotki i Stasia z sobą zabrała.

Rozalja szczerze się zawzięła około rozvodu, i rozpoczęła go pod szczęśliwą wróżbą. Król zainteresował ks. prymasa, co miało wpływ i na konsystorz, bo chociaż ks. prymas nie zasiadał w tem sądownictwie, wpływ atoli jego był przemożny, i ani oficjał, ani zasiadający bratu królewskiemu narażać się nie poważyli. W całej Warszawie o niczem nie mówiono, jeno o rozwodzie hrabiostwa. Jedni, a tych może było wiele, co największą cenę i nawet szczęście do bogactw przywiązywali, naganiali hrabinie, że się z takim bogaczem rozłącza; inni dziwili się, że z mężem tak odrażającej postaci tyle lat przeżyć mogła i winszowali decyzji rozvodu; ale byli i tacy, co widząc jasno rzeczy i ze względu na postępowanie Rozalji, przed i po zamążpójściu, zgadywali cel rozvodu, nie tajne bowiem w całej Warszawie były wzajemne skłonności hrabiny i jej kuzynka, ale zdaje się, że przy rozpoczęciu rozvodu marzenia o tych uczuciach nie snuły się przed umysłem Rozalji. Sprawa tymczasem szła swoim torem. Hr. Fryderyk, biegły w znajomości wszelkiego prawa i w przyjaźni z oficjałem, używał wszelkich środ-

ków dla stawienia nieprzełamanych trudności. Prawo ma swoją siłę, którą pokonać aby czem trudno, officjał stał przy prawie i zadecydował, że, ponieważ hrabiostwo lat tyle wobec całego świata pięknie z sobą przeżyli, i że owocem tego pięknego pożycia było potomstwo, że ponieważ obie strony żądają rozvodu, a żadnych kanonicznych ważnych powodów niema, rozwód więc nastąpić nie może i tylko separację konsystorz nakazać może, separację najnieudogodniejszą Rozalji, a na którą hrabia chętnie przystawał. Hrabina była w rozpacz, czuła się winną, ale próżność jej rozdrażniona przeciwnościami, polubiła swoją winę, i dalej coraz brnąć nie wahała się. Potrzeba jej tylko było rady jakiego biegłego prawnika, a takiego w Warszawie znaleźć nie mogła.

Słynął naówczas w Lublinie p. Maleparta, pomiędzy biegłymi najbiegłęjszy jurysta. Znany był w całym kraju ze zręcznego zastosowania prawa do okoliczności w każdej sprawie. Umiał najniewinniejszego prawnie potępić i największego przestępcę uniewinnić, znajdując na wszystko dogodne bronienie takowego to, lub takowego artykułu z kodeksu, bądź cywilnego, bądź kryminalnego, a nawet kanonicznego. Ktoś hrabinie doradził szukać jego pomocy, leci więc do Lublina i natychmiast stawia się przed p. mecenasem. Skoro mu oznajmiono przybycie hrabiny, wyszedł naprzeciw niej i z uszanowaniem do gabinetu swego wprowadził. Długo w milczeniu wpatrywali się w oczy jedno drugiemu, nakoniec ozwie się jurysta:

— Pani hrabina chciałaby zapewne poradzić się w swojej rozwodowej sprawie?

— Nie inaczej mości mecenasie, po to właśnie tu przyjechałam.

— Żleś p. hrabina trafiła. Jej sprawa w konsystorzu, a ja się w kanoniczne sprawy nie wdaję.

— Ale w mojej sprawie i sam król się interesuje.

— Wolno n. panu interesować się sprawami jego poddanych i wspierać je, ale p. hrabina wie, że u nas król jest władzą wykonawczą i, ulegając prawu, zmienić go nie

może, chyba za wolą sejmu, a chciałabyś pani, ażeby sprawa jej wytoczyła się przed ten straszny areopag?

— O! nie, ja pragnę ukończyć w konsystorzu a pełna zaufania w wysokiej mądrości p. mecenasa, dobrej jego rady upraszam.

— Jakież pani masz przyczyny rozwodu?

— Że młoda i niedoświadczona, za namową drugich oddałam rękę hrabiemu.

— Zdaje mi się jednak, że p. kasztelanka musiała mieć pełne lata, kiedy już i osobą swoją i fortuną władała.

— Ale mój mąż jest nieznośnie brzydki i odrażający.

— Czy był piękniejszym starając się o jej rękę? Czy postępowanie z żoną wyrównywało jego szpetności?

Hrabina milczała, Maleparta pilnie w nią wpatrując się mówił:

— Czy możesz mu pani zarzucić, że materialnie, równie jak i moralnie był złym mężem? Czy mieliście potomstwo? Czy masz mu do zarzucenia niewierność i grube obchodzenie się z nią w pożyciu?

— Na nieszczęście, prócz mej nienawiści dla niego, innych nie mam powodów.

— Jakież były przyczyny tej nienawiści?

Hrabina spuściła oczy, prawnik dalej mówił: — Lekarz chce poznać chorobę, poznać musi dokładniej najdrobniejsze okoliczności, mogące dać powód do choroby. P. hrabię mię rozumie?

— Mógł panu zaufać? Nie zdradziszże mojej tajemnicy?

— *Sacro sancte* dochowam jej sekretu, ale chciej mi się zupełnie powierzyć. Hrabina wahała się, potrzeba było wypowiedzieć się z całego postępowania, potrzeba było wyznać to, co nawet przed sobą samą ukryćby chciała. Sroga walka toczyła się w jej duszy, sumienie odzywało się jeszcze, ale ambicja, próżność i chęć zemsty przemogły i hrabina i miłość swoją dla Stefana i intrygę z królem wyznała, nie tając nawet ostatniej z mężem rozmowy.

— W tem wszystkim, co mi p. hrabina opowiadasz, widzę tylko złą stronę pani i najczystszy interes hrabiego. Pani rozwodu nie otrzymasz.

Hrabina wzdygnęła się na te słowa, ale zbierając się w myślach, zręcznie położyła na kantorku sporą sakiewkę złota i poniosła chustkę do oczu, jakby dla otarcia łez, których może i nie było. Prawnik spojrział na worek zważył w rękę i pełnym współczucia tonem ozwie się do płaczącej:

— Smutek pani hrabiny silnie przemawia do mego serca, czuję jej niedolę i radbym z całej duszy pomódz jej moją radą.

— O! ratuj nieszczęśliwą! W tobie jedyna moja nadzieja.

— Znajdą się jeszcze może sposoby, zobaczymy. Miałażbyś p. hrabino męstwo poświęcić własne dziecię dalszym widokom i pozbawić męża ulubionego mu potomka?

— Ta myśl i mnie przychodziła. Mogęż się tak osławić publicznie?

— A jeśli tego będzie potrzeba dla dzisiejszego jej położenia?

— Nie możnaż innym sposobem tej nieprawności dziecięcia dowodzić?

— W tem pani, jako kobieta, potrafisz sobie poradzić. Ja to tylko powiadam, że zniszczenie tego przedmiotu, wiążącego małżeństwo przed Bogiem i prawem, rozwiąże węzły od kościoła zatwierdzone i pani rozwód łatwo otrzymasz. Dam pani list do ojca Bernarda ex-jezuity w Warszawie, staraj się ująć mnicha, a on biegły znajomości praw kanonicznych, jako utrisque juris doctor, wynajdzie powody zdolne pokonać surowość konsystorza.

Hrabina chciała ucałować rękę zacnego mecenasa, ale ten uprzedził damę i jej rękę ucałował, potem siadł do kantorka dla napisania listu, hrabina utonęła w swoich marzeniach. Oddając pismo hrabinie, postrzegł na jej palcu pierścień z prześlicznym szmaragdem, upominek

hr. Stefana w chwilach szczęśliwych jego miłości; jął mu się przypatrywać i pyszny klejnot wychwalać. Rozalja uradowana i radą i pomocą prawnika, bez wahania się zdjęła pierścień z palca i podając mu go: „to — rzeknie — będzie pamiątka mojej dla p. mecenasa wdzięczności“ — prawnik ucałował rękę podającą mu pierścień i hrabinę aż do ganku odprowadził. Upominek prawdziwej miłości stał się nagrodą brudnej intrygi.

Wracając do Warszawy hrabina rozmyślała o swym obecnym położeniu, a myśl, przenosząc się z przedmiotu na przedmiot, z okoliczności w okoliczność, uniosła się daleko w przeszłość i odezwała się w hrabinie Rozalji. Wywołane ubiegłe lata wywołały wspomnienia miłe, już prawie zatarte. Nie mogła zataić przed sobą, że była z Fryderykiem szczęśliwą, że ten nadmiar szczęścia spospolićiał i nakoniec znudził ją. Żal jej było za przeszłością, a przyszłość nie w jasnych barwach marzeniom jej się przedstawiała. Jeśli potrafi ukryć swój stan obecny, to jeszcze połączenie się ze Stefanem wszystkie jej zabiegi uwieńczy. Ale możeż się to ukryć? Czyż to nie jest wiadome Fryderykowi? czyż nie odmówił jej wymaganiu? I ta myśl obudziła całą jej zawziętość i znowu Rozalja znikła w hrabinie.— „Nie! — mówiła do siebie — kiedy nie chce przyjąć mojego dziecka, to i swojego mieć nie będzie“. I to postanowienie owładło wszystkimi uczuciami i o rozwodzie tylko marzyła. Stanąwszy w Warszawie, posłała najpierwej do ś. Krzyża, gdzie mieszkał o. Bernard, zapraszając zakonnika na konferencję w ważnym interesie. Nie odmówił i w godzinę potem oznajmiłno ks. ex-jezuitę. Był to człowiek lat pięćdziesięciu, wysoki, chudy, rysów twarzy wydatnych, z czarnemi z pod brwi błyskającemi oczami i ściągniętymi ustami. Hrabina postąpiła ku niemu aż do drzwi salonu, zakonnik ze złożonemi na piersiach rękami, nisko się pokłonił. Hrabina prosiła, aby usiadł, i nie tracąc czasu:

— Oto jest list do waszej przewielebności, racz go przeczytać, a będziesz świadom o co chodzi. — Starzec

wziął pismo, dobył okularów i czytał; hrabina oczu z niego nie spuszczała i dopiero rozpatrzywszy się w rysach jego, dostrzegła, jak odrażającą była fizjognomja tego, który ma o jej przyszłości stanowić. Im dalej czytał list, tem więcej w twarzy jego malowała się chytra ironja i niemało cynizmu. Wzdrygnęła się Rozalja, wspomniawszy sobie, z jakimi ludźmi położenie jej zmuszało ją mieć stosunki, ale karta rzucona, cofnąć się już niepodobna. Skończywszy czytanie, Bernard z uniżonością jezuicką skromnie zapytał:

— Czegóż jw. hrabina żąda ode mnie?

— Ażebyś ojcie pomagał w mojej sprawie.

— Z duszy radbym służyć p. hrabinie, ale to nie moja rzecz. Niegodnemi mojemu modlitwami jedynie pomoc nieść mogę.

— Ale tak głęboki teolog i tak biegły prawnik! — rzecze hrabina ściskając mu rękę, w którą wsunął się nieznacznie 50-dukatowy rulonik — czyż odmówić zechce prośbom żony znękanej i szukającej wsparcia w głębokiej jego mądrości?

— P. hrabina tak czule przemawiasz do serca, że niepodobna nie uczuć jej niedoli i nie nieść jej najtroskliwszej pomocy i usługi. Kogo pani masz adwokatem w konsystorzu?

— P. Augustowicz trudni się moją sprawą.

— O! to bardzo prawy człowiek i biegły prawnik, ale niedostaje mu energii w decydowaniu się na krok stanowczy.

— Mogęż zmienić patrona w ciągu rozpoczętej sprawy?

— I dziesięć razy, jeśli się pani podoba.

— Kogoż mam wybrać na jego miejsce?

— Jakiegoś duchownego, obznajomionego z prawami kanonicznymi.

— Któż tu znajdzie się w tem doskonalszy od wmpa na dobrodzieja?

— I bardzo wielu! Mościa hrabino! — ale w tej od-

powiedzi zakonnika jawnie przebijają się „ja“ i hrabina go pojęła.

— Więc błagam! nie odmawiaj przyjęcia mej sprawy.

— Ale! mościa hrabino! ale!..

— Idzie o wynagrodzenie? proszę mię nieoszczędzać, czem mogę usłużyć?

— Tysiączek czątych na biednych rozproszonych synów Lojoli!

— Będiesz je mieć, ale działaj i doprowadź do pomyslnego końca mój interes. — W dalszej konferencji powtórzyło się to wszystko, o czem mowa była u Maleparty, ale kiedy rzecz doszła do pozbawienia syna i tytułów rodowych i ogromnej fortuny i serca ojcowskiego, Bernard pełnym czułości głosem zapytał: — I p. hrabinie nie żal dziecięcia?

— Sąż jakie inne sposoby ratowania się?

— W rzeczy samej, ten jest jedyny tylko i najpewniejszy, ale co na to mówi serce matki?

— On przez to nie przestanie być moim synem, a mój własny majątek jest dla niego dostateczny.

— Czy pani masz jakie zapisy od hrabiego?

— Gdybym go przeżyła, dożywocie na całym majątku.

— Przez rozwód pani od tego dożywocia odpadasz.

— Mniejsza o to. W powtórnych związkach znajduję i szczęście pożycia i prawie tak wielką fortunę.

— Więc rzecz skończona. Jutro p. hrabina podasz do konsystorza o zmienienie p. Augustynowicza. To rzekłszy skłonił się nisko i wyszedł.

— W kilka dni potem stanął o. Bernard w konsystorzu, wymownie i energicznie malując ucisk hrabiny i potrzebę rozłączenia jej z mężem.

— Ale ojcze Bernardzie! — rzecze oficjał — już to wszystko roztrząsaliśmy i okazało się, że pożycie hrabstwa było dobre i uwieńczone potomstwem.

— A jeśli ten potomek nie jest synem hrabiego?

— To fałsz! Mamy w ręku literalne dowody prawości ojcostwa hrabiego.

— A jeśli dowody złożę i świadków postawię, że się rzecz ma inaczej?

— Ojciec Bernardzie! nie unos się! To ci będzie przytudno.

— Owszem *illustrissime*! Mały Stanisław jest podrzutkiem i prawdziwi rodzice jego żyją.

— Prawda! — ozwie się patron hrabiego — żyją i są tu w Warszawie, hr. Fryderyk i hrabina Rozalja.

— Korona hrabiowska nie wieńczy czoła chłopca wieśniaczego.

— Dość na tem — rzeknie oficjał — złoż waszeć dowody i postaw świadków, bo słowa same rzeczy nie stanowią.

— Na następnej sesji *illustrissime*! wszystko dopełnię.

— Kiedyż sesja? — zapytał oficjał sekretarza. Ten spojrział w protokół, potem w rubrycelę i rzekł: za dziesięć dni.

— Dobrze! teraz solwuję sesję — rzekł oficjał, powstał i wszyscy ruszyli się do wyjścia. Z sesji oficjał udał się do hrabiego. Hrabia mocno był zmartwiony postępowaniem Rozalji, kochał ją jeszcze, może nie jak żonę, z którą lat kilka pożycia mile mu upłynęło, ale jak matkę drogiego mu dziecięcia. Czuł, że gdyby mu przyszło znowu żyć z nią, pożycie to byłoby pasmem niesmaku i nieporozumień trujących spokój domowy. Separacja zdawała mu się najprzyzwoitszym środkiem rozłączenia, nie zrywając przyjaznych nawet stosunków jedynie dla syna. Pewny, że sprawa ukończy się odpowiednio jego życzeniu, układał sobie, jak i wyznaczy fundusz hrabinie do przyzwoitego jej utrzymania z synem, dopóki ten nie dojdzie lat potrzebnych do rozpoczęcia nauk i w tych miłych marzeniach zwiastowano mu przybycie oficjała. Wyszedł z uszanowaniem naprzeciw czcigodnego pasterza; starzec czule uściskał hrabiego, a gdy usiedli

tak się odezwał: — Nie miłej sercu twemu kochany Fryderyku jestem posłańcem nowiny, ale ją mężnie znieść potrzeba i jeszcze mężniej opierać się skutkom mogącym z niej nastąpić. Hrabina w sprawie swojej za patrona przybrała ojca Bernarda.

— Mówią, że jest nadzwyczaj biegłym w znajomości prawa, a szczególnie kanonicznego.

— I potrafi znaleźć środki do poparcia najgorszej sprawy.

— Tego się nie lękam, bo pani Rozalja niema ani jednego punktu mogącego popierać rozwód, wszystkie są na moją stronę.

— Tak, dotąd! — ale jeżeli hrabina zechce ci dowieść nieprawości twojego dziecięcia?

— Ona! miałażby tyle złości w swej duszy, ażeby i mnie i sobie wydrzeć jedyne szczęście?

— A jednak patron jej wniósł tę kategorję do konsystorza i za dziesięć dni ma złożyć dowody i świadkami je zatwierdzić.

— O! tego nie dokaże. Wszak sam byłem najpierwszym świadkiem urodzenia mojego Stasia, wszakże i ta żyje, która go odebrała i na to wszystko mam literalne dowody.

— Daj Boże! uweseliłoby się serce moje, bo i złość bezbożnej kobiety byłaby ukarana i mój przyjaciel zachowałby pociechę dalszego życia. Nie trać więc czasu i pośpieszaj z dostawieniem tego wszystkiego, co twoją sprawę wyjaśnić może. Ja potrafię zawiesić dalszy ciąg procesu pod pozorem rozpatrzenia sprawy w najdrobniejszych jej szczegółach. Działajmy silnie, a może jeszcze dobra sprawa tryumf odniesie. Żegnam cię przyjacielu! męstwo i działalność przy pomocy Boskiej niech cię nie odstępują. Uścisnęli się przyjaciele, hrabia odprowadził biskupa aż do karety. Ale co się w sercu biednego Fryderyka działo! Jak grom jaki, brzmiały w uszach jego słowa przyjaciela. Pojąć nie mógł zawziętości, z jaką Rozalja uwzięła się na jego szczęście. Rozpamiętywał całe

swoje z nią pożycie, ale wszędzie widział postępowanie swoje najuczciwsze. Rozbierając jednak wszystkie prawie chwile, z porządku przypominał sobie ostatnią z żoną rozmowę. Tu stanęły mu w myśli słowa Rozalji, „a zemsta moja straszną będzie“ — i padł na krzesło, jak piorunem rażony.

Hrabina wiedziała o sesji i niecierpliwie oczekiwała swego patrona. Nie opóźnił się o. Bernard i z uweselonem obliczem idącą naprzeciw niego powitał. — Dobra nasza, hrabino! Wniosłem straszną kategorię, przeraziła wszystkich. Oficjał kazał złożyć dowody, oświadczyłem, że i świadków dostawię. Masz-że pani kogo, coby przysięgą stwierdził zadaną dziecięcia nieprawość?

— O tem pomyślałam. Miałam służącą, córkę zasłużonych w domu naszym, wydałam ją zamąż i los jej zapewniłam. Mieszka niedaleko w moim majątku, za parę dni może być tu i pewna jestem, że na jej przywiązaniu i wierności polegać mogę.

— Skoro przyjedzie, niech ją hrabina przysze do mnie dla dania instrukcji, co i jak ma mówić.

— Dobra to kobieta i prosta, potrzebaby silnie podziałać dla przełamania skrupułów, jakieby mieć mogła.

— Każ jej pani spowiadać się, a to będzie najlepszy środek.

Na tem skończyła się konferencja. Hrabina uradowana wsunęła znowu rulonik, zakonnik pokornie się skłonił i wsunął do kieszeni ofiarowane złoto dla wsparcia rozproszonych synów Lojoli. Takie to wówczas było rozprężenie obyczajów na wielkim świecie, taka miłość złota! Hrabina, kupiwszy sobie w duchownym obrońcę najgorszej sprawy, cieszyła się już najprzód pomyślnem jej rozwiązaniem. Odzywało się czasem macierzyńskie uczucie, ale mówiła sobie: „Staś nie mniej przeto synem moim będzie, choć nie będzie hrabią“ i ubezpieczała sama siebie, że w postępowaniu jej nic nieprawego niema. Nadjechała oczekiwana Wiktorja, hrabina przyjęła ją ze łzami; dobra kobieta wzięła te łzy za tłumaczyw cierpień

hrabiny i szczerze nad panią swoją zapłakała. Rozalja wyobraziła jej pożycie swoje najniezszczęśliwszem, Wiktorja wszystkiemu uwierzyła, bo po pobraniu się hrabiostwa rok tylko jeszcze była w służbie. Hrabina tak dalej mówiła:

— Musiałam pójść do rozwodu, sprawa zaczęta, chcesz mi być w niej pomocą?

— O! pani moja! matko moja! Wszystko, co tylko w możliwości mojej! wszakżem ci szczęście moje winna.

— Ja cię jeszcze więcej uszczęśliwię moja Wiktosiu! Ale żebyś mogła być pomocą w mojej sprawie, potrzeba ci przysiądz, a przed przysięgą wypowiadać się potrzeba. Mam tu znajomego bardzo pobożnego księdza, dam ci do niego bilet i jutro pójdziesz do ś. Krzyża, a tam go znajdziesz. Wiktorja bardzo kochała swoją panią, czuła dla niej wdzięczność za odebrane łaski i za te, których spodziewać się mogła, na wszystko więc łatwo przystała i nazajutrz raniutko udała się do kościoła. Górna świątynia jeszcze zamknięta była, w dolnej żałobna msza się odprawiała, przy wejściu przechadzał się poważny siwizną kapłan, odmawiając pacierze. Wiktorja z uszanowaniem przybliżywszy się, zapytała o ojca Bernarda.

— Ja jestem, czego potrzebujesz moje dziecię?

Wiktorja oddała mu list hrabiny, ksiądz przeczytał. — Dobrze moje dziecię, chcesz się spowiadać? Dokończę moich pacierzy, a tymczasem przygotuj się, uczyn intencję i zbierz myśli twoje, bo spowiedź jest Sakramentem, do którego lekkomyślnie przystępować nie można. Wiktorja uklękła przed bocznym ołtarzem i gorąco się na intencję pani swojej modliła. Skończyła się msza i kapłan wyszedł, ojciec Bernard dał znak modlącej się i zasiadł w konfesjonale. Krótka była spowiedź pocziwej niewiasty, Bernard dalej pytał:

— Czy starałaś się odwdziaczyć dobrej swej pani?

— Nie miałam dotąd okazji do tego.

— Wdzięczność za dobrodziejstwa jest obowiązkiem religji, mogłażbyś więc dla twej pani poświęcić się?

- Na wszystko!
- A gdyby żądała twojego świadectwa w ważnej okoliczności jej sprawy?
- Przyświadcę wszystko, com tylko widziała.
- A gdyby potrzeba było świadczyć rzecz niewidzianą?
- Jeśliby to było podobnem do prawdy i nie obciążło mojego sumienia.
- Słuchaj! moja duszo! kłamstwo jest ciężkim grzechem przed Bogiem, ale jeżeli kłamstwo popełnia się dla ratowania w nieszczęściu bliźniego, to je Pan Bóg odpuszcza.
- Co mam czynić mój ojczu?
- Masz Stasia przyznać za twego syna.
- A Pan Bóg z jegomością! A gdzież takie jawne kłamstwo!
- Czy ty kochasz swoją panią?
- Jak matkę rodzoną.
- A przecież nie chcesz podać jej ręki w nieszczęściu.
- Ale pozbawiając państwa moich jedyne go dziecięcia, możesz kiedykolwiek mieć spokojne sumienie?
- Jakże ty mało masz religiji! Czyż nie widzisz w postępku swoim najnotliwszego poświęcenia twego dziecięcia na miejsce dziecięcia twojej pani, zmarłego w samej chwili urodzenia.
- Ale kiedy tak nie było, jak mi Bóg miły! nie było.
- Ale być mogło. I wiara ci nakazuje dla szczęścia twej dobrej pani wyznać przed sądem, że wzruszona jej łzami, oddałaś jej swoje dziecię. Takie kłamstwo Bóg ci odpuści, spokojność twojej pani będzie twoją duchowną nagrodą, a doczesnej spodziewać się możesz obficie od hrabiny.
- Ale pan hrabia! On taki dobry! jego lękam się obrazić.
- Dobry uczynek ma za sobą obronę Boską, a twój postępek więcej niż dobrym będzie.

— Jeżeli przyświadcę, któż słowom moim da wiarę?

— Stwierdzisz je przysięgą.

— Jakto? jeszcze i krzywoprzysięstwo? O! Boże mój, na to się nie poważę.

— I kłamstwo i krzywoprzysięstwo spełnione dla dobra bliźnich, odpuszczone będą.

— I znajdzie się ksiądz, któryby mię rozgrzeszył?

— Ja ci dam rozgrzeszenie; jako kapłan, mam władzę odpuszczenia, a co my odpuszczamy i Bóg odpuści. I cóż zezwalasz na twoje świadectwo? Wahasz się? Pomnij, że jeszcze straszniejszy grzech popełniasz, bo zabijasz swoją panią. Twe świadectwo zbawić ją może, bez niego zgryzota wpędzi ją do grobu i jej śmierć na twojem sumieniu będzie! Cóż?

— Niech się dzieje wola Boża! Pani moja kochana! dla ciebie!..

— I przyjmujesz Stanisława syna hrabiny za swego?

— Przyjmuję!

— I zaświadczysz to przed sądem?

— Zaświadczę.

— I stwierdzisz przysięgą?

— Stwierdzę!

— Ego te absolvo, mruczał Bernard pod nosem i uprzednią absolucją zdjął skrupuły z sumienia prostej duszy, i utwierdził w mniemaniu, że grzechu nie popełnia. Co się w sercu biednej Wiktorji działo! sumienie ją strofowało, ale słowa kapłana sumieniu milczeć kazały. Wychowana w pobożnej prostocie, słowa spowiednika uważała za swoją wyrocznię. Bo jakże, ksiądz, jeszcze i na spowiedzi mógłby ją do grzechu namawiać. Uspokojona więc wróciła do hrabiny i wszystko jej opowiedziała. Ze łzami Rozalja ścisnęła Wiktorję, czuła bowiem, że w istocie występki tej sługi był ciężki i że tylko intryga mogła proste serce tej dobrej kobiety omamić i sumienie zagłuszyć. Coś nakształt zgryzoty przemknęło się w sercu hrabiny, ale nadzieja dopięcia zamiaru i to zagłuszyła.

Ułożyły więc powieść o Stasiu, jaką miała zaświadczyć Wiktorja.

Hrabia, przyszedłszy do siebie ze swego bolesnego odurzenia, pojechał odwiedzić żonę, ale hrabina odwiedzin nie przyjęła i w rozpacz prawie wrócił do siebie. Żadna myśl dobra nie przychodziła do głowy, wszystko czarno mu się w przyszłości malowało i upadał na duchu. I nie dziw, bo tu już nie szło o żonę, której szacować nie mógł, ale o jedyną pociechę, o jedyną nadzieję świetnej i szczęśliwej przyszłości, chodziło o syna! Sesja stanowcza zbliżała się, potrzeba działać i hrabia dałby był pół majątku za dobrą radę, ale tej rady znaleźć nie można było. Kobiety, będącej przy urodzeniu Stasia, śladu nawet gdzie się wyniosła nie znajdowano. W takim stanie duchowego upadku zastał go oficjał:

— Cóż mój Fryderyku? maszże czem obalić zarzut zrobiony przez patrona Rozalji?

— Nie, mój ojczy! nic nie mam na obronę. Kobieta nawet odbierająca dziecię moje zniknęła z tamtych stron, ani jej odszukać można.

— A doktór?

— Co chwila go wyglądam i na nim cała nadzieja moja.

— Słuchaj! na odparcie złościwości kobiety, dla której nic świętego niema, wszystkie środki są pozwolone. Mnie kapłanowi nie należałoby może podawać podobnej rady, ale człowiekiem jestem i bliźniemu pomagać w dobrej sprawie za najświętszy mam obowiązek. Użyj twoich bogactw!

— Czyż ich żałuję? Połową majątku opłaciłbym dobrą radę.

— Tak wiele nie potrzeba, tańszych dostaniesz świadków.

— Ale czas już tak krótki!

— Tego się nie lękaj! Potrafię, pod pozorem wzięcia pod ścisłą rozługę świadectw hrabiny, dać zwłokę

procesowi, ale potrzeba, ażebyś się z nią widział i raz jeszcze pomówił.

— Chciałem to zrobić, ale mię nie przyjęła.

— Więc ja sam do niej pojedę i użyję wszelkich sił duchownej wymowy dla obudzenia w niej wiary. Może tyle będę szczęśliwym, że wzruszę w niej uczucia natury i sumienie obudzę.

— Ojczy! Idź! w tobie nadzieja.

W pół godziny karetą oficjała była u bramy mieszkania hrabiny, zajętej konferencją z ojcem Bernardem. Oznajmiono gościu. Tak dostojnej osoby nie przyjąć, niepodobna było, Bernard polecił tylko hrabinie stałość w przedsięwzięciu i bocznemi drzwiami wysunął się z pokoju. Hrabina przyjęła biskupa z uszanowaniem i ze spokojnem obliczem. Długo biskup badawczym wzrokiem wpatrywał się w twarz Rozalji, ale to nieme wybadywanie nie wywołało na niej żadnej zmiany, nareszcie biskup tak się odezwał:

— Cóż mościu hrabino! czy trwasz upornie w twojem przedsięwzięciu?

— Dlaczegożbym miała je zmienić?

— Czy wspomnienie błogiej przeszłości, wysokiego socjalnego stanowiska, czy nakoniec miłość macierzyńska nie przemawiają do twego serca?

— Przeszłość się zapomniała, a dziecię! mamże ja dziecię?

— Jakto? a tenże syn, któregoście z taką troskliwością w takich pieczętotach wychowali?

— Staś? ani hrabiego, ani moim nie jest synem.

— Natura nie może przemawiać we mnie, nie za mojem dzieckiem.

— Kobieto! opamiętaj się! stoisz przed kapłanem, w obliczu Boga, który jednym skinieniem może cię zniszczyć i na wieczne skazać męczarnie! Czegoż żadasz od hrabiego? mów! wszystko on gotów poświęcić dla swego syna.

— Hrabia wie o co chodzi.

— Ale i ja wiedzieć powinienem.

— Wszakże nie jestem przy konfesjonale.

— I nie będziesz przy nim. Kościół zamknie się przed tobą i w ostatnich nawet chwilach żaden kapłan ostateczną pociechą nie ulży udręczeniom sumienia, nie dającym spokojnie skonać!

— To zostanę luteranką.

— O! czarne stworzenie niegodne imienia człowieka! W imię tego Boga, którego tak ciężko obrażasz, rzucam klątwę na ciebie!

Hrabina głośno się rozśmiała, ale w tym śmiechu było coś tak piekielnego, na twarzy wyraz był tak szatański, że oficjał wzdrygnął się, odwrócił oczy i śpiesznie opuścił jej mieszkanie. Ale i hrabinę samą strach objął i ruszyć się z miejsca nie mogła, wtem wszedł o. Bernard, oczekujący tylko w przyległym pokoju na odejście biskupa i swoją wymową potrafił uspokoić hrabinę, upewniając, że on, jako wiadomy jej tajemnic, rozgrzeszy ją i klątwę z niej zdejmie.

Tymczasem hrabia, nie mogąc uzyskać widzenia się z żoną, napisał do niej w te słowa: „Jeszcze raz Rozaljo! odzywam się do ciebie, do twojego serca, w którym tak piękne tały uczucia, które żyło dla dobra drugich! Zlituj się nad nieszczęśliwym ojcem! powróć mu jego dziecię! Do rozwodu dopomogę, dwa miljony ci ofiaruję, zostaw mi mojego Stasia! zaklinam cię na miłość tego dziecięcia, na pamięć matki twojej!“ Hrabina odebrała list, przeczytała i na drugiej stronie napisała: „Nie o rozwód idzie, ani o bogactwo! albo dwóch masz synów, albo żadnego! Pomnij! że podskarbi względem przyjęcia ciebie nie robił tyle trudności“. Hrabia przeczytawszy te słowa zemdlał z bóleści. Zbiegli się przyjaciele pocieszać cierpiącego z całym współczuciem przyjaźni, ale nikt prawdy nie wiedział. Hrabiego ostatni wyrzut ubodł srodze, że i nienawiść i wzdarcę uczuł ku żonie. Bolał nad utratą swego ojcostwa, ale uraza przemogła i miłość dla dziecięcia. Jeszcze przecież nic ostatecznie nie postanowił,

zdawało mu się bowiem, że Rozalja nie zechce okryć się hańbą publicznie wyznając przed konsystorzem, że ojcem jej dziecka nie był jej mąż. Postanowił więc sobie być osobiście na tej sesji, mającej rozwiązać tak ważną dla niego okoliczność.

Minęło dziesięć dni, nadeszła stanowcza sesja, oficjał zezwolił, ażeby była publiczna, mnóstwo więc dystyngowanych osób napełniało salę. Sprawa rozwodowa hrabiny wiadoma była całej Warszawie, ale szczegółowych jej okoliczności nikt nie znał, ciekawość przeto powszechna sprowadziła licznych widzów. Hrabina stawiała się jako działająca; czarna szeroka suknia całą jej figurę okrywała, głowę otaczała czarna zasłona nie zakrywając twarzy. Rozalja jeszcze piękną była, a czy to niepewność sprawy, czy też może i wewnętrznie upominające sumienie działało, hrabina była blada i nie miała w obliczu tej spokojności, jaką w potrzebie przybrać umiała. Oficjał podniósł się, gdy weszła i wskazał jej miejsce, na którym usiadła. Fryderyk siedział smutny, ale twarz jego była spokojna. O. Bernard wymownie wprowadził sprawę, wyliczał przyczyny powodujące hrabinę do rozłączenia się z mężem i tak dalej rzecz swoją prowadził: — Niepodobna było hrabinie żyć z mężem, z którym tyle cierpiała, a z którym pożycie dalsze nie robiło jej nadziei, ażeby kiedy była matką, bo i ten chłopiec, którego z takim staraniem wychowywali, nie jest ich synem.

— Fałsz! — wykrzyknie razem hrabia i oficjał — oto jest obecny tu lekarz, w którego oczach urodziło się dziecko! — doktor przyświadczył najdowodniej.

— Nie zaprzeczysz doktorze, że to dziecko urodziło się słabe?

— Temu nie przeczę.

— I wkrótce po przyśściu na świat skonało.

— Jako żywo! nazajutrz już było silniejsze.

— Tak, w istocie, ale to było już inne dziecko położone na miejscu zmarłego.

— Jakież masz na to dowody?

— Oto jest niewiasta, która dotknięta boleścią swojej pani, nie wahała się poświęcić jej swojego dziecięcia, a tym sposobem hrabstwo zostali oszukani i dziecię tej kobiety przyjęli i wychowali za swoje.

Kazano przybliżyć się Wiktorji. Drżąca, pomiészana zbliżyła się do stołu, zachwiała się, ale spojrzawszy na hrabinę, zrozumiała jej wejrzenie i dość śmiało opowiedziała ułożoną wprzód z Rozalją historję.

— I stwierdzisz to przysięgą? — zapytał oficjał.

— Stwierdżę! odrzekła drżącym głosem. Wszyscy obrócili oczy na mówiącą, oficjała oburzyła bezczelność, której był pewnym, a której jednak nie miał czem zwalić.

— Otóż jest prawdziwa matka syna hrabiego, ale nie hrabiny, a jeśli hrabia popiera swoje prawo ojcostwa, to chyba miał stosunki z obecną tu kobietą.

— Zobaczymy! ozwie się oficjał — potrzeba stawić tu dziecię. Natura powinna się odezwać, a naiwność dziecinna udawać nie potrafi.

— Zgoda! odpowie o. Bernard, ufny, że dziecię poprzedniczo rolę swą odegrać potrafi. Posłano Wiktorję po Stasia, wszyscy niecierpliwie oczekują przybycia jego. Bernard wstrzymał przysięgę. Hrabiego serce silnie bije, swobodnie odetchnąć nie może, Rozalji część twarzy zakrywa welum, trudno dostrzedz jakie w niej grają uczucia, ale lekkie drżenie ciała ukryć się nie zdoła. W sali głucho milczenie, oczy wszystkich ku drzwiom zwrócone. Nareszcie wprowadzają Stasia, hrabia wstał i przechylił się ku wchodzącemu dziecięciu. Staś, wyrwawszy się z rąk Wiktorji, biegnie do hrabiny i rzuca się jej na szyję. Rozalja odpycha go od siebie i oddając Wiktorji zawoła: — To jest twoja matka. — Odtrącone dziecię, postrzega hrabiego, bieży do niego i tuląc się do jego piersi krzyknie — „Tatu! prawda, że Wiktorja nie moja mama?“ — Hrabia rozrzewniony mówić nie może, przyciska tylko do łona tulące się dziecię, wszyscy już pewni wygranej hrabiego, a w tem Bernard przybliżył się do Stasia i pełnym słodyczy i czułości tonem zawoła:

— Biedna dziecino! hrabia nie jest twym ojcem!

— Falsz! ozwą się razem hrabia i oficyał — natura jasno przemówiła przez usta dziecięcia.

— To nie natura, to nawyknienie od urodzenia odzywa się w dziecku.

— Na to zabraknie ci dowodu.

— Mościa hrabino! zawoła Bernard, — szczerze chciałem ci dopomódz, chciałem temu dziecku dać prawych rodziców, ale wszystko się moim dobrym chęciom sprzeciwia. Niepodobna inaczej działać, jeno prawdę wobec publiczności wyznać.

— O! nigdy, nigdy! wykrzyknie hrabina.

— Potrzeba i hrabiego z błędu wywieść i świat przekonać.

— Raczej umrzeć! — W rzeczy samej hrabina niepojmowała do czego ściąga mowa jej patrona i lękała się, ażeby całej intrygi nie wydał.

— Sądzie prześwietny! wykrzyknął Bernard — wyznając z pokorą, że cała rzecz była nastrojona, że Wiktorja namówiona udała się za matkę tego małego. Wszystko zrobione było dla osłonięcia honoru hrabiny. Ale na cóż ludzi hrabiego i świat cały uwodzić? Powiedz pani, mamże odkryć prawdę?

— Mów! rzeknie hrabina z głuchym jękiem.

— Staś jest prawdziwym synem hrabiny, ale nie hrabiego!

— To potwarz! zawoła boleśnie hrabia.

— Nie! jest to istotna prawda! hrabina przed ślubem z hrabią była już matką. Uderz się w piersi grzesznico! i wyznaj hańbę twoją przed światem. Czyim synem jest ten Staś?

— Moim! odpowie łkając hrabina.

— I hrabiego Fryderyka?

— Nie! — głośno zawoła Rozalja i padła zemdlona. Fryderyk przyciska dziecię do serca, składa pocałowanie na jego czole, odtrąca go od siebie i boleśnie zawoła: — „Nie mam już syna!“ — Hrabinę zemdloną wynie-

siono do karety i z nią Stasia, hrabiego otoczyli przyjaciele, pocieszając go ubolewaniem nad tak smutnym losem szczęśliwego dotąd ojca. Nikt nie mógł powątpiewać, hrabia nawet sam był przekonany o nieprawym rodzie Stasia, bo jakżeby mogła dama tak wysokiego rodu i tak świetnego wychowania wyznać publicznie swoją sromotę! — Stan obecny Rozalji, jeszcze go mocniej upewniał, że i przed ślubem dopuścić się mogła podobnego przestępstwa, dla pokrycia którego szpetnemu i niekochanemu oddała rękę. Hrabia był w rozpacz, a ten stan bolesny serca o ciężką chorobę go przypawił. Tymczasem, niegodziwością Rozalji oburzony oficjał uznał punkta jej ważnemi, zatwierdził dekret rozwodowy z usunięciem jej i jej dziecka od wszelkich praw do jakiegokolwiek części męzowskiego majątku i po podpisaniu dekretu rzekł:

— To jest świadectwo hańby i sromoty, które Rozalję ściagać będą do zgonu. Amen, odpowiedzieli członkowie konsystorza jednogłośnie.

— Hrabina ocucona z mdłości, ujrawszy przy łożu swoim o. Bernarda:

— Cożś uczynił, ojcze! okryłeś mię hańbą przed światem!

— Mościa hrabino! żądania twoje ziściły się, masz rozwód i zemściłaś się.

— O! drogo mię ta zemsta kosztuje! dziecku mojemu wydarłam ród i fortunę.

— Bądź pani spokojną! hrabia chory i pewnie tego bolesnego ciosu nie przeżyje. Po jego zgonie, zmanifestujemy terazniejsze czynności, znajdziemy świadectwa i świadków uprawnienia rodu Stasia i przywrócenia go do ojczyzostego majątku. Ja w tem, i z pomocą przyjaciela mego w Lublinie, wszystko na korzyść hrabiny obrócimy. Uspokojona słowami zapewniającemi patrona, podała się marzeniom o swobodzie i szczęściu swojej przyszłości. Marzyła o królu, ale ten obraz mimowolnie wywołał z pamięci inny obraz miłszy sercu, cięższy dla sumie-

nia: w myśli jej stawił się hr. Stefan. Ale spełnienie gorącego żądania, nasycona zemsta, odurzyły Rozalję i wszelkie uczucia stępiły. Otrzymawszy dekret rozwodowy, jakby w tryumfie pojechała z wizytami do pierwszych domów stolicy; ks. generałowej w domu nie zastała, inne damy zimno ją przyjęły. Nie lepiej powiodło się u pani Krakowskiej. Tam zastała króla. P. Krakowska obojętnie ją powitała i wyszła. Hrabina została sam na sam z królem, ale Stanisław był zimny i rozmowa szła trudno, Rozalja ośmieliła się wspomnieć o hrabi Fredrze.

— Prawdziwie żałuję, — rzecze król ironicznie, — żem przybierał nazwisko tego zacnego obywatela. Pani hrabiny prowadzenie się na tyle względów panującego nie zasługiwało.

— Ale stosunki nasze n. panie.

— Stosunki?

Znam to wszystko, co nas dzieli,

Co łączyło w samej zmianie,

Ale cóż począć, jeżeli

Pamiętka szczęścia zostanie?

— Ale n. panie! raczysz sobie w. k. mość żartować, a moje położenie obecne?

— Jest takie, jakiem było idąc za hrabiego.

— Jako żywo! nie było takim!

— A wszakże pani publicznie to w konsystorzu zeznała.

— Ach! tego wymagała sprawa mojego rozwodu.

— I otrzymałaś rozwód.

— Wszakże i w. k. mość raczyłeś mi w tem pomagać.

— Niezawodnie! póki droga, jakąś szła, miała jakkolwiek pozór przyzwoitości, ale kiedy tak haniebnie stargałaś wszystkie węzły natury, kiedy dla wydarcia czcigodnemu mężowi syna nie wahałaś się publicznie okryć sromotą, piętno tej sromoty na jej czole zostało i dziwię się śmiałości p. hrabiny, że tak się przed światem prezentować poważasz. Żegnam panią i spodziewam się,

że jak najspieszniej stolicę naszą opuścisz. — To rzekłszy skłonił się zimno i odszedł i p. Krakowska się nie pokazała. Tknięta do żywego takim przyjęciem, Rozalja poznała, że niema co na względy króla rachować, widziała się opuszczoną i wystawioną na poniżenie u całego towarzystwa stołecznego. Ale to uderzenie przemknęło się jak błyskawica, odzyskana swoboda kreśliła w jej wyobraźni szczęśliwą przyszłość. Stał w myśli Wiedeń, Szenbrun i przeszłość, w mgnieniu oka stał projekt udania się do Wiednia. Nie wspomniała na to, że róża szenbruniska przekwitła, obciążona owocem nie miała już żadnej ponęty! Suma wzięta za wydzierżawienie własnego majątku leżała nietknięta, a z dawnych zapasów, mimo kosztu rozvodu, znaczne pieniądze zostały. Jęła się więc czynnie do wybierania w podróż i tak zastał ją paż królewski. Wszedłszy skłonił się nisko, oddał pakiet królewskim sygnetem opieczętowany i nie czekając odpowiedzi, skłonił się i wyszedł. Hrabina nic dobrego sobie ze strony króla obiecywać nie mogła, długo poglądała na pakiet, długo wahała się czy ma otworzyć i przeczytać, czy nierozpieczętowany zniszczyć. Niespokojna, kilkakroć podniosła pakiet i znowu go położyła, ale nakoniec, może przez ciekawość tylko wrodzoną jej płci, rozpieczętowała. Listu niema, paszport za granicę i dyplom na niewielkie starostwo, może in partibus, z miejscem próżnem na imię tego, komu było nadane, na wierzchu tylko ręką własną króla nakreślono: „dla mającego przyjść na świat starosty“. W innych czasach odrzuciłaby była ze wzgardą podarek, w dzisiejszym stanie rzeczy, tenże podarek dał jej uczuć całe jej poniżenie, ale obrazić króla nie śmiała. Tu dopiero cała przeszłość przed oczami stanęła, ale nie ta, jaką świetniała w dwóch stolicach, ale czarna, okropna, udęcująca sumienie. Włosy na głowie powstały, robak zgryzoty wgryzł się w serce, głos wewnętrzny odzywał się słowy oficjała: „występna! wyklęta!“ Na domiar udęczenia odbiera list baronowej, że szczęśliwie Wilhelmina oddała rękę hr. Stefanowi. Upadła zupełnie na du-

chu Rozalja, najczarniejsze marzenia sercem owaładły, modlitwa nie przyszła złagodzić cierpienia duszy. Wyjechała z Warszawy, ale w majątku swoim obiegła i w przedwczesnem rozwiązaniu życie skończyła. Hrabia, który mimo tak słuszną urazę, nie przestawał czuwać nad nią, żądał wymódcz na umierającej odwołanie okropnego zeznania, ale ekshortacje najczulsze kapłana zaciętości przewyciężyć nie mogły. Hrabia opiekował się Stasiem, ale i ten niedługo przeżył matkę. W lat wiele potem hrabia wszedł w powtórne małżeńskie związki z kasztelanką R., piękną i pełną cnót chrześcijańskich i zalet światowych damą, ale krótko się cieszył w pożyciu z tym aniołem. Wdowiec zeszedł bezpotomnie i ogromną fortunę imiennikom swoim przekazał.

Całą tę smutną historję opowiadał Czacki. Szczegóły o Wiedniu, o pobycie w Warszawie słyshałem z ust ś. p. hetmanowej Rzewuskiej, naoczego świadka powodzeń i prowadzenia się Rozalji. Okropną scenę w konsystorzu opowiadała też sama Wiktorja, żyjąca jeszcze 1823 roku w dobrach ukraińskich hrabiego.

ROZDZIAŁ XI.

Z wielką trudnością Czacki zbierał fundusze na otwarcie gimnazjów; wielu obywateli chętnie dawali, zapisywali, wielu obietnicą zbywali, inni nawet obiecać nie chcieli. Czasami jednak przypadek nadarzał uzyskanie nieoczekiwanego zasobu. W r. 1810 liczny był zjazd obywatelstwa na publiczne egzaminy. Był i Ignacy Ledóchowski, mąż wielkiego rozumu, wysokiego oświecenia, przytem dziwnie miłego charakteru i dowcipnie żartobliwy. Na egzaminie z historji Czacki prosił Ledóchowskiego, ażeby kogo zechce zapytywał. Padło pytanie o wojnach krzyżowych na jakiegoś biedaka, który część wyuczył się co do słowa, a dalej uciał i zamilkł: Czacki, podtrzymując ucznia, jął od początku w krótkości z całą głę-

boką erudycją i płynną wymową opowiadać historję krucjat. Zachwycalo się całe zgromadzenie, a gdy Czacki skończył, Ledóchowski dobył rubla i przykładając go do piersi Czackiemu:—„Warto ci dać medal“—rzeknie— „Daj!“ — odpowie Czacki, — „daj! — choć tem dopełnij od lat czterech danej obietnicy na gimnazjum“. — Nazajutrz Ledóchowski wręczył sam 500 dukatów i Czackiego za przypomnienie po przyjacielsku uściskał.

Czacki i u bogatych naszych zakonnych zgromadzeń często odbierał zasiłki pieniężne na potrzeby szkół i na bibliotekę. Dominikanie w Łucku, w Konstantynowie i Lubarze, piękną się hojnością odznaczyli. I w Niewirkowie pod Międzyrzeczem byli także Dominikanie. Czacki, rachując na doznane u innych przyjęcie, z Międzyrzecza od chor. kor. pojechał do Niewirkowa. Czas był popołudniowy, ledwie dwóch księży wyszło naprzeciw dostojnego gościa. Ks. przeor po obiedzie spoczywał, p. starostę wprowadzono do sali gościnnej, tymczasem zakłopotani zakonnicy pobiegli obudzić ojca przeora. Nie przetrwał jeszcze obfitego obiadu, ani miodowy dymek ulotnił się z głowy, ale wyjść trzeba na przyjęcie tak znakomitej osoby. Wtoczył się ojciec wielebny do sali, ale nie czując w nogach dość pewności, dla utrzymania w równowadze niepospolitej circumferencji ciała oparł się o stół i sapał. Niedozwolił Czackiemu krótki jego wzrok rozpatrzeć się w twarzy przełożonego i zbliżywszy się, pełnym ujmującej powagi tonem rzeknie:—„Zacny! czcigodny przeorze! światło tego zakonu!“—„Co się dotyczy światła,—przewie niepewnym głosem przeor — pani Strzemecka dała krąg wosku i jest...“ — „Głupiś przeorze“ — pomyślał Czacki i odjechał.

Wracając raz z Dombrowicy od Platerów, wstąpił do Bereżnicy, miasteczka w majątności stryjecznego brata swego, Dominika Czackiego, strażnikowicza kor., odwiedzić ks. Grylewicza, tamecznego proboszcza, którego wielce szacował. Proboszcz tylko co wrócił z pogrzebu w sąsiedztwie. Rad dostojnemu gościowi przyjmował

Czackiego z całą uprzejmością i prostotą, cechującą tego zacnego kapłana. W rozmowie Czacki opowiadał, z jaką trudnością zbierają się ofiary na wzniesienie świątyni nauk. Grylewicz dobył 50-ciorubliwą asygnatkę, zarobioną na pogrzebie, i prosił, ażeby i jego grosz wdowi Czacki przyjąć raczył. Czacki wiedział dobrze, że beneficjum poczciwego plebana nie było bogate, że utrzymywał przy sobie podeszłą wiekiem matkę i brata z żoną i liczną rodziną; nie przyjął ofiary i dobywając takąż samą, — „Nie — rzeknie — biorąc twoją ofiarę okradałbym ołtarz. Pozwól, że jej nie przyjmę i, że jeszcze tą bagatelą pomnożę twój dochód niewielki, którego tak poczciwie używasz. Westchnij tylko w twych modłach do Boga, aby mi raczył dopomagać w zamiarach, które oceniać umiesz”. „I ażeby błogosławił dobroczyńcy przyszłych pokoleń“ — odrzekł kapłan z czułością. — Ale p. starosta nie raczysz odmówić przyjęcia innej ofiary, która w rękę jego może mieć swoje znaczenie“; to mówiąc, wręczył Czackiemu plik spory papierów. Była to korespondencja Czackiego, strażnika kor. z ks. Sanguszkami, w czasie konkurencji jego o księżniczkę Kunegundę, siostrę ich, później strażnikową kor. Dla Czackiego był to dar drogocenny, i wielce się nim szczyił. Zbiór ten, razem z licznemi rękopismami, chowanemi w bibliotece Poryckiej, jak i całą bibliotekę, zakupił po zgonie Czackiego ks. Adam Czartoryski kurator.

Starostwo Czaccy oboje piękni byli i podobni do siebie. I dzieci ich piękne były. Józef i Wiktor mieli rysy matki, Marja zupełnie do ojca była podobna. Marja wyszła za Eugenjusza Lubomirskiego; nie była w pożyciu z nim szczęśliwa i młodo z tego świata zesła. Józef w całej sile młodości, przy silnej budowie, zgasł nagle i żal powszechny po sobie zostawił. Wiktor pojął w małżeństwo Pelagję Sapieżankę, wzór cnót i żeńskiej mądrości, ale jej ocenić nie umiał. Umarł dość młodo od nikogo nie żałowany. Synowie jego żyją, ale Tadeusz Czacki już się nie odrodził.

ROZDZIAŁ XII.

Siedem lat pierwszych bytu szkoły Krzemienieckiej stanowią epokę utworzenia olbrzymiego wzrostu i świetnego jej rozkwitnienia. Czacki żył, czuwał nad nią, jak ojciec, cierpiał prześladowania i zawsze zwycięzko wychodząc szkole był błogi, sobie sławę i wdzięczność współziomków zapewnił. Zstępując do grobu, o gimnazjum równie, jak o dzieciach swoich myślał i ojcowskiej ks. kuratora opiece ich przekazał. Stosownie do żądań umierającego, ksiązę nazaczył wizytatorem, a raczej kuratorem gimnazjum Filipa hr. Platera ¹⁾, członka komisji sądowej edukacyjnej. Czacki znał Platera od jego dzieciństwa, bo z rodzicami hrabiego ścisła go przyjaźń łączyła. Wysoko cenił piękne przymioty serca i umysłu, i ufiny w usposobienie i zdolności jego przyrodzone, powierzał mu się zupełnie i do ważnych interesów go używał, nazywając go prawą ręką swoją. Starosta miał córkę dorastającą i nie taił się z tem, że spełniłoby się serca jego życzenie, gdyby Plater był jego zięciem. Pierwszym członkiem komisji był Michał Sobański i nawet po zgonie Czackiego został jej prezesem, i ten oddawał sprawiedliwość Platerowi. Wielce w nim cenił pamięć faktów i trafność sądu o rzeczach, w czem mu nikt z komisarzy nie wyrównał. Ale w komisji interesa były wiadome wszystkim członkom, kiedy gimnazjalnych wiele bardzo, same-mu Czackiemu znanych, jeden tylko prawie znał Plater. Wiedział o tem ks. kurator, a lubo mało znał osobiście Platera, sąd o nim Czackiego i Sobańskiego, zaszczytnem hrabiemu poczytał świadectwem i chętnie mu zastępstwo Czackiego powierzył. Odtąd zaczyna się epoka różna zu-

¹⁾ Filip hr. Plater po śmierci T. Czackiego objął urząd kuratora. Bartłomiej Giżycki, ówczesny gubernator Wołynia, mówił, że „Platerowi gimnazjum, jak fura siana zajechało do głowy — stąd inne obowiązki zaniedbuje“. Pamięt. Józefa Drzewieckiego. Wilno 1858, str. 316).

pełnie od pierwszej, trwa lat trzy i ustępuje innej niewiele świetniejszej i znowu znika, ażeby ustąpić miejsca ostatniej, która do pierwszej podobna zamknęła dzieje tej znakomitej szkoły. Ale idźmy porządkiem. Czacki chciał, ażeby obecne wojenne działania nie miały żadnego wpływu na szkoły i od nowego 1813 roku zaraz zjeżdżali się uczniowie, ale liczba ich ledwie do trzechset doszła. Mało



Wacław Rzewuski

(„Emir“).

Według drzeworytu A. Regulskiego.

też zjechało się obywatelstwa i tylko dom starostwa Czackich, Skibicka, Zakrzewscy, Drzewiecki szef świeżo owdowiały, z dawniej zamieszkałych zostali, na nowo zaś osiadł hr. Wacław Rzewuski, od wyjazdu z Tarnorudy nieodstępny Czackiego towarzysz. Otworzyły się kursa, lekcje szły swoim porządkiem, a choć audytorja mniej liczne były, profesorom na energii nie zbywało, bo jesz-

cze obecność założyciela szkoły ożywiała ich gorliwość, dodawała ducha. Czacki żył jeszcze. Ale dziwnym zbiegiem okoliczności, kilku znakomitych mężów w ciągu prawie jednego miesiąca nagle ten świat opuścili. Czackiego najsilniej dotknęła strata blizkich sercu jego, pojmujących jego uczucia i zamiary, ks. Kazimierza Lubomirskiego z Dubna, generała Karwickiego i podkomorzego Józefa Pinińskiego. Nie podołał tylu cierpieniom mąż duchem silny. Obiegł, ani starania najznakomitszych lekarzy polepszenia przywołać nie mogły, a zgon jego smutnie rozległ się po całym Wołyniu. A osierocony Krzemieniec więcej jeszcze zabolał. Nie było jednego zakątka, od pysznych gmachów gimnazjalnych aż do najlichszej chatki, gdzieby nie opłakiwano dobroczyńcy obecnych i przyszłych pokoleń! Nie byłem świadkiem, kiedy wieść przyniosła żalostną nowinę do Krzemieńca, ani umiem odgadnąć bolesnego w tej chwili na wszystkich wrażenia, pomnę tylko konwulsyjne osłupienie moje, kiedy mi pp. Malczewscy tę gorzką nowinę oznajmili. A takich, jak ja obowiązanych Czackiemu, ileż to było w Krzemieńcu, w każdym stanie, w każdym wyznaniu! Po całym Wołyniu obchody żałobne biskup nakazał, w Krzemieńcu obchód ten odłożonym był na koniec roku szkolnego.

Komisja rozpoczęła swoje działania. Plater czynnym był komisarzem, ale nie mniej go i gimnazjum zajmowało. Znosił się we wszystkim z dyrektorem i prefektem i prześliczny był początek jego urzędowania. Wacława Rzewuskiego Czacki jeszcze poznał z Platerem. Ale dwaj ci znakomici ludzie, żadnego do siebie nie mieli pojęcia. Oba z najszlachetniejszymi uczuciami, z wyższymi zdolnościami i z najstaranniejszą oświatą, nie znajdowali w sobie żywiołów wzbudzających wzajemną sympatję. Każdy z nich miał swoje ale, a każdy ścisły postrzegacz, porównywał bliźniego z sobą i chciał go podług swego systemu prowadzić. Obaj byli ekscentryczni! Hr. Wacław czuł osobistą swoją godność, ale skromny, chciał swoim postępowaniem zatrzeć skazę, ciężącą na

pięknem rodowem imieniu. Poznajomienie się z Czackim, jeszcze więcej rozwinęło to czcigodne przedsięwzięcie; hr. Wacław najgorliwszych starań dokładał, ażeby przejąwszy się duchem Czackiego, dobru ludzkości i usłudze współziomków i życie i majątek poświęcić, ale działał prywatnie i prawie skrycie. Mało kto znał piękne jego zamiary. Ale kto je poznał wielką cenę do charakteru jego przykładał. Nie był jednak bez ale. Orientalizm był jego manją. Ubiór arabski, arabskie do koni przywiązanie, arabskie ćwiczenia, twardy sposób życia, były dziwactwem nawet rozśmieszającym; ale przy tylu świetnych przymiotach, przy wielkiem bogactwie umysłowem dziwactwo to nikło w oczach ludzi mających serce i patrzących w serce. Ogłada obyczajowa, wysoki talent muzyki, dar piękny tłumaczenia się ojczystym i obcemi językami robiły hrabiego miłym i pożądanym w każdym towarzystwie. Chwalono i krytykowano hrabiego w świecie salonowym, ale uwielbiali biedni i uciśnieni, szanowali uczeni i dobrze myślący.

Hr. Plater, powołany od Czackiego, świetnie rozwinął wysokie swoje zdolności, zajaśniał nauką, a szlachetnością uczuć i darem pięknej wymowy wszystkich serca ku sobie przyciągał. Plater stał już na wysokim szczyblu w powszechnej opinji, kiedy Rzewuski nieznany jeszcze zjawił się w społeczeństwie obywatelskiem Wołynia, i Plater uczuł się wyższym. Gdyby Czacki żył dłużej, oba ci młodzi hrabiowie wznieśli by się byli zarówno i, poznawszy bliżej jeden drugiego, zbliżyli by się byli i wzajemny szacunek złączył by był dwóch tych znakomitych ludzi, blizkich już i tak pięknymi celami, do których dążyli. Ale Plater, zostawszy sam sobie, ufny w osobistą swą godność, zabłąkał się na wielkiej drodze życia. Świetne jego serca i umysłu przymioty jedna mała na pozór wada skaziła. Wymowny i dowcipny, z dowcipu wywiązał w sobie ostrość, narażającą go częstokroć na ważne nieprzyjemności. *U n b o n m o t*, było jego namiętnością, a ostrość tego *b o n m o t* robiła mu nieprzy-

jaciół z tych nawet, którzy przymiotom jego należąca sprawiedliwość oddawali.

Wiosną 1813 r. zaczęli powracać wszyscy zamieszkali z lat przeszłych. Wrócili i Malczewscy i zamieszkali w domu nowo przez siebie zakupionym. I podczaszyna Czacka z dziećmi wróciła z Galicji i znowuż toż samo, co i dawniej utworzyło się towarzystwo. Hr. Rzewuski, wszędzie mile przyjmowany, utrzymał się zawsze w granicach dostojnej godności. Żonaty, nie był celem marzeń dla matek, mających córki na wydaniu i tem swobodniejszym był w stosunkach z domami, do których uczęszczał. Ale hrabia nie w samym tylko arystokratycznym żył kole, i domy kilku profesorów miłym dla niego były pobytem. Uczniów serca do siebie popularnością swoją pociągał, ale umiał ich utrzymać w granicach przyzwoitych. Lubił widzieć ich na lekcjach konnych i sam biegły jeździec uczącemu nie jedno ważne prawidło ekwitacji pokazał, a w wolnych czasach, za zezwoleniem zwierzchności szkolnej, z uczniami konne przejażdżki daleko za miasto odbywał. Tam dopiero rozwijał całą swoją umiejętność i zręcznością zadziwiał. Zachęconych przykładem swoim przyuczał do śmiałości i zręczności w obejściu się z koniem i użyciu go w zamierzonych gonitwach i sztukach. Młodzież pokochała hr. Wacława, ale do tego przywiązania łączyło się uszanowanie, które wesoła, ale poważna uprzejmość hrabiego natchnąć umiała. Hrabia żył w domu skromnie, rzadko dawał wystawne obiady, u stołu jednak jego codziennie żywiło się 12—15 osób, chociaż dwór jego stanowił jeden tylko sekretarz Rodakowski. Jacyż to byli ci współbiesiadnicy? Oto najbiedniejsi uczniowie, wskazani przez prefekta. Nie dość, że mieli chleb powszedni, ale i garderobą ich, z polecenia hrabiego, zajmował się Rodakowski. Rzewuski był hojnym dla drugich, ale nikt nie znał uczniów lub innych potrzebujących, którzy od niego mieli wsparcie. Jeden tylko Jarkowski prefekt wiedział o tych uczynkach szlachetnych, milczał, bo dał słowo hrabiemu, ale nie szczędził

należnych mu pochwał i starzec unosił się młodzieńczym zapałem, oddając sprawiedliwość wielkim zaletom Rzewuskiego. Rzewuski często bardzo niewidzialnym by-



Józef Drzewiecki

uczestnik kampanji 1794 r., oficer w legionach i marszałek krzemieniecki.

(Według portretu współczesnego).

wał w domach, do których uczęszczał. Wszyscy podziwiali to osamotnienie człowieka młodego, poszukiwanego w towarzystwach. Raz zdarzyło się, że po kilkodniowym

takiem zniknięciu, szef Drzewiecki, Plater i Malczewski, obawiając się, czy nie słabość p. Wacława w domu zatrzymuje, poszli go odwiedzić. Dochodząc do ganku słyszą dziwnie rzewną harmonję instrumentów i głosów ludzkich. Wszedłszy do sali, zastają hrabiego w towarzystwie Lenzego, Sztejna, Dobrowolskiego, Taborowskiego, Stefańskiego, śpiewających. Zatrzymali się przychodnie we drzwiach, ale Rzewuski przerwał muzykę i uprzejmie witając wchodzących: — „Kiedyście panowie zeszli nas na uczynku, to siadajcie, słuchajcie i sądzcie“.— Nowa i pełna wspaniałości i smutku zabrzmiała muzyka, podziwiali słuchacze rozrzewnieni, a kiedy skończono, Drzewiecki zapytał hrabiego o tytuł i autora; Lenzi pośpieszył z odpowiedzią, że to jest „Requiem“ kompozycji hrabiego, naumyślnie na obchód pogrzebowy ś. p. Czackiego, tylko co ukończone i pierwszy raz pełną jego repetycję robiono. Wtedy przyczyna częstego absentowania się w towarzystwach i osamotnienia w pośród życia społecznego nie była już tajna. W najczulszych wyrazach dziękowali hrabiemu i z pomocą ofiarowali się. Hrabia kłopotał się o muzykę, Drzewiecki podjął się sprowadzenia znanej już Międzyrzeckiej chor. kor. orkiestry.

Szło jakoś ładem w Krzemieńcu. Plater gorliwie zajmował się szkołą, Rzewuski uprzejmością swoją dodawał energii uczącym się i uczącym, Drzewiecki utrzymywał ducha jedności społecznej mieszkańców Krzemieńca. Nie mogę nie wspomnieć tu szczegółowo o tym zacnym obywatelu. Rys jego życia czytać można w jego pamiętniku. Ja poznałem go dopiero w Krzemieńcu w r. 1811, kiedy z żoną i małutkiem dziećmi osiadł w Krzemieńcu i przez lat dziesięć patrzyłem na jego życie. Miło mi nader, że zaszczycony jego względami, mogę tu z uczuciami się mojej wdzięczności wynurzyć i skreślić niektóre szczegóły życia tego czcigodnego męża, mało znane, lub zupełnie nie znajome, które, pocziwie z siebie, drugim pomocne, za przesadzone do śmieszności przywiązanie do Krzemieńca uważane były. P. szef Drze-

wiecki w początku 1812 r. utracił żonę, wzniosłych uczuć serca i wysokiego ukształcenia¹⁾. Zdaje się, że zgon p. szefowej w Krzemieńcu jeszcze więcej przywiązał p. szefa do tego miasta, a przyjaźń Czackiego przekazała mu wpływ na gimnazjum Wołyńskie i czuła o nim troskliwość. Zamieszkał w domu własnym z dwojgiem miłych dzieci, pięcioletnią Helenką i trzyletnim Karolkiem. Ale rok 1812 więcej mu jeszcze cierpień zgotował. Brat szefa, p. szambelan Ksawery Drzewiecki, za korespondencję z hr. Marcinem Tarnowskim, pułkownikiem działającego wojska polskiego pod Napoleonem, wywieziony został w głąb Rosji, a majątek jego zasekwestrowany. Pozostała żona, sześciu synów i córka znaleźli bratni przytułek pod strzechą zacnego szefa. Dwuch tylko szambelaniców kończyli nauki, trzeci zaczął kursa, czwarty ledwie był w czwartej klasie, dwaj malce w niższych się klasach trzymali. O wszystkich ich potrzebach wiedział p. szef i żadnemu na niczem nie zbywało, a kto ich widział w domu p. szefa, sądził, że to wszyscy jego synowie. Ale nikt na twarzy p. szefa nie widział śladu niechęci, nikt nie słyszał utyskiwania na ciężar wydatków z przyczyny utrzymywania na swoim koszcie tylu osób, owszem, p. szef jeszcze i brata na wygnaniu pieniędzmi swemi zasilał. Złote to serce było w tym człowieku. Szef znał niesympatyczne ku sobie uczucia dwóch wspomnianych hrabiów i zawsze stawał między nimi, jako przegroda nie dająca żadnemu wybuchnąć z jakąś jawną niechęcią. Ale Rzewuski widział jasno, że najlepsze chęci jego nie były widziane z takim współczuciem, z jakim je Czacki

¹⁾ Józef Drzewiecki urodził się w r. 1772 w Juśkowcach na Wołyniu, w pow. Krzemienieckim. Był w bitwie pod Maciejowicami. Wyszedł z kraju do legjonów. Po długiej wędrówce osiadł w Krzemieńcu dla edukacji syna Karola. W r. 1812 utracił żonę. Ożenił się powtórnie z Konstancją Jaroszyńską i (1823) przeniósł się na Podole, zamieszkał w Kunce. Był marszałkiem pow. Hajszyńskiego. Umarł 1857 r. Zostawił Pamiętniki (tytuł opuszczam), wydane w Wilnie. 1858 r.

przyjmował. Nie ustawał jednak w zamiarach swoich i, co tylko mógł dobrego robił dla gimnazjum, oczekując sposobnej pory zrobienia jeszcze więcej.

Nadeszły roczne egzaminy, zjechało się mnóstwo obywateli, jedni aby być świadkami postępu swych dzieci w naukach, drudzy, a tych było najwięcej, dla oddania ostatniej posługi zwłokom założyciela gimnazjum. Obchód ten żałobny, opisany obszernie w „Życiu Czackiego“¹⁾ przez ks. Osińskiego, prof. literatury w gimnazjum Woł., znajomy współziomkom, których tak wielu naocznymi byli świadkami tej smutnej uroczystości. Niektóre więc tylko okoliczności tu przytoczę. Ks. biskup Cieciszowski z żalem wymówił się słabością od tego żałobnego obrzędu, bo stratę wielkiego męża uczuł, jako współrodak, jako najściślejszy przyjaciel, jako wielbiciel cnotliwego życia i poświęcenia się dobru krajowemu Czackiego. Ks. biskup Podhorodeński zastępował jego miejsce. Krzemieńcowi w spuściźnie dostało się serce Czackiego: *Ubi thesaurus tuus, ibi et cor tuum!* W kościele gimnazjalnym wzniesiono pyszny katafalk, tysiące świec i lamp oświecały tę wspaniałą świątynię. Portret Czackiego w najokazalszem miejscu ustawiono, ale zwłok jego jeszcze tam nie było. Serce Czackiego w pięknej alabastrowej urnie na wspaniałej i rześisto oświeconej podstawie stało w kościele Franciszkańskim. 14 lipca, o 7-ej wieczorem znakomitsi urzędnicy gubernji i komisji w mundurach, w znakach zaszczytnych, krepą czarną pokrytych, zebrali się u Franciszkanów; gwardjan w żałobnej kapie, w asystencji wszystkich zakonników, zdjął urnę z podstawy, umieścił ją na przygotowanych noszach i, okrywszy czarną krepą, ze łzami wdzięczności i uszanowaniem winnem tym ostatkom dobroczyńcy przyszłych pokoleń, w milczeniu wręczył obywatelom.

¹⁾ X. A. Osiński: O życiu i pismach Tad. Czackiego. (Tytuł dłuższy opuszczam). Krzemieniec, 1816. Piękny portret, ciekawe przypisy.

Dwunastu z nich wzięło na ramiona ten drogi ciężar, duchowieństwo ich poprzedzało; żaden śpiew, żadna muzyka nie towarzyszyły temu smutnemu pochodowi, dzwony tylko wszystkich kościołów i cerkwi smutnym jękiem zwiastowały przeniesienie serca do gimnazjalnej świątyni. Ks. biskup powitał je na galerji i do kościoła wprowadził. Nazajutrz okazałe nabożeństwo odprawiało się za duszę założyciela szkoły, który rok temu w teje samej świątyni rychły swój zgon przepowiedział.

Ale jakże często w pośród najsmutniejszego obrzędu wciśnie się jakaś okoliczność rozśmieszająca! Po skończonem nabożeństwie rozpoczęły się mowy. Ks. Prokop ze zwykłą sobie wymową wyobraził wielkość straty, jaką gimnazjum i obywatelstwo ponieśli i wszystkim słuchaczom łzy wycisnął. Obok katafalku przygotowane było podwyższenie czarnym kirem okryte, wstąpił na nie brat zmarłego podczaszy Czacki, synowie jego i synowie starosty, grubą okryci żałobą, otoczyli podczaszego. Wszyscy zwrócili uwagę na mowę, ten zaczyna: „Bracie ukochany! o tak wiele lat młodszy ode mnie! mnież to przychodzi w tem miejscu smutny głos mój podnosić, o czemuż raczej nie przyszło mi na moim własnym pogrzebie zapłakać!“ Te słowa osuszyły łzy, wywołane tkliwemi ks. Prokopa słowami, szmer się zrobił w kościele, zniknął urok religijnej żałoby! Na szczęście odezwa Jana hr. Tarnowskiego, rodzonego Czackich siostrzeńca, odezwa pełna najszlachetniejszych czułości, wzór wymowy, pokryła omyłkę podczaszego, a wybornie wykonane Requiem hr. Wacława powszechnego rozrzewnienia dopełniło. Ale co jeszcze więcej rozrzewniło wszystkich; uczniowie celujący przyznane sobie medale złożyli na katafalku przed portretem Czackiego! Tego uniesienia wdzięczności i żalu nikt im nie podał, serca ich własne natchnęły. Z kościoła przeszli wszyscy do sali biblijtecznej, gdzie obok popiersia Czackiego, ks. Osiński z synowską czułością, wymową Skargi, o życiu tego niedożałowanego męża rozprawiał. Przeszło dwieście oby-

watelek obecnych na tym obchodzie, jakby się zmówiły, wszystkie żałobne suknie przywdziały. Ks. biskup, obywatele i obywatelki dziękowali hr. Wacławowi za muzykę, w której tak wymownie i żal powszechny i uczucia swoje wyraził, ale hrabia partytury nikomu dać nie chciał. W kilka lat potem wydał swoje Requiem w Wiedniu i egzemplarz jeden do biblioteki gimnazjalnej przysłał. Była ta muzyka w rękę Lenzego i co się z nią później stało, niewiadomo. (Gimnazjum a później liceum Wołyńskie corocznie po ukończeniu egzaminów rocznych obchód takowy odprawiało). Po ukończeniu tej smutnej uroczystości hr. Rzewuski opuścił Krzemieniec bez powrotu, długo jednak z dobrych jego chęci ta szkoła korzystała. W następnym roku na kilka dni odwiedził Krzemieniec. Upominki szacowane dla gimnazjum, ciche wsparcie uczniów, wskazane pilnie sposobiącym się w naukach dalsze pomoce, to były piękne ślady kilkodniowej w Krzemieńcu bytności hrabiego. P. hetmanowa Rzewuska, matka hr. Wacława, objęła cały majątek, z dochodów którego część znaczna szła na konie, które lubił i miał piękne i na wsparcie nieumiejących wyciągnąć ręki po wsparcie. Na długo potem zniknął hrabia z widowni Wołyńskiego świata, w 1829 roku tylko jeszcze raz zdarzyło mi się zjechać z nim w Humaniu, na egzaminach tantejszej szkoły.

Rok 1813 jeszcze więcej mieszkańców do Krzemieńca sprowadził. Księstwo Dymitrostwo Czetwertyńscy z dwiema córkami i synem. Prześliczna księżniczka Eleonora zajaśniała cudną urodą swoją, a miłym ułożeniem wszystkich serca zjednać sobie umiała; młodsza jej siostra Karolina, miłutka dziewczynka, nie wyrównywała wdziękami Eleonorze, ale młodego księcia bogato uposażyła natura. Wielkich nadziei młodzieniec świetniał urodą, słodyczą charakteru i wysokimi zdolnościami. Podziwiali nauczyciele łatwość, z jaką 14-letni młodzieniec przyjmował nauki i z nich się tłómaczył, a miła układność jego zrobiła go ulubieńcem nauczycieli i na-

czelników. Ale przeznaczono było księstwu nie cieszyć się tem świetnem zjawiskiem. Po roku bytności w gimnazjum, w domu śmierć wydarła go nieutulonym w żalu rodzicom. Tegoż roku zamieszkali w Krzemieńcu p.p. Antoniostwo Jaroszyńscy z jedynakiem synem. Bliższe z tą rodziną stosunki dały mi ją bliżej poznać i kilka kart w moich ramotach szczegółom tego domu poświęcę. P. generałowa Karwicka, owdowiawszy, z piękną córką Anną i synem Kazimierzem osiadła także w Krzemieńcu. Miłeż to były dzieci! Anusia wdziękami dorównywała Eleonorze, ale słodyczą charakteru, pełnem uroku ułożeniem nikt jej nie wyrównał. Dość było raz ją widzieć, ażeby ją pokochać. Kazio nie był tak pięknym, jak jego siostra, ale jedna dusza ożywiała i brata i siostrę. Kazio i władz szkolnych i współuczniów i mieszkających obywateli serca pozyskał od wstępu swego do gimnazjum, i tę dla siebie życzliwość i szacunek do zgonu życia zachował. Nigdy Krzemieniec nie posiadał tyle pięknych, młodych dziewczic, jak w tym roku. Marja, Julja i Barbara Czackie, Eleonora Czetwertyńska, Michalina i Antonina Sobańskie, Anna Karwicka, Anna Malczewska, Justyna Garbowska, Aniela Błędowska, Marja Zakrzewska, każda z nich mogła być pierwszą pięknoscią, gdyby nie były wszystkie razem, bo w takim świetnem gronie wybór nader był trudny. Wokoło tego prześlicznego bukietu krążył jeden motyl, zbliżał się, zalecał, ale statecznie, przy żadnym z kwiatów nie przysiadł. Był to jednak motyl pożądany; czy od wszystkich kwiatów, tego nie wiem, ale matek wszystkich na niego oczy były zwrócone i każda radaby była mieć go swym zięciem. Motylem tym był hr. Filip Plater, nie dla niestałości swojej, bo jawnie żadnej z tych piękności nie hołdował. Dla wszystkich był równie grzecznym, nawet prawie nadszkapującym, ale co w sercu było? tego nikt nie odgadł, bo hrabia uczucia swoje na wodzy i w tajni utrzymać umiał.

Rok 1814 pięknie się zaczął. Wizytator łącznie z władzą szkolną gorliwie zajmowali się zarządem gimnazjum,

ład był we wszystkim, nauczyciele gorliwie pracowali, młodzież przykładała się do nauk i zdawało się, że duch Czackiego, unosząc się ponad gmachami gimnazjalnymi, czuwać nad tą szkołą nie przestaje. Nadszedł karnawał, a z nim kasyna i młodzież uczęszczająca na te zebrania, ale prawidła przez Czackiego ustanowione najściślej zachowano. Ale, gdzie jest tyle mieszkańców, niepodobna, ażeby się jakieś niesnaski nie wcisnęły. Piękna księżniczka, przy wszystkich pięknych przymiotach duszy, wiedziała, że była piękną i znajomość siebie wyrobiła w niej znakomitą dozę zalotności. Mnóstwo wielbicieli wóz jej otaczało, każdy pełen nadziei, każdy szczęśliwy łaskawem wejrzeniem lub uprzejmem słówkiem. Księżstwa oczy zwrócone były na Platera i na syna Jaroszyńskich Mikołaja, księżniczka dla obu uprzejmą była, ale nic więcej. Plater miał w szkołach rodzonego siostrzeńca Leona Krasickiego. Szesnastoletni młodzieniec wzorowej piękności był obrazem. Najregularniejsze rysy twarzy świeżej, młodzieńczej, ożywiały dziwnego uroku czarne oczy, czarne brwi i takżeż zasiewające się wąsiki jeszcze wyrazistszą tę piękność męską robiły; do tego kształtna i giętka kibić, zręczność w tańcu, łatwość wysłowienia się i piękne ułożenie stawiały Leona wyżej wielu znakomych współuczniów. Leoś, wielce lubiony od księżstwa, codziennym w domu ich był gościem. Piękna Leosia i piękny Leoś, obcemi dla siebie być nie mogli, ale poufałość ich nie ściągała na siebie uwagi, bo księżstwo Leosię za dziecko uważali, a do tego jakieś jeszcze podobno między nimi pokrewieństwo zachodziło, i dzieci lubiły się bardzo.

Jak daleko spoufaleri byli z sobą, dowodzi to, że bukiety, pomarańcze, frukta, cukierki od Leosia mile księżniczka przyjmowała i księżstwo za złe tych dziecinnych upominków nie mieli. Szef Drzewiecki jednak, jakby co niedobrego przewidując, Leonka o zbytnią dla damy poufałość kilkakrotnie upominał. Plater zaś na to uwagi nie zwracał. Dnia jednego Leoś o 10-tej wyszedłszy z lekcji,

kupił w ogrodzie botanicznym piękny bukiet, jak na porę styczniową bardzo kwiecisty, i poniósł go pani swojego serca. Księżniczka sama była w salonie, mile przyjęła upominek młodego hrabiego, wyjęła kilka kwiatów i, stanąwszy przed ogromnem zwierciadłem, głowę niemi stroiła. Leoś stał obok niej, objąwszy jej kibić, i z zachwyceniem przyglądał się odbitemu w zwierciadle obrazowi piękności. Księżniczka z lubością patrzyła na urodziwego młodzieńca, to w lustrze, to w istocie, a zachwycony Leon na ramieniu pięknej Eleonory nieśmiały, ale gorący złożył pocałunek. Nie byli bez świadka! W tej samej chwili otworzyły się drzwi od drugiego pokoju, stała w nich księżna, niewczesny i nie żądany świadek niewinnej miłośnej sceny. Gniew księżnej był gwałtowny, ale wywarł się tylko na biednym Leonie, któremu księżna dom swój wymówiła. Zmieszany młodzieniec z żalem opuszczał strzechę, pod którą żyła droga sercu jego Eleonora. Księżna nie przestała na surowem, może nawet niedelikatnem upomnieniu Leona, ale napisała do Platera list z najniegrzeczniejszemi wyrzutami niemoralnego postępowania w ich domu p. Leona. Nie mógł hrabia pojąć znaczenia listu księżnej, Leona badać wprzód nie sądził przyzwoitem, tak więc, jak czytał, z listem w ręku szedł do księżnej. Księżna, nie czekając zapytania, z całą przesadą wyrażen odmalowała w strasznych kolorach pocałunek złożony na ramieniu księżniczki. Plater z najzimniejszą krwią zapytał: „I księżniczka przyjęła tę poufałość i nie skarciła młodzieńca?“ Temi słowy księżnie zamknął usta, ale po niejakej chwili ozwie się dama: „jakkolwiek bądź, oświadczam hrabiemu, że odtąd drzwi naszego domu dla p. Leona zamknięte“. „Słusznie mościa księżno! i dla Leosia i dla jego wuja“, to rzekłszy, skłonił się ceremonjalnie i wyszedł. Księżniczka, słysząc w drugim pokoju tę krótką rozmowę, wbiegła do salonu: „Mamo! zawoła, co mama zrobiła, jakże można hrabiemu dom wymawiać?“ „Ja nie wymawiałem p. Platerowi mojego domu, ale jeśli jego hrabiowskiej mości nie podo-

ba się bywać u nas, to jak zechce“. „Żeby to tylko mamó nie miało przykrego dla nas następstwa“. „Już to w tem nie wmpanny rzecz“ — odrzekła księżna, na której wyrazy córki przykre zrobiły wrażenie, ale nie dała poznać tego po sobie. Eleonora jednak myśl matki odgadła.

Zabawy karnawałowe szły swoim torem. Zbierało się towarzystwo i po domach, księstwo dawali wieczory, ale liczne zgromadzenie dam nie miało tancerzów. Plater u księstwa nie bywał, uczniowie za swoim naczelnikiem ciągnęli, ani prefekt mógł w tem co poradzić. A karnawał się posuwał. Gdziekolwiek księstwo bywali na wieczorach wszędzie bawiono się wybornie, bo młodzieży bywało dostatkim i damy za tańcem nie tęskniły. Nigdzie jednak czas tak wesoło nie schodził jak u Malczewskich. Ze wszystkimi w dobrych stosunkach, uprzejmi w domu własnym, to też zebrania u nich i najliczniejsze były i najweselsze. P. Malczewska utrzymała stosunki z księżną, ale w duszy miała nieco żalu za kuzynka, matka bowiem p. Malczewskiej z domu była Krasicka. Śmiesznie było patrzeć, jak dające się osoby z ukosa na siebie poglądały. Księżna wprawdzie radaby już była z Platerem być na stopie dawnych stosunków, ale jakże tu zrobić pierwszy krok do pojednania damie, a do tego księżnie. Niby niechęcy, wymówiła się przed p. Malczewską ze swoim kłopotem. Drzewiecki wszystko to zauważył i przemyślał o sposobach pojednania poróżnionych, księżniczka odgadła zamysł p. szefa i z całą swoją miłą układnością skarżyła mu się, że wszędzie tak się bawią dobrze, tylko u nich samych dam towarzystwo się zbiera, ledwie jednego biednego kadryła we cztery pary zebrać można. „Jakoś to będzie“ — rzekł szef, całując podaną sobie rękę pięknej księżniczki. Jakoż, gdy się zbierano do wyjazdu od Malczewskich, szef zabrał głos: „We środę mamy święto, dzień wolny od zatrudnień szkolnych, nie zechcecie więc panie odrzucić mojej uniżonej prośby i raczycie zaszczyścić mój wdowieński domek bytnością swoją na wtorkowy wieczór. Kochana kuzynka (p. Skibicka) bę-

dzie gospodynią“. Mile przyjęto zaproszenie, bo szef wszystkich życzliwość i szacunek posiadał, bo młodzież płci obojej wiedziała, że tam wybornie bawić się będą. Pomędzy zaproszoną młodzieżą szkolną niepoślednie miejsce miał Leon Krasicki. Plater opierał się temu z początku, ale szef potrafił mu wyperswadować. Nadszedł więc wtorek, pamiętam dokładnie cały ten wieczór. Księstwo mieszkali w większym domu pana szefa i na jednym z nim dziedzińcu. Skoro więc gospodyni przyjechała, a za nią zaraz pp. Malczewscy i p. Karwicka, księżna także przybyła, czegoś trochę zakłopotana. Otoczyły ją damy, szła żywo pogadanka, ale dziwnem zdarzeniem, cała była o Platerze, bo go się nie spodziewano na wieczór dla jakiejś niedyspozycji zdrowia. Zjeżdżali się i schodzili inni goście, a w pośród nich hrabia ze swoim siostrzeńcem. Pan szef poszepnął mu kilka słów, hrabia się wzbraniał, ale szef przemógł, Plater uśmiechnął się i rzekł: „niech tak będzie, kiedy tego chce kochany gospodarz“. Drzewiecki wziął Leona za rękę i przyprowadziwszy przed księżną: „Oto jest winowajca, który w pokorze błaga łaskawego przebaczenia“. Czy Leon miał te przeprosiny w myśli, niewiadomo; ale przybrał stosowną do słów szefa postawę i dziwnie mu pięknie z nią było. Rozbrojona księżna podała mu rękę, którą piękny winowajca szczerze ucałował. Natenczas przybliżył się hrabia i z pełnym uprzejmości uśmiechem: „Zgoda między pany chrześcijańskimi?“ — zapytał księżnej. „Zgoda panie hrabio, ale...“ „Żadnego ale“ — przerwie szef — „prawdziwa zgoda żadnych wymówek, żadnych ale nie przyjmuję. Dozwólcie mi państwo tej pociechy, że w moim domu nastąpiło pojednanie ludzi, których kocham, i że odtąd pojednanie to jeszcze ściślejsze między domami waszemi zawrze stosunki“. I w samej rzeczy księżna i książę wiele prawdziwej przyjaźni okazywali hrabiemu i on im się wzajemnością wyplacał. Co do Leosia i Leosi, czy uczucia ich się nie zmieniły, trudno wiedzieć, bo księżniczka, może z natchnienia rodziców, może z woli

serca, więcej życzliwości okazywać zaczęła p. Mikołajowi, synowi pp. Antoniostwa Jaroszyńskich, bogatemu i pełnemu zalet osobistych jednakowi.

Wkrótce był wieczór u księstwa, towarzystwo było liczne i wesołe, a to wszystko staraniem szefa, ażeby dać księżnie zapomnieć kilkotygodniowe osamotnienie jej domu. Zbliżał się i 21 lutego, imieniny księżniczki. Ale i p. Malczewska była Eleonora i jej siostrzenica z Anusią wychowana także Eleonora. Interesa się skrzyżowały, p. Malczewski ani chce zezwolić, ażeby imieniny żony nie miały być obchodzone uroczyście w ich domu, a nie radby księstwu uchybić. Co tu robić? Kogoż tu się poradzić? Na szczęście przyjeżdża p. szef. Pp. Malczewscy objawiają mu swoje zakłopotanie. P. szef nieradby rozdzielać towarzystwo na dwa domy jednego wieczoru, słyszał księstwa zamyślających ufetować ukochaną córkę, ale widzi i u Malczewskich przygotowania do uroczystych imienin. Pomyślał trochę, a potem rzeknie do p. Malczewskiego. „Ubieraj się marszałku, pojedziemy do księstwa“. „Ależ pocóż ja mam jechać?“ „Tam na miejscu okoliczności to pokażą“. Pojechał i w godzinę wrócił p. Malczewski i z jaśniejącem radością obliczem. — „Leosiu! — rzeknie do żony — wybornie urządziło się wszystko, imieniny księżniczki wraz z twojemi w domu naszym obchodzić będziemy“. I tak się stało. Okazale wystąpili p.p. Malczewscy, trzy solenizantki świetnie ufetowane były, bawiono się wybornie i bal do dnia się przeciągnął. Na tym to balu jeden z dawnych przyjaciół domu Malczewskich, major czy rotmistrz wojsk polskich, nie pamiętam, człowiek zacny poczciwością, wesołego humoru, Wąsowicz, kiedy w najlepsze brzmi muzyka, szumi taniec, on siedząc z boku, udając rękami jakby grał na basetli: „Już po Tarnorudzie, już po Tarnorudzie“ z cicha zaśpiewał. Malczewscy przeżyli wprawdzie wielką część majątku, ale zostawili jednak jeszcze tyle, że syn miałby się był z czego uczciwie utrzymać, gdyby na pana nie chorował i państwa procesem dorabiać się nie

pragnął. Ale wróćmy do balu. Tańce ówczesne więcej były rozmaite od dzisiejszych. Ten sam kadryl, czyli kontredans, zdobiący figury lekkimi i wyuczonymi krokami, jakże był różny od dzisiejszego, w którym tancerze stają jak do pańszczyzny, chodzą jak za pańszczyznę, a odbywszy tę powinność, po kątach się rozchodzą. Anglez, czyż nie miał więcej powabu w swoich figurach od dzisiejszych z szałem kręcących się polek? Możnaż terazniejszy mazur równać z owoczesnym? Dziś staje 10, 12, 15 par i ni z tego, ni z owego, wrywa się jedna para, obiega raz, drugi, salę i walcowym wirem okręciwszy się razy kilka, gdzieś znika, a drudzy pytają, co teraz robić? Dawniej w mazurze była pewna metoda, 4 lub 8 par stawało do koła, wymyślano figury jedne od drugich piękniejsze, w których wdzięk zwinności, lekkości i biegłości tancerzów, zachwycał całe towarzystwo i w wiekowych nawet widzach ducha wesołości obudzał! A nasz narodowy polski taniec! O! dziś go mało już kto zna! A może niezadługo! jak strój naszych praociców, tak i taniec, ledwie z opowiadania lub z rysunku znajome będą! Polonez, wyłącznie poważnym osobom płci obojej właściwy, w chodzie swoim, w przemianie rąk, w rozmaitem zawracaniu się poważnym krokiem, jakże był do twarzy szanownym naszym matronom i ojcom familji! Znika coraz więcej narodowość nasza nie tylko w tańcach, stroju i zwyczajach, ale w obyczajach, mniemaniach i wierze! a przecież rozprawiamy o tej narodowości i zdaje się nam, że jej wzorem jesteśmy! i nieraz śmiejemy się ze starców, rozprawiających o dawnych lepszych czasach!

Na okazałym balu u Malczewskich część wieczoru zajęły popisujące się tańce. Anusia Malczewska z bratem swoim Piusem popisywali się gawotem. Cóż to jest za taniec pełen wdzięku i życia, a jednak skromny! Możnaż go porównać z dzisiejszą kaczuczą, gdzie cała doskonałość tancerki w tem celuje, ażeby kręcąc się na jednej nodze, drugą w horyzontalnym położeniu utrzymać? W kozaku panna Aniela Błądowska z Piusem zachwycali

widzów, bo rubaszność naturalną ukraińskiego tańca oglądały wyuczone skoki, nie odbiegając form wieśniaczych. Pannę Antoninę Sobańską uproszono, żeby tańczyła z bukietem. Z uroczym wdziękiem wykonała to solo. Bukiet był piękny, ale ta co z nim tańczyła stokroć piękniejsza. Księżniczka solenizantka wybrała sobie tamburino, taniec żywością swoją tak zgodny z żywością tancerki wszystkich oczarowała! Marja Zakrzewska, pięknemi figurami w szalu jeszcze podwyższyła swoje wdzięki. Zakończył taniec prześliczny girlanda, którą Anusia Malczewska z Leosią Chrzaszczewską we dwie z cudnym wdziękiem wykonały. Więcej jak pewne, że piękne z siebie tańce, pięknijszemi jeszcze sprawiła uroda tancerek i, że patrzący na nie mogli nie przejąć się uczuciem istotnego piękna, wzbudzeniem ducha poezji, wykształceniem gustu. Zapewne, że świadkowie tych czasów zestarzelili, od dzisiejszego pokolenia za stworzenia bez uczuć, bez smaku miani, nie wpłyną swem opowiadaniem na duch terażniejszy; ale przynajmniej sobie samym miłe wznawiając wspomnienia, osłodzą nie jedną chwilę życia, wpośród nieupowszechnionego za ich czasów, a dziś pełnowładnie panującego egoizmu.

Przeszedł karnawał wesoło i przyzwoicie. Szanowny prefekt nie miał powodu żalić się na uczniów, uczniowie z całym życiem młodości spełniali swe obowiązki, rodzice radowali się z postępu naukowego i obyczajowego swych dzieci. I był to rok, należący jeszcze do szeregu lat pierwszych gimnazjum.

*

*

*

Nadeszła wiosna, wiosna uroczą w pięknych Krzemieńcach okolicach, ale ta wiosna zasiała ziarno zamieszania w cichym nauk przybytku. Wyżej już mówiłem o energicznej działalności Antoniego Jarkowskiego w jego urzędzie; gdyby i dyrektor Sciborski podobnym był prefektowi, ileżby to oszczędziło się nieprzyjemności szkole,

ile krytyk, a nawet potwarzy na jej czynności! Dyrektor miał tę nieszczęśliwą, a wielu poczciwym ludziom właściwą wadę, niedecydowania się na co bądź stanowczo i odkładania czynności na czas dalszy. Wizytator przypisywał sobie władzę wyższą i częstokroć decydował rzecz, bez znoszenia się z władzą szkolną. Mała rzecz dała początek złemu. Kilka młodych paniczów, nie otrzymawszy od prefekta pozwolenia wyjazdu na miasto, udali się do wizytatora. Plater nie wybadawszy uczniów, czy u prefekta oznajmili swój wyjazd, pozwolił, nie komunikując się z prefektem. Nazajutrz prefekt nieposłusznych oddał pod sąd szkolny. Stąd przyszło do nieprzyjemnego tłumaczenia się między wizytatorem i prefektem. Szef Drzewiecki, obecny tej sprawie, przyznał słuszność Jarkowskiemu, ale wymógł na nim przebaczenie na ten raz nieposłuszeństwa uczniom i rzecz cała cicho się skończyła. Ale niechęć zawiązała się pomiędzy naczelnikami, a stąd rozdwojenie w uczniach. Młodym ostrą niekiedy Jarkowskiego powaga, jak zwykle młodym, uciążliwą się zdawała. Delikatność wizytatora aż do pobłażania posunięta, podobała się uczniom i przy wizytatorze stała się przeważna ilość młodzieży. Rodziła się stąd powoli nieregularność w spełnianiu szkolnych obowiązków, którą karząc prefekt, jeszcze więcej ścigał na siebie niechęć uczniów. Gdyby Sciborski więcej miał był energii, więcej działalności, mógłby był wszystkiemu zaradzić, ale wszystko szło na delatę i złe rośło. Skończył się jednak rok szkolny dość pomyślnie, i zdawało się, że z następnym znowu ład dobry zawita. Rozjeżdżali się obywatele, a ja z pp. Jaroszyńskimi dla dawania lekcji botaniki Mikołajowi na wakacje wyjechałem. Ale mój uczeń umosił do domu głęboko w sercu wyryty obraz pięknej Eleonory!

Wyjechaliśmy w licznej towarzystwie. Siostrzenica p. Jaroszyńskiego, p. Antonina Iwaszkiewiczówna, i brat jej Tadeusz, piękni i pięknych serca i umysłu przymiotów, duszą byli towarzystwa. P. Antonina wesołego charakteru i z bystrym rozumem pozyskała sobie w Krze-

mięncu wszystkich życzliwość, a u wujostwa w wysokim była uważeniu. Miły Tadeusz był jednym z celujących uczniów gimnazjum. Jechał z nami także p. Wysocoki, młody muzyk, skrzypek nie bez talentu. O nim było zdanie Lenzeo: „że gdyby nie zarozumiałość, wyszedłby na znakomitego artystę“. Został więc tylko miernym skrzypakiem. Całą taką gromadą zajechaliśmy na noc do Napadówki do p. Bejnerowej, godnej siostry szefa Drzewieckiego. Zastaliśmy tam p. Ksawerową Drzewiecką z córką i synami Janem i Władysławem. Jan wielkich zdolności, ale ostry w sądzie o ludziach i w mowie, Władysław ładny chłopczyk układny, ale przy najlepszem sercu, także wiele ostrości posiadał. Na noclegu w St. Konstantynowie pożar, wszczęty blisko naszej kwatery, wypędził nas za miasto i dziwnie komiczne zrobił z nas kostiumowe widowisko. P. Jaroszyński, zamiast szkatułki z ważnemi pieniężnemi papierami, chwycił tualetkę żony i z nią szybko się z kwatery wynosił. P. Jaroszyńska, unosząc pieska głaskała go, mówiąc: „nie bój się serce“. Wszyscyśmy, wespółbrani, chwytałi co kto podał i wynosili, jeden Mikołaj z zimną przytomnością zupełnie ubrany, wszystko do ładu, wszystkich do opamiętania się przyprowadzał. Po drodze wstępowaliśmy w Winnicy do prezesostwa Szczeniowskich, pokrewnych Jaroszyńskim, w Woronowicy do prezesostwa Grocholskich, ścisłą przyjaźnią z Jaroszyńskimi związaných. Nakoniec po całotygodniowej podróży stanęliśmy w Kunie. Mając zamiar cały rozdział poświęcić wspomnieniom tego domu, tu jedną tylko wspomnę okoliczność, Mikołaj za powrotem do domu był smutny, roztargniony, jak zwyczajnie zakochany pierwszą miłością. Trapiło to matkę, niecierpliwio ojca i psuło harmonję towarzystwa. P. Antonina, mimo całą przyjaźń dla księżniczki, widziała całą niestosowność tych miłostek.

Nieraz rozmawialiśmy z sobą o tem i przemyśliwaliśmy nad sposobami uleczenia Mikołaja, który dla p. Antoniny i dla mnie z braterską był przyjaźnią i z całą uf-

nością. Okoliczność podała nam środek, szczęśliwym uwieńczony skutkiem. Pani Michałowa Sobańska wezwała mnie dla uporządkowania plant oranżerii poryckiej, którą nabyła. Pan Jaroszyński nie przeciwił się mojemu wyjazdowi. Po tygodniu bawienia w Obodówece wróciłem do Kuny. „No! coż tam słyssał p. Antoni“ — zapyta mnie p. Jaroszyński. „Przywiozłem — szepnę mu do ucha — lekarstwo dla Mikołaja“. „No cóż tam?“ „Oto ciekawą powiem nowinę. Ks. Eleonora wychodzi zamąż“. „Żartujesz?“ — rzeknie uśmiechając się p. Jaroszyński. „Nie, wcale nie żartuję, już po przyrzeczeniu, podobno nawet po zaręczynach“. „Za kogoż idzie?“ „Za ks. Konstantego Czetwertyńskiego, kuzyna dalekiego“. „Cała ta powieść usnuta w mojej głowie, dziwne wywarła działanie. Tymczasem ktoś z gości nadjechał, Mikołaj, korzystając z zamieszania, wyciągnął mnie do naszej stacji“. „Czy to istotna prawda, co mówisz?“ — zapytał. „Cóżbym miał za potrzebę zmyślać? powtarzam, co słyssałem tam, gdzie mogą wiedzieć najwierniej całą okoliczność“. „O! niegodziwa! — zawołał — tak mię oszukiwać? Patrz, oto jest pierścionek, dany mi od niej przy pożegnaniu! To miał być zakład jej stałości choćby i na lat dziesięć! Ale kiedy ona mnie tak zawiodła, niechże i ten zakład przepadnie“, to mówiąc połamał pierścionek i rzucił przez okno, a łzy były na jego oczach. „Mikołaju! — rzekłem natenczas — nie śmiałem ci robić uwag moich względem niestałości księżniczki, ale przypomnij sobie Leona Krasickiego, miałżebyś szczęśliwszym być od niego? Ja nie ręczę, ażeby jeszcze i z narzeczonym rozbrat nie nastąpił. Księżniczka wieloma świetnemi płci swojej szczyci się zaletami, ale i wady płci swojej posiada. A stałość jestże powszechną kobiet zaletą?“ — „Masz słusność! — odpowie—ściskając mię przyjaźnie—stało się! ani mowy wzięcej o tem“. W istocie uczucie silne osłabło po zrzuceniu pierścionka, talizman ten magnetyczną siłą utrzymywał sympatię Mikołaja, związek ten przerwany przerwał i uczucia i młode serce ostudził. Mikołaj stał się innym, od-

zyskał wesołość i oddał się zajęciom użytecznym i rozrywkom. Wszyscy w domu wiedzieli, że powieść była zmyślona, ale była lekarstwem skutecznem i zjednała mi życzliwość pp. Jaroszyńskich i przyjaźń p. Antoniny. Mikołaj w rok dopiero dowiedział się o podstępie użytym na uleczenie jego moralnego cierpienia. Miłosna ta awanturka zraziła pp. Jaroszyńskich od Krzemieńca, Mikołaj pozostał w domu, ja sam tylko wróciłem. Ale nie samo zakochanie się syna zniechęciło p. Jaroszyńskiego; jako człowiek rozumny i roztropny postrzegacz, zauważył on nieład, wkradający się w szkołę. Umiał ocenić gorliwość i znajomość rzeczy w prowadzeniu młodzieży prefekta Jarkowskiego i nie wymknęły się z pod jego uwagi uchybienia wizytatora w nadaniu zbytnej swobody młodym i lekceważenia rozsądku, wieloletniego doświadczenia i taktu prefekta. Żegnając mię, te mi powiedział słowa: — „Daj Boże! ażebym się omylił, ale przewiduję w waszem gimnazjum jakiś zbieg okoliczności, mający wpływ na zdemoralizowanie młodzieży, którego unikając zostawiam w domu Mikołaja. Szanuję waszych nauczycieli, oddaję sprawiedliwość ich wyższym usposobieniom i żałuję, że mój syn nie będzie dalej z szanownych ich trudów i gorliwości korzystać, ale niepodobna nam zamieszkać w Krzemieńcu, a mego syna jednemu tylko Jarkowskiemu bym powierzył, ale w składzie rzeczy, jak dziś u was są, zacnemu starcowi przymnożyłbym kłopotu.

Wracając od p. Jaroszyńskich, drogę obróciłem na Tuczyn, dla odwiedzenia mej matki i zastałem Tuczyn okryty żałobą. P. Józef Walewski już nie żył! świeżą jego stratę Wołyń opłakiwał, a żalu rodziny nic ukoić nie mogło. O! bo też to był mąż, jakiemu równych niewiele! Nie zaświetniał on jakąś nadzwyczajną podziwiałą karierą, ale cnót domowych i obywatelskich prawdziwym był wzorem. Podobny ojcu swemu sercem i umysłem, przewyższał go, jednostajną słodyczą charakteru, mimo panującą siłę woli, nie podlegając silnym uniesieniom, od których p. wojewoda nie był wolnym. P. Józef kochał lu-

dzi i miłość ludzi posiadał, poświęcał się dobru bliźnich, pobleżał ich wadom, przebaczał urazy i od lat najmłodszych dla siebie tylko był surowym, niekiedy nawet do egzaltacji. Kiedy w Warszawie dla stosunków z jedną z dam naszych ze Stanisławowskiej epoki ożenienie jego z panną Kicką nie doszło; kiedy, szumiąc wystawnem życiem, jak i wszyscy owych czasów nasi panicze, odłużony wyjechać z Warszawy nie mógł, zgryzotę zdrowiem przyplacił. Major Telatycki, koligat Walewskich i prawdziwy od serca p. Józefa przyjaciel, nie odstępował chorego, pocieszał jak mógł i ciągle nastawał, ażeby p. rotmistrz do p. wojewody napisał, ale wygórowana delikatność p. Józefa dręczyła go i przenieść na sobie nie mógł, ażeby ukochanemu ojcu tyle przyczynić zmartwienia. Telatycki ze względu na obecnie uciskające okoliczności, nalegał jeszcze silniej i nakoniec p. Józef skłonił się, ażeby napisać do p. Detiuka i odłożono na jutro wyprawienie listu. Ale nazajutrz p. rotmistrz czuł się gorzej i niezdolnym do napisania słów kilku, polecił Telatyckiemu tę korespondencję. Uskutecznił wolę przyjaciela i, korzystając ze słabości jego, napisał list (nam już znany w t. I), i natychmiast go wysłał sztafetą. Major Telatycki, człowiek ze wszech miar zacny, prawy, maż czynu, ale trochę poeta, puścił wodze myślom i pióru i skreślił jeremiadę, jakiejby pewnie sam p. Józef nie napisał, ani nawet i tej napisanej posłać możeby nie pozwolił, tymczasem gorliwość przyjacielska nie odnosząc się do głównego działacza w tej rzeczy, wyprawienie pisma przyśpieszyła. Ojciec mój znał osobiście p. rotmistrza, ze wszystkich synów p. wojewody kochał go najwięcej, ale korespondencji z nim nie prowadził, pismo więc tak pilne przyjął za autograf, i bez namysłu spełnił to, co mu jego poczciwe serce i prawdziwe przywiązanie do p. rotmistrza nakazywało i skutek był pomyślny. Nie prędko po powrocie p. rotmistrza w ojczyste progi, może w rok, zebrani w stancji mego ojca wojewodzice i ich rezydenci rozprowadali o swojej przeszłości. P. Józef najwierniej z figlów młodości

swojej spowiadał się. Major Telatycki był obecnym i kiedy z powieści wypadło wspomnienie o liście pisanym do mego ojca z Warszawy, ojciec mój dobył to pismo z kantorka i głośno przeczytał. Natenczas powstał okrzyk na poetę, wykrytkowano i myśli i wyrażenia i styl, wykazując autorowi przesadę, aż do zmyślenia, major bronił się, jak mógł, ale musiał uleść.—Dajcie mi pokój—ozwie się p. Józef — nie przeciwuję się wam, co do egzageracji w tym liście, może nawet ubliżającej mi w wielu okolicznościach, ale mogę mieć mu to za złe, wspomniawszy, że w tak krytycznym stanie on jeden w mojem opuszczeniu dowiódł mi swojej bezinteresownej przyjaźni, że on stał mi się bratem i że ten, acz może przesadzonem piśmem, podał mi bratnią dłoń i z niewoli ratował. To powiedziawszy, z rozrzewnieniem po bratersku uściskał pocziwego majora i oba przyjaciele łzami uczucia swoje najwymowniej tłumaczyli. Poetyczny ten list p. rotmistrz na pamiątkę ojcu memu zostawił, chowałem go długo, ale pożar, który mię w r. 1845 nawiedził, zniszczył i mnóstwo ważnych a potrzebnych papierów.

P. rotmistrz nie był dumnym, owszem przystępność i narodowa uprzejmość charakter jego cechowały, ale czuł i wysoko cenił godność osobistą i rodu swojego, ani jej podwyższenia jakimś tytułem nie szukał. Była taka okoliczność. Horyń rzekę uznano za spławną z małemi zawadami i rząd pozwolił w niektórych punktach budować szluzy. W jednym roku stanęły one: u p. rotmistrza pod Tuczynem, u chorążego kor. pod Kozlinem i pod Aleksandrią u ks. Józefa Lubomirskiego. Budowy te, ze wszech miar odpowiedziały swojemu celowi, naczelnik wodnej komunikacji przedstawił tę sprawę monarsze i cesarz raczył najłaskawiej polecić oświadczenie podziękowania hrabji Józefowi Walewskiemu, ks. Józefowi Lubomirskiemu i obywatelowi Józefowi Steckiemu. Sąsiedzi winszowali p. rotmistrzowi otrzymanego tytułu, ale p. Józef odpowiedział: — „Nie mam zupełnie pretensji do tego

tytułu, ojciec mój nie był hrabią, ale był więcej, był senatorem polskim“.

Mimo piękną i okazałą postawę, p. Józef nie był silnego zdrowia, od zgonu p. wojewody zdrowie jego chylić się do upadku zaczęło, w roku jednak 1807 jeszcze go czerstwym widział w Krzemieńcu, lubo zaród wody w piersiach już się objawiać zaczynał. Ale nikt tego nie dostrzegał, bo p. rotmistrz w sobie zamknął swoje cierpienia, był czynnym, był wzorowym urzędnikiem, marszałkiem ukochanym od całego powiatu, wzywany na urząd ten dożywotnio. Lecz stan zdrowia urzędu dalej piastować nie dozwolił.

Upadające coraz zdrowie nie przeszkadzało p. Józefowi działać dla wspólnego dobra, ani mniej być czynnym w 1812 r. jak w 1809. Ale na czynności dostojnego obywatela tygrysie oczy Komburleya zwrócone były. Oskarżył p. rotmistrza i otrzymał ukaz, skazujący oskarżonego na wywiezienie do Penzy. Niespełna rok przecierpiał na wygnaniu p. rotmistrz, nie mógł podolać ucisku serca, utrapień wygnania i rozwiniętej w całej sile niebezpiecznej chorobie, i kiedy w 1813 roku, w styczniu, gubernator Penzeński uwiadomił go o wyjednanem pozwoleniu powrotu pod ojczystą strzechę, za ledwie w lutym dopiero mógł dość sił znaleźć do wyjazdu. Choroba gwałtownie wzmagala się, a w podróży potrzebnych wygod i starań doznać niepodobna było. A tak daleko od domu, od swoich, od ukochanego jedynaka, myślą im tylko uczucia swoje posyłał i w Tambowskiej gub. w miasteczku Lipecku, wobec wracającej także współ-wygnanki kasztelanowej Rżyszczewskiej, na ręku siostrzana jej ks. Konstantego Czetwertyńskiego dnia 13 marca pięknie swe życie zakończył.

Wiele lat już upłynęło od jego zgonu, niewielu zostało, którzy go osobiście znali, ale pamięć jego dobrodziejstw i w następnych pokoleniach nie wygasła, bo tych dobrodziejstw niemało śladów i dziś widzieć moż-

na w Tuczyńce. Ale ta ręka, niosąca wsparcie ludzkości, z darami swojemi i dalej sięgała. W Krzemieńcu porucznikowa Puziewiczowa, staruszka i kaleka, póki żył p. rotmistrz od zaboru kraju corocznie po sto złotych pensji pobierała i, o wiele lat przeżywszy swego dobroczyńcę, ze łzami wdzięczności pamięci jego modły swe poświęcała. Po p. Józefie Walewskim jeden tylko syn pozostał, i serce i umysł piękne dostał w udziale. Daj Boże! ażeby, idąc w ślady czoigodnego ojca swego, tak jak ojciec, przywiązanie i cześć współobywateli sobie pozyskał.

Za powrotem z wakacji zastałem okoliczności w takim stanie, jak je przewidział p. Jaroszyński. Protekcja wizytatora ułatwiała wstęp do gimnazjum, choć nawet i egzamina były niedostateczne. Prefekt opierał się temu i stąd przyszło do przemówień z wizytatorem, a te przywiodły do niechęci wzajemnych. Sciborski, ani z Jarkowskim nie trzymał, ani sam nic nie stanowił. Coraz więc silniejszy bezład wkładał się we wszystko. Nastąpił karnawał, i o tym to karnawale możnaby powiedzieć to, co chcą w ogólności zarzucić Krzemieńcowi. Ustawy kasynowe tak zwolnione były, że wizytator od mundurów nawet uwolnił, i jeśli uczeń nie otrzymał od prefekta pozwolenia na kasyno, pewnym był, że je od wizytatora otrzyma. Krzemieńczanin jestem, drogie mi tej szkoły wspomnienie, ale nie mogę zataić, że byliśmy w upadku! Zawiązały się schadzki wieczorne pod nazwaniem wieczorów literackich i powagą Platera były uświęcone. Czytywano tam wprawdzie; Zaborowskiego Tymona¹⁾ pierwsze prace tam się okazały, Sienkiewicz²⁾ był ozdo-

¹⁾ Tymon Zaborowski (1799—1828) urodził się w Liczkowcach (w Galicji, pow. Husiatyn). Jako poeta dał się poznać już w Krzemieńcu. Drukował ustęp z poematu Bolesław Chrobry w „Cwiczeniach naukowych“ (L. 1818). Dumy podolskie za czasów panowania tureckiego. Puławy, 1830, wydał Karol Sienkiewicz. Życie zakończył samobójstwem, rzucając się w fale Dniestru.

²⁾ Karol Sienkiewicz (1792—1860). Urodził się w Kalinów-

ba towarzystwa, ale wielu pisało żółcią i nieraz szanownym osobom niepospolitą przypięto łątkę. I tu można zarzut zrobić Platerowi, że tych zoilekich pism nie zganił; na nieszczęście, złośliwe, ale sprytnie bon mot, zawsze miało u niego dobre przyjęcie, ale nie wszyscy członkowie tego klubu byli Sienkiewiczze lub Zaborowscy, byli i próżniacy i często bardzo karty ich ksiąg były asy, piątki, króle, kałamarczami butelki a atramentem rum i wino. Ile razy Plater obecnym był na tych czytających wieczorach, odbywały się one z całą przyzwoitością, nie im zarzucić nie można było. Ale były nieczyste owieczki w tej trzodzie, które i surowego prefekta i pobłażliwego wizytatora ostrożność przed mieszkańcami miasta wysmiewali i ze swych figlów chełpili się. Dręczył się tem prefekt, ale nie miał chęci przemawiać się o to z wizytatorem. Prof. Choński podjął się tej misji. Kilku młodych ludzi obecnych było tym odwiedzinom. Nie wiem ich nazwisk, boleśnie byłoby mi wymienić je! Ale nie znać w nich było na tę chwilę uczniów szkoły Czackiego! Choński¹⁾ z całym taktem zdrowego rozsądku i delikatnością, należną starszemu urzędnikowi, mówił, opisując nadużycia, jakie się wkradły do szkoły, Plater odpowiadał mu zimno i z ironją. Ale obecny pan Teodozy, po ukończeniu gimnazjum przypisany do komisji, pozwolił sobie wmie-

ce gub. Kijowskiej, powiat Taraszezański. Początkowe szkoły w Humaniu i Winnicy, ukończył liceum Krzemienieckie. Był bibliotekarzem w Puławach. W r. 1831 emigrował do Francji. Osiadł w Paryżu. Od roku 1834 redagował *Kronikę emigracji*. Założył w Paryżu *Towarz. histor. polskie* (1838). Pisał liczne dzieła historyczne i polityczne, z których po śmierci niektóre dopiero wyszły. Jako sekretarz towarzystwa był faktycznym założycielem Biblioteki polskiej w Paryżu, istniejącej dotychczas. Uprawiał poezję pod pseudonimem Karola z Kalinówki. Wydał w przekładzie poemat Walter-Scotta p. t. *Pani jeziora*. Życie zakończył w Paryżu.

¹⁾ Michał Choński (1779—1855). Przeżył *L. H. Jakiego Zasady ekonomji narodowej* t. t. 2. Krzemieniec 1820.

szuć się do rozmowy, zapominając nawet przyzwoitości w okazaniu względów dla znakomitego nauczyciela. Choński nie mu nie odpowiedział, spojrzawszy tylko z pogardą, hrabiego poważnym ukłonem pożegnał. „P. Choński! — zawołał Plater — pan zdaje się wychodzisz ode mnie obrażony, a ja pana tyle szacuję, że nie chciałbym pana mieć sobie niechętnym“. „Panie hrabio, szacunek szacunkiem się nabywa, Bóg zlał tyle pięknych darów swoich na p. hrabiego, że tylko używać ich w każdej życia okoliczności należy, a kwiatami usłana będzie droga życia twojego. Ale na nieszczęście, tę dobrą stronę swoją zakrywasz od nas! Pan nie lubisz mieć życzliwych sobie między poważnymi wiekiem i zasługą. A ja szanuję starość. Ale starość bogata jest doświadczeniem, któremu więcej zaufać należy. Żegnam p. hrabiego! P. Teodozemu przebaczam jako młodemu!“ Wyszedł profesor, młodzieńcy odezwali się:—„Pedant!“—„Życzyłbym jednak każdemu z panów, ażeby się podobną Chońskiemu pedanterją poszczycił!“ — rzekł Plater.

Zasiana niechęć i nieufność pomiędzy wizytatorem a władzami gimnazjum bujnie wzrastała. Czacki na swoim urzędzie zależał tylko od ministra i od kuratora. Plater i uniwersytetowi wileń. podlegał. Czy były jakie znoszenia się gimnazjum z Wilnem względem wizytatora, to trudno powiedzieć, bo stosunki uniwersytetu z wizytatorem były wielce delikatne. Ale Wilno nie mogło przebaczyć Krzemieńcowi wzrostu i sławy. Wizytatorowi nakazano otworzyć gimnazjum w Winnicy. Zjechał Plater na ten akt, ale życzliwości dla siebie nie wzbudził, a nawet podanych przez niego na nauczycieli kandydatów nie przyjął. Wrócił do Krzemieńca niezadowolony i zastał jeszcze większe rozstrojenie szkoły. Nie mógł nie przyznać sobie, że po większej części jego w tem była wina. Chcąc jakkolwiek wynagrodzić swoje uchybienie, podał pod sąd trzech uczniów. Prefekt nie dopuścił sądu, udał się urzędownie osobiście do Platera. Co mówili między sobą ci dwaj czcigodni urzędnicy, to zostało między

nimi. Szeł Drzewiecki wpłynął na ich pojednanie, uczniom podanym pod sąd kazano wziąć uwolnienie i ucichło wszystko. Tymczasem gubernator Giżycki, szczególniejszy przyjaciel hrabiego, nalegał na niego, ażeby się uwolnił od obowiązku urzędowania w wydziale naukowym, a przeniósł się do służby cywilnej, ofiarował mu urząd wicegubernatora i podczas bytności swojej w Krzemieńcu, na balu u Platera, wziął od niego słowo. Otwarcie Podolskiego gimnazjum ujęło wiele Krzemieńcowi. Z początkiem roku szkolnego z 1815 na 1816 rok, zaledwie 400 uczniów było w szkole Czackiego, ale ubyło wielu z antiprefektowskiej partji. Plater mieszkał jeszcze w Krzemieńcu, ale już zupełnie do rządu szkoły się nie wtrącał, nawet uczniowie mniej mieli wstępu do jego domu. Natomiast prefekt, zapomniawszy urazy za doznane nieraz od wizytatora nieprzyjemności, często odwiedzał Platera sam, lub z szefem Drzewieckim, i dopiero to zbliżenie dało hrabiemu poznać całą zacość starca, którego wprzódycy ocenić nie potrafił. Rozstali się najprzyjaźniej i Jarkowski powiadał zawsze, że Plater, jak i wszyscy znakomici ludzie, zszedł ze swojej drogi i błąd jego nie mógł być błędem małych ludzi.

Rok 1816 był nieco lepszy. Prefekta władza wzrosła, szeł Drzewiecki potrafił przekonać Sciborskiego, że może powodować się radom mądrego wieloletniem doświadczeniem Jarkowskiego i Jarkowski wziął przewagę w zarządzie szkoły i szkoła do ładu przychodzić zaczęła. Na ten rok wizytatorem naznaczony został profes. wysłużony uniw. Wileń. p. Malewski i zjechał na egzaminy roczne prywatnie.

Wspomniałem wyżej, że p. Jaroszyński powziął prawdziwą przyjaźń dla domu Malczewskich. W duszy życzył sobie piękną ich córkę mieć synową, ale Mikołaj ledwie lat 19 liczył, Anusi było lat szesnaście, a do tego w młodych nie pokazał się ten wzajemny pociąg, prowadzący do silniejszych uczuć. Wyjeżdżając z Krzemieńca p. Jaroszyński zaprosił pp. Malczewskich do Kuny, za-

proszenie najmiej przyjęte i pp. Malczewscy w maju wybrali się na Ukrainę. Z uprzejmością i hojnie podejmowali gości p. Jaroszyńscy i cała prawie ich rodzina zebrała się w Kunie. P. Franciszkowa Jaroszyńska z domu Drzewiecka, córka szambelana, oddawna Malczewskim znajoma, wiele im była pomocną w czasie całego ich pobytu. P. Jan Jaroszyński od dwóch lat wdowiec, zjechał także do stryja. Nie piękny i w manierach swoich kozakowaty, tą ekscentrycznością potrafił się podobać pięknej Anusi. P. Antoni i p. Franciszkowa usnuli projekt pożenienia Anusi z Janem. Podróż do Odesy posłużyła temu zamiarowi. P. Jan z całą galanterją starającego się kawalera po drodze fetował bohdanki rodzinę. Wypadł popas na stepie, a już kilka pięknych namiotów z okazałym obiadem czekało na podróżnych. Karczmy noclegowe zamieniały się na ozdobne i wygodne komnaty, zręczna i strojna usługa oczekiwała rozkazów i uprzedzała je nawet, p. Anna była wyrocznią, bo proszono, ażeby jej wola wszystkim rządziła. Nie mogła nie podobać się młodej panience taka samowładność, wyobrażała sobie taką i w pożyciu z p. Janem i do niepięknej twarzy jego nawykła i powiedziała sobie: — „będę Jaroszyńska! — Pp. Malczewscy zupełnie inaczej myśleli, inne mieli zamiary. Czy Plater dał jaki powód, upewniający rodziców o jego zamiarach względem Anusi, czy tylko ze szczególniejszych atencji, jakże Anusia od hrabiego odbierała pp. Malczewscy szczerze przekonani byli, że córka ich będzie hrabiną Platerową. Okoliczności inny obrót wzięły. Po powrocie z Odesy p. Jan przez stryja oświadczył się rodzicom, rodzice odwołali się do panny, i z podziwieniem wielkim rodziców, panna oddała rękę wdowcowi. Jan Jaroszyński nie był tak bogatym, jak Plater, jednak dwa tysiące z górą dusz posiadał i stanowił dom zamożny szlachecki. P. Antoni zupełnie był zadowolony i jeszcze więcej wylany dla Malczewskich. Wesele naznaczono na 8 września w Tarnorudzie.

Tego roku wysłany zostałem na ekskursję botaniczną kosztem hr. Platera i Wacława Rzewuskiego i kołmii ks.

Maksymiljana Jabłonowskiego, który, po wstąpieniu na prezydencję komisji fund. eduk. p. Michała Sobańskiego, komisarzem obrany został. Objechawszy Tarnopolszczyznę, Podole, część Ukrainy, wstąpiłem do Kuny i tam dowiedziałem się o upewnionem pobraniu się p. Malczewskiej z p. Janem Jaroszyńskim, zadziwiło mię to nieco, ale ucieszyłem się wspomniawszy, że Anusia będzie pod opieką stryja, który ją tak kocha. W istocie wesele pp. Janostwa Jaroszyńskich odbyło się 8 września. Ale razem z ich weselem, nazajutrz, w dzień po ich ślubie, odbył się akt, jaki rzadko oglądać można. Był to ślub złoty pp. Wolskich po 50 latach najpiękniejszego małżeńskiego pożycia. Więcej 40 osób składało tę szanowną rodzinę. Dwaj wnukowie prowadzili p. Wolską do ołtarza, p. Wolskiemu asystowały wnuczka i szesnastoletnia prawnuczka; cała ta uroczystość odbyła się u pp. Malczewskich pięknym balem. P. Wolski służył jeszcze u rejenta koronnego Malczewskiego, ojca p. marszałka, dorobił się grosza, szedł po posesjach, Bóg mu dopomagał, synów dobrze pozenił, córki dobrze powydawał i, dając im pomoc z pocziwie zapracowanego grosza, dał im i błogosławieństwo Boskie. Syn jeden był sędzią, drugi chorążym powiatowym. Wnukowie pięknie odznaczeni się w gimnazjum Krzemienieckiem przykładaniem się do nauki i moralnem prowadzeniem.

Na weselu p. Anny był hr. Plater. Winszował pamięci młodej, pił jej zdrowie, ale mimo siłę woli właściwą sobie, widać jednak było, że na p. Jana z ukosa poglądał. Ja na tem weselu istotnie byłem mistrzem obrzędów i wszystko szło podług mojego programu.

ROZDZIAŁ XIII.

Niezmiernie wdzięczni byli pp. Malczewscy za zrobioną im w tak ważnym dniu usługę, dziękowali pp. młodzi a p. Antoni Jaroszyński zamówił mię na rok cały do

kompanji p. Mikołaja. Trudność uwolnienia na ten czas przeciąg od obowiązku w gimnazjum wziął na siebie obecny na weselu p. szef Drzewiecki i wyjednał mi je. Wróciwszy więc do Krzemieńca, pobiegłem do Tuczy-
na odwiedzić moją matkę. P. Józef Walewski już nie żył, wdowa mieszkała w swojej majątności, a syn p. Józefa małoletni Michaś wzrastał pod opieką stryjostwa, zac-
nych Hieronimostwa Walewskich. Braterskie u nich zna-
lażem przyjęcie i miłą nader o dawnych czasach wypra-
wiliśmy pogadankę — nie pozwolili mi nawet pojechać do
ciotki Skirmuntowej, ale całe trzy dni bawienia mego w
Tuczynie i matka moja, i ja i Skirmuntostwo u pp. Wa-
lewskich przebyliśmy. Czcigodna to była rodzina, ta ro-
dzina Walewskich. Hieronim, najmniej piękny z braci i
upośledzony w mowie, nie sadił się nigdy na długie, a
tembardziej ozdobne opowiadania, ale był człowiek czyn-
ny. Dobry sąsiad, wierny przyjaciel, pan łagodny i spra-
wiedliwy, mąż najlepszy, jednego mu tylko tytułu nie do-
stawało, dobrego ojca. Bóg nie pobłogosławił go potom-
stwem. Sama p. Walewska niegdyś owa milutka Cesia,
wzór pobożności, słodczy charakteru i rozumu. Żyje do-
tąd ta czcigodna matrona i całego sąsiedztwa i serca i
szacunek posiada. Mimo całą jednak uprzejmość pp. Wa-
lewskich, Tuczyn smutnym był dla mnie. Ileż to wspom-
nień błogiej przeszłości odzywało się w sercu! ileż i
smutnych pamiątek wywołało. I mnie już lat trzydzieści
było. W sercu przecie było młodo i świeżo. Oddawszy
tedy należny hołd miłym choć smutnym wspomnieniom,
znowu było weselej. Ledwie czwartego dnia puścili mnie
pp. Hieronimostwo na noc do Skirmuntów. Ustronie ich
nazywało się Karłowszczyzna, milutki schludny domek
pod pięknym laskiem brzozowym, był ich mieszkaniem
i strzechą przytułku dla całej rodziny. Ileż tu ja miłych
chwil przeżyłem, ileż razy zbiegałem te laski i te śliczne
łaki! Te kwiaty i dziś, gdy je w jakiej okolicy obaczę,
przypominają mi i miłą Karłowszczyznę i nieocenioną
ciotkę moją i błogie lata rozwijającej się pierwszej mło-

dości mojej. Dziś to ustronie przeszło w inne ręce, ale dla mnie nieobce, nie miałem jednak powodu odwiedzenia tych dla mnie miłych okolic i nie wiem, czy już w pozostałych dniach życia mojego ta przyjemność zdarzyć się może. Jadąc do Jaroszyńskich zboczyłem na Berdyczów i z okoliczności wypadło i Kijów odwiedzić. W kijowskim odwiedziłem Stanisława Proskurę a z nim prezesostwa Kajetanostwa Proskurów w Rozalówce. Do końca życia mojego przyjaznej uprzejmości, z jaką po tylu latach niewidzenia się w tej zacnej rodzinie przyjęty byłem. Kilka dni bawienia u prezesostwa dało mi poznać, ile uczonym był prezes. Prezes ubierał się po polsku, polskie w domu zachowywały się obyczaje, ale umysł tego czciwego obywatela szedł z postępem czasu. Lubił czytać i wiedzieć co się dzieje na świecie i politycznym i naukowym. Ani matematyczne, ani przyrodzone nauki nie były mu obce, historia i ekonomja polityczna były jego żywiołem. Czacki w ścisłej z prezesem żył przyjaźni, chciał go mieć w komisji fund. eduk., ale Proskura nie chciał opuścić powierzonej mu z pełną ufnością całej gubernji opiekę nad jej cywilnemi interesami i w tem urzędowaniu lat kilkanaście przeżył. Stanisław Proskura ostatkami życia gonił. Przeziębienie otworzyło mu reumatyzm w piersiach, doktorowie omylili się i w piersiach rozwinęła się istotnie choroba nieuleczalna — suchoty. Stanisław i w kraju i w obczyźnie szukał ratunku, wrócił do domu bez nadziei wyzdrowienia i powoli dogorywał. Ale umysł jego i serce były zdrowe. Stanisław był dla mnie ten sam, którego w r. 1806 w Krzemieńcu poznałem! Udarowany futrem i bielizną od przyjaciela, ze łzami rozstałem się z nim, nie spodziewając się więcej go zobaczyć. I prezesostwo z domu swego bez upominku mię nie wypuścili.

Wróciwszy od pp. Jaroszyńskich wiele odmian zastałem w Krzemieńcu. Zamieszkałi jeneralstwo Rżyszczewscy, ks. Mikołajostwo Sapielowie, hrabina Ożarowska z dziećmi. Szef Drzewiecki, obrany marszałkiem pow. Krzemienieckiego, już i z obowiązku w tem mieście miesz-

kać powinien, z całego serca tej powinności ulegał, a jego urzędowanie dzielnie wpłynęło na przywrócenie do ładu szkoły Krzemienieckiej. Jako urzędnik państwa, jako naczelnik szlachty powiatu, jako poufny przyjaciel Czackiego, a tej przyjaźni i po zgonie jego wierny p. szef jeszcze więcej wtrącał się w interesa gimnazjalne. Jarkowski zawsze wielbiciel zacnych serca i umysłu Drzewieckiego przymiotów, znosił się z nim we wszystkim, Sciborski, obojętny na wszystko, dopełniał już lat swojej służby i więcej o emeryturze, niż o gimnazjum myślał, ani Jarkowskiemu w działaniach nie zawadzał. Sciborski na egzaminach tylko zdobywał się na energję, bo żadna nauka obcą mu nie była, bo w matematyce był jednym z pierwszych uczniów krakowskiej szkoły. Od wstąpienia jednak pana szefera w urzędowanie, Sciborski częściej jeszcze dawał się przekonać radami marszałka, bo jego znajomość rzeczy, dar miłego wystowienia, logiczne zdania i delikatność w przedstawieniu uwag, przemawiały do ostygniętego umysłu dyrektora i obudzały w nim energję życia i jaką taką działalność. O! potrzeba było być świadkiem bezstronnym pobytu i urzędowania p. szefera, ażeby go dostojnie ocenić. Dziś mię jeszcze serce boli, słysząc ironiczne obserwacje o tym czcigodnym mężu; w młodszym latach moich, otwartą o niego z krytykami jego postępowania, toczyłem wojnę. Zapytajmy dziś jeszcze mieszkańców właściwych Krzemieńca, pamiętających urzędowanie szefera Drzewieckiego, a ze łąz w oku odpowiedzą: „to był nasz opiekun, to był nasz dobroczyńca“. I to będzie odgłos najniższej części społeczeństwa, a głos ludu nie jestże głosem prawdy, głosem Boga! Wszystko co o nim wylał z serca nieodżałowany ks. Brudzyński, wycisnęło łąz z moich oczu, ale ks. Brudzyński znał go dopiero w podeszłym wieku! Jakże mię serce bolało, że mi nie było wolno odezwać się wówczas publicznie i, zraszając łzami grobowiec czcigodnego męża, ogłosić wiele czynów, malujących wielką jego duszę! i oddać hołd męzowi, jakich mało, a może i zupełnie już niema. Pięknie go

wspomina p. Kraszewski w dodatkach do Pamiętników, ale mnie, który tak blisko znałem p. szefa, wspomnienia te zdały się niedostateczne, a nawet zimne.

Czynne interesowanie się p. szefa, gorliwość niezębiona wiekiem prefekta, wróciły działalność szkole krzemienieckiej, ożywiły stygnący zapal do nauki i wprowadziły młodzież na drogę prawem jej przepisaną, liczba nawet uczniów znacznie się powiększyła. Nauczyciele również wpływ tych dwóch mężów uczuli i usiłowaniami swojemi ich usiłowania wspierali. Wyznajmy tu, że wielce na nas działa obchodzenie się z nami zwierzchników. P. szef znał to dobrze i dla nauczycieli dom jego był jakby rodzinną strzechą. Delikatność, uprzejmość i oddanie każdemu sprawiedliwości, były cechą p. szefa w obchodzeniu się z nauczycielami i więcej dawały zachęty w ich trudach, niż przemówienia, wymowne nawet, dyrektora Sciborskiego. Nikt mi z obecnych naówczas w Krzemieńcu nie zaprzeczy, że mimo to, iż ustronne od zarządu, szkół było urzędowanie p. szefa, najsilniej jednak wpłynęło na przywrócenie do ładu gimnazjum wołyńskiego. Krzemieńczanin to wyznaje!

Na zimę zjechało się jeszcze więcej obywatelstwa. Ks. Franciszek Sapięha z córką Anielą, prawdziwym aniołem. Księstwo Pawłostwo Sapięhowie, hr. Adamowa Potocka z córką, prześliczną panią Starzyńską i wiele, wiele innych znakomitych domów. Nastąpił karnawał i znowu kasyna, ale te wróciły do pierwiastkowych form swoich. Znowu mundur stał się godową szatą dla uczniów, a dla większego ich w tym względzie zachęcenia, p. szef, jako niegdyś uczeń szkoły i uczeń celujący medałowymi, przywdziewał na kasyna mundur uczniowski. Mnóstwo balów, świetniejszych jedne od drugich, dawali obywatele. Pyszny był wieczór u pięknego hr. Mieczysława Potockiego, ale wszystkie okazałością przewyższał bal ks. Franciszka Sapięhy. Książę 1000 dukatów odłożył na to, hr. Jarosława Potockiego zrobił gospodarzem i cały program hrabia ułożył. P. Drzewiecki należał do rady i do

wszelkich udekorowań mnie wezwano. Narysowałem projekt i ten się podobał. Ale książę chciał, ażeby zrobić jaki szczególny rodzaj iluminacji miasta, doradzałem ubranie ogniem góry zamkowej, i to przyjęto. Góra ta, jak wiadomo, oddzielona od innych, panuje nad sąsiadkami i nad miastem, wieńczą ją pozostałe mury zamku znanego pospolicie pod nazwiskiem królowej Bony, istotnie zbudowanego przez książąt litewskich. Na tych murach rozstawione beczki smolne wysokim płonęły ogniem, a w miejscu otoczonym murami przygotowane wiązki rac, wyrzucały z pomiędzy otaczających je płomieni wysoko unoszące się ogniste snopy, smoła paląca się, jak lawa po górze spływała. Udało się to oświecenie i w pośród ciemnej zimowej nocy pożądane wrażenie sprawiło. Oklask był powszechny i książę był zadowolony. Ale i ubranie sali było niepospolite. Cała wybita była perkalem białym, od sufitu, ściany zdobiły girlandy lekkie z jedliny, z białymi muślinowymi draperjami, a pod nad nimi, w ich kierunku, rzędy świec jarzących. Sofy wokoło sali obite lustrowym perkalem ze srebrną frędzlą i takiż bufet pod jedną ze ścian, ozdobiony pysznymi bronzowymi i srebrnymi świecznikami, porcelanowymi i kryształowymi naczyniami, pełnymi najpiękniejszych sztucznych kwiatów, zastawiony owocami, cukrami, ciastami najwytworniejszemi, i wzrok zachwycał i wykwintnemu podniebieniu było się czem nasycić. Od soboty, po odbytem kasyno, do poniedziałkowego wieczora, wszystko urządzić się musiało i wyszło jakby czarnoksięską laską z ziemi wywiezione. Cały ten czas nie wychodziłem z sali, chyba dla pojechania na górę, aby tam iluminację urządzić. Karmił mię tam gospodarz balu, a na sofie jakie godzin parę się przedzemałem. Książę w ciągu tych robót ani razu do sali nie zajrzał, i dopiero, kiedy już wszystko gotowe było i oświecone, przyszedł i z prawdziwym zadowoleniem podał mi rękę, pocałował w czoło i wyrzekł: „Vous avez surpassé mon attente“. Piękna i okazała była sala, ale znikła przy piękności dam i okazałości ich strojów. Go-

spodyni balu księżna Pelagja Sapieżyna dziękowała mi uprzejmie za moje trudy, ja przypomniałem księżnie bal dawany w Wilnie dla cesarza Aleksandra, na którym była gospodynią i miłe wspomnienie wywołałem. Księżna była pierwaj małżonką ks. Franciszka, a rozwiódłszy się z nim wyszła za synowca jego ks. Pawła. Pyszny to był bal i wesoły, trwał do 8 godziny zrana we wtorek. Po obrachowaniu wszystkich kosztów, 300 dukatów jeszcze zostało z przeznaczonej na ten bal sumy. Książę zdziwił się, że tysiąca dukatów wydać nie mógł i ze 300 pozostałych 100 ofiarowawszy dekoratorowi, 200 oddał do rozporządzenia hr. Ożarowskiej, a ta obróciła je na ulepszenie bytu niewolników w więzieniu rządowem.

Po karnawale przyszło pozwolenie od rządu sprawienia pogrzebowego obrzędu za ś. p. naczelnika Kościuszkę. Sumę na kosztą tego obrzędu złożyli obywatele. Wszyscy chcieli, ażeby ten odbył się w kościele gimnazjalnym okazałym i obszernym, ale niewiedzieć dla czego dyrektor Sciborski i kapelan szkolny uparli się i, mimo najusilniejsze przedstawienia obywateli i marszałka Drzewieckiego, kościoła nie pozwolili. Potrzeba więc było przestać na mniejszym o połowę Franciszkańskim. Wezwano mnie dla ubrania kościoła i wzniesienia katafalku. Narysowałem projekt wojennego, ten zyskał potwierdzenie i wykonany został.

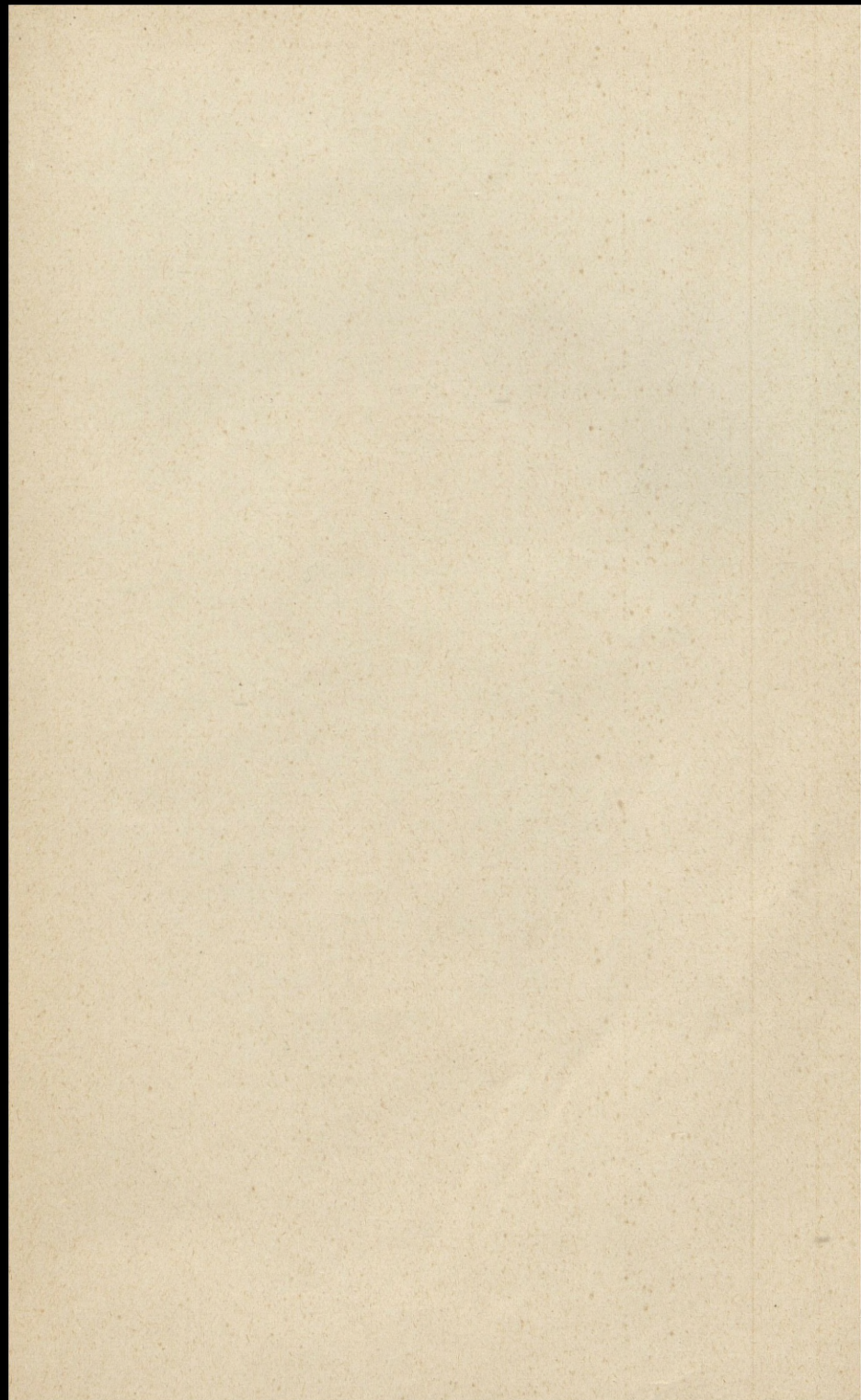
W środku kościoła na trzech dość wysokich stopniach, wznosił się portyk o czterech 5 łokciowych kolumnach doryckich z takimże architrabem; na architrabie sklepienie z karabinów utrzymywało trumnę, po czterech rogach w ozdobnych brązowych urnach paliły się kadzidła. Na czterech kolumnach zawieszzone były pancerze, hełmy i tarcze z mieczami, szablami i spisami malowniczo ułożone i czarną krepą przepasane. Pod sklepieniem, wpośród portyku na arenie, otoczonej strzelbami różnych epok, bębnami, kotłami i trąbami, umieszczony portret Kościuszki, opierał się na dwóch chorągwiach polskich. Przed kolumnami na najniższym stop-

niu, zamiast lichtarzów, było sześć kup bomb, po cztery w każdej piramidalnie ułożonych, a w każdej bombie tkwiła świeca jarząca. Po dwóch bokach katafalku wznosiły się piramidy z karabinów w pięć kondygnacji ułożone, na każdym karabinie świeca odbijała się w jasno oczyszczonym bagnecie. Okna wszystkie czarnem suknem zakryte nie przepuszczały dziennego światła. Gzyms kościoła i sklepienia oświecały obfite lampy. Szczegóły katafalku w niewielkich były rozmiarach, ale musiały się stosować do przestrzeni kościoła i dość pięknie się wydawały. Zbroje, broń i chorągwie otrzymaliśmy ze skarbów Wiśniowieckiego i Teofilpolskiego i od szefera Drzewieckiego i te zbroje, okrywające niegdyś piersi dzielnych naszych Zygmuntofskich bohaterów, zdobiły grobowiec bohatera naszych nieszczęśliwych czasów. Biskup celebrował, muzyka i śpiewacy z amatorów cudnie wykonali Requiem Kozłowskiego na pogrzeb króla Stanisława Augusta skomponowane. Ks. profesor Osiński z wymową Skargi, z uczuciami współziomka, wystawił obraz życia i czynów zmarłego i oddał hołd winny pamięci nieodżałowanego męża. W czasie offertorium księżniczka Aniela i hr. Rzyszczewska kwestowały na nieszczęśliwych. Pierwszej asystował marszałek Drzewiecki, drugiej ks. Mikołaj Sapiela. Sypały się obficie dukaty i ruble, nikt się nie wymawiał od tej pobożnej i tętnącej narodową wdzięcznością składki, czterej nawet inwalidzi, Kościuszkowskich wypraw towarzysze, otaczający grobowiec swego naczelnika, swoim wdowim groszem składkę wzbogacili. Zebrana suma wynosiła około 700 rubli. Połowę posłano instytutowi biednych starościanki Polanowskiej w Łucku, resztę rozrzadziła hr. Ożarowska i wielu biednych nieznanym piękne wsparcie otrzymało. Nazajutrz w sali kasynowej bogata ciągnęła się loteria, mało w niej znajdowało się kupionych fantów, większą część stanowiły dary obywatelskie, często nawet wysokiego szacunku. N-rów było 500, biletów 700, bilet po pół rubla srebrnego, możniejsi wszyscy po trój-

nasób płacili. Nietylko obywatele, urzędnicy gimnazjalni i uczniowie brali bilety; brali je żydzi, mieszczanie, rzemieślnicy i wyrobnicy, choć często, jak zwykle w loterji bywa, wygrany fant oczekiwaniu wygrywającego nie odpowiadał. Piękna zebrała się suma, a z tej i biedni ubodzy uczniowie korzyść odnieśli. Moralna ta zabawa, bo prawdziwie i loterja jest zabawna, o ile rozrywała młodzież, tyle i na ich obyczaje wpływała. Na loterji, równie jak i na kasyno uczniowie być musieli w mundurach, a że nie było tańców, w których młodzi najwięcej sobie swobody pozwalali, więcej przeto mieli się na straży, jak najprzyzwoitszego znajdowania się w towarzystwie. I cel loterji nie bez wpływu był na uczucia młodzieży. Wielu pięknie wypracowane rysunki swoje przyniosło; poczynający smakować w rzeźbiarstwie 8-letni Sosnowski, ofiarował z gustem i misternie rzmęta, z czarnego marmuru swojej roboty pieczętkę. Była to wczesna przepowiednia dzisiejszej jego sławy i wysoko rozwiniętego talentu; mile ją przyjęto. Pieczętkę wygrał ks. Fr. Sapięha. Między innemi był poszyt ślicznym charakterem spisanych najpiękniejszych śpiewów naszych, przez ucznia ubogiego z czwartej klasy; przyjęto poszyt, ks. Franciszek wygrał go, uczniowi wypadł z loterji piękny zegarek, a książkę zabezpieczył mu dalsze utrzymanie w gimnazjum. Książę Franciszek był nieco oryginał. Wchodząc do kogo w odwiedzinę, ledwie że podaniem ręki powitał gospodynię, lub nie witając nawet zasiadał obok niej na pogadankę. Ubrany w długi surdut, w kapelusz z szerokimi skrzydłami, brał pod rękę córkę, skromnie, w czarną salopkę i takąż czapeczkę odzianą, szedł na daleką za miasto, na góry, przechadzkę. Z początku dziwiono się tym zimowym wycieczkom, krytykowano je, a nareszcie uwagi na nie nie zwracano. Książę znudzony już był użyciem świata, szukał rozerwania się na świecie i znajdował go w zabawach domów szlacheckich mniej arystokratycznych. Ale gdzie prawdziwą znajdował rozrywkę, pokazało się dopiero po wyjeździe księcia. Podu-

padli w gospodarstwie przedmieszczanie; wdowy z licznem potomstwem uciśnione niedostatkiem; zbłąkane w drodze młodości, ukrywające między górami wstyd swój dziewice; ubogie matki zabranych do wojska młodych mieszczan; pracujące dniem i nocą dla utrzymania schorzałych matek lub ojców panienki, wszystko to cierpiące, a nieumiejące wyciągnąć ręki o wsparcie, były to domy nawiedzane przez dobroczynnego magnata i nieodrodną ojcowskich cnót córkę. Księżniczka wszystkich serca sobie pozyskała, nieobecna z uwielbieniem wspomiano. I książę i córka jego nie rozsiewali dobrodziejstw swoich dla ostentacji, dla pozyskania oklasków; robili z serca i w sercu znajdowali najpiękniejszą czynności swoich nagrodę!

Koniec tomu II.







~ 72
40339
12

